

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA W BIAŁYMSTOKU



26 378

POWSTANIE LISTOPADOWE

ARTUR ŚLIWIŃSKI
POWSTANIE
LISTOPADOWE

Buraczewski Józef

POWSTANIE LISTOPADOWE

TEGOŻ AUTORA:

MICKIEWICZ JAKO POLITYK. — Kraków, 1908.

MAURYCY MOCHNACKI (Żywot i dzieła). Lwów, 1910. (Wyczerp.)

POWSTANIE STYCZNIOWE. Warszawa, 1919.

POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE. Wydanie II. Warszawa, 1920.

KONSTYTUCJA 3 MAJA. Wydanie II. Warszawa, 1918.

JOACHIM LELEWEL. Zarys biograficzny. Warszawa 1918.

POLSKA NIEPODLEGŁA. Opowiadania z dziejów Polski.

Warszawa, 1919.

STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI. Warszawa, 1920.

W OPRACOWANIU I Z PRZEDMOWĄ TEGOŻ AUTORA

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO: PISMA,

PO RAZ PIERWSZY EDYCJĄ KSIĄŻKOWĄ OBJĘTE.

Lwów, 1910.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

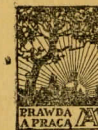
POWSTANIE LISTOPADOWE

ell de R
WYDANIE PIĄTE

ex libris
Z 12 PORTRETAMI



Śliwiński



1920
WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
POZNAŃ ——— ŁÓDŹ ——— LUBLIN
WILNO. KSIĘGARNIA STOW. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO



943.8

26378

W S T Ę P.

Po wywiezieniu cesarza Francuzów, Napoleona, na wyspę Elbę monarchowie europejscy odetchnęli swobodniej i na nowy ład postanowili urządzić Europę. Kiedy ten mocarz, którego miecz przez kilkanaście lat zwiślał groźnie nad wszystkimi tronami, został nareszcie ubezwładniony, wrogowie jego, to jest monarchowie i przedstawiciele główniejszych państw europejskich, zjechali się w Wiedniu, by według własnej woli stanowić o losach świata.

Ta wielka rada mocarstw, znana w historii pod nazwą kongresu wiedeńskiego, miała zadecydować i o przyszłości naszego narodu. Car rosyjski, Aleksander I, nosił się z myślą odbudowania pod swem władztwem państwa polskiego, a ponieważ jego wojska zajmowały niemal wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej, projekt ten był pozornie łatwy do urzeczywistnienia. Stało się inaczej. Przeciwnie zamiarowi władcy rosyjskiego gwałtownie protestowali przedstawiciele Austrii, Francji i Anglii. Obawiali się oni wzrostu potęgi rosyjskiej, a nie zdając sobie sprawy, że wskrzeszona Polska, bez względu na zwierzchnictwo Aleksandra, nie pozwoli potędze tej wzrastać, czynili wszystko, aby Polakom odebrać nawet pozory samodzielnosci.

Ale za plecami Aleksandra stał jego doradca, książę Adam Czartoryski, i ze swej strony nie szczędził starań, aby natchnąć cesarza szlachetną ambicją i nie dopuścić, by ten odstąpił od powziętego planu. Podczas obrad doszło do starć ostrych. Sprawa polska do tego stopnia roznamiętniła obradujących, iż groźba nowych wojen zaczęła przyświecać kongresowi. Jednakże nieustanne pogłoski o wylądowaniu Napoleona uśmierzająco działały na wzburzone umysły. Wszyscy czuli, że miecz tego wojownika, znowu wydobyty z pochwy, jednym cięciem może przekreślić traktaty i nową budowlę Europy zmieścić z widowni świata, jak domek, wzniesiony z kart. Na myśl o Napoleonie zimny strach zazierał w oczy członkom kongresu i skłaniał ich do szybkiej a zgodnej decyzji. Jakoż z pośpiechem kończono obrady i raz jeszcze dzielono się Polską.

Wielkie Księstwo Warszawskie, utworzone w r. 1807 przez Napoleona, podarte zostało na strzępy i rozdzielone pomiędzy Prusy, Austrię i Rosję.

Prusy otrzymały Wielkie Księstwo Poznańskie, Austrii przyznano Królestwo Galicji i Lodomerji, a Rosji, która pozostała przy nabytkach z poprzednich rozbiorów Polski, dostał się jeszcze szmat ziemi, noszący do dziś nazwę Królestwa Polskiego, a liczący podówczas 3.200.000 mieszkańców.

Jedynie z Krakowa wraz z niewielkim okręgiem ziemi uczyniono niepodległą Rzeczpospolitą, ale i tę niepodległość skrzepowano opieką Rosji, Austrii i Prus.

W ten sposób Polska znowu doświadczyła na sobie przemocy, a patrioci, marzący o przywróceniu ojczyźnie niezależności, raz jeszcze ponieśli klęskę. Ale usiłowania, podjęte przez legjony, nie zginęły marnie. Bo aczkolwiek na kongresie wiedeńskim nie wskrzeszono Polski, nie odważono się przecież na brutalne podeptanie wszystkich praw narodu. Kongres obiecywał Polakom we wszystkich

trzech dzielnicach odrębną organizację polityczną, a car Aleksander zastrzegł sobie prawo powiększenia terytorjum Królestwa Polskiego ziemiami, wcześniej do Rosji przyłączonemi.

Cesarz austriacki i król pruski również nie szczędzili obietnic. I nic dziwnego. Chciano spokoju, a nie zapomniano jeszcze o bohaterskich czynach Polaków na polach bitew i dobrze pamiętano ów zapal, z jakim młodzież polska zaciągała się pod sztandary Napoleona, w nadziei, iż pod sztandarami temi wywalczy niepodległość. Liczono się z możliwym wybuchem patriotyzmu i rozpacz, a że pożądanego spokoju, więc obietnicami starano się złagodzić nową zbrodnię, która raz jeszcze rozdrabniała naród i zmuszała go do życia pod trzema rządami.

Dalsza przyszłość Polski zależała teraz od umiejętności rozszerzania praw pozostawionych, od mnożenia wszystkiego, co stanowi własną siłę, tę jedyną gwarancję, na której zawsze śmiało można polegać.

Od czasów kongresu wiedeńskiego, t. j. od roku 1815, los narodu zawisł przede wszystkim od przyszłości zaboru rosyjskiego, Rosja bowiem zagarnęła największą część dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Cesarz Aleksander wyraźnie obiecywał rozszerzyć terytorjum nowoutworzonego Królestwa, a tę obietnicę społeczeństwo polskie rozumiało, jako zapowiedź przyłączenia do Królestwa krajów, które niedawno jeszcze należały do Polski, a które podczas rozbiorów weszły w skład państwa rosyjskiego.

W ten sposób przed oczyma narodu rozbłysła nadzieja lepszej i jaśniejszej przyszłości.

Królestwo Polskie, połączone z Litwą i Rusią, stać się mogło gwarancją powetowania krzywd doznanych, pozwalało się bowiem spodziewać, że Polska, wymazana z mapy Europy, wzmoże się niebawem na siłach i o losie swoim sama decydować będzie.

Wszystko, coby kazało się wyrzec tej nadziei, musiało odąd wzniecać niezadowolenie i coraz głębszy wywoływać niepokój, a wraz z niepokojem i dalsze następstwa.

Ostatniem z tych następstw było powstanie, znane w historii pod nazwą powstania listopadowego.

I.

KRÓLESTWO KONGRESOWE.

Piękny kraj polski ze swą urodzajną ziemią, ze wspa-
niałą Wisłą, niosącą bystre wody do Bałtyku, z lasami
i puszczami, o których tyle pięknych napisano pieśni, sły-
mał niegdyś dostatkami i bogactwem. Krainą, płynącą
miodem i mlekiem, nazywano Polskę. Nie zrujnowały tej
pięknej krainy ani napady hord dzikich, ani liczne wojny,
prowadzone z sąsiadami, ani coraz większy zbytek, wkra-
dający się do siedzib magnatów i zbogaconej szlachty.
Polska, jak wydawać się mogło, posiadała zasoby niewy-
czerpane.

Ale odkąd rządy ościenne wzięły w swe ręce kie-
rownictwo wewnętrznymi sprawami państwa, kraj cały za-
czął się chylić do upadku.

Później nastąpiły rozbiory i na ziemi polskiej rozsia-
dły się obce siły, i piły jej soki, i korzystały z jej bogactw.
Polska stała się domem zajezdnym, w którym kolejno go-
spodarowali sąsiedzi. Utworzenie Wielkiego Księstwa War-
szawskiego powstrzymało na chwilę tę gospodarkę, ale kraj
inne ponosił ciężary. Przez ziemie polskie przeciągnęły
burze napoleońskie, przewalały się krocie tysięcy żołnierzy,
a nowa gospodarka, przystosowana do potrzeb wielkich

wojen, i nieustanne przemarsze wojsk ostatecznie kraj wyniszczyły.

Nieuprawne pola stały odłogiem, na miejscu wielu siół i wsi dymity się zgliszcza, a ludność, niepewna jutra, nękana nędzą i głodem, nie posiadała dość siły, aby się dźwignąć i nowe rozpocząć życie...

Zabrakło Napoleona, którego imię miało moc magiczną budzenia nadziei, a wraz z nadzieją wskrzeszania sił. Wprawdzie cesarz Francuzów porzucił swe więzienie na wyspie Elbie, wylądował we Francji, zuchwałym pochodem na Paryż odzyskał państwo — i zdumionej Europie ukazał znowu krwawą żagiew wojny, ale klęska pod Waterloo rozstrzygnęła wszystko na rzecz nowego porządku.

Opadły resztki dymów bojowych i świat zapadał w martwą odrętwiałość. Żołnierz polski, powróciwszy do kraju, ujrzał wkoło siebie zgliszcza i ruiny. Jak sen, minęły piękne marzenia o odbudowaniu wolnej ojczyzny: pod znakiem obcej woli rozpoczynał naród nową erę życia.

Na wieść o wynikach kongresu wiedeńskiego smutek owionął serca, przygnębienie ogarnęło obywateli, zdających sobie sprawę, do czego zmierza nowy podział kraju i co warte są czcze obietnice. Ale znaleźli się ludzie, przekonani głęboko, że car Aleksander istotnie wskrzesi Polskę i nowoutworzone Królestwo połączy z Litwą, a, kto wie, może nawet z Rusią. Przekonania te były bezpodstawne. Jaskrawo przeczyła im historia, świadcząca, że Rosja od wieków dąży do rozszerzania swych granic kosztem sąsiadów. Ale serca pragnęły pokrzepienia i uderzały żywiej na myśl o dobrodziejstwach, które miały spłynąć z wysokości tronu rosyjskiego.

Car Aleksander skutkiem swego postępowania w Wiedniu zyskał ogromną popularność i, gdy w listopadzie 1815 r. zawitał do Warszawy, stara stolica Polski przyjęła go uroczystie. Podczas pobytu Aleksandra w Warszawie

wzmocniły się rozbudzone nadzieje. Sympatyczne wrażenie, jakie nowy władca osobiście wywierał, uprzejmość i doprowadzona do wielkiego kunsztu umiejętność podobania się ludziom, wreszcie obietnice, których podówczas nie szczędził, zjednały mu serca obywateli.

Konstytucja, którą jako król polski Aleksander ogłosił, zapowiadała z góry, że Królestwo Polskie na wieki zostaje połączone z Cesarstwem, ale obok tego gwarantowała Polakom ustrój odrębny i całkowitą samodzielność wewnętrzną. Obywatele Królestwa mieli zapewnioną wolność osobistą, wolność prasy, wychowanie publiczne narodowe i bezpłatne, samorząd miast. Sądy miały być niepodległe, wspólne i jednakowe dla wszystkich, bez różnicy stanu i religii. Jedynie do sądzenia wyższych urzędników lub przestępstw politycznych powołany był Sąd Sejmowy, składający się z członków izby senatorskiej. Nikt nie mógł być aresztowany bez wskazania powodu, nikt karany — bez wyroku sądowego. Urzędy publiczne mogły być sprawowane tylko przez Polaków, a język polski miał panować niepodzielnie we wszystkich urzędach, zarówno sądowych, jak administracyjnych. Wojsku pozostawiono wszelkie oznaki, świadczące o jego odrębności narodowej, liczbę zaś wojska uzależniono od zasobów materialnych kraju.

Władza prawodawcza oddana została Sejmowi, który miał być zwoływany co dwa lata na przeciąg dni trzydziestu, a składał się z króla i dwu izb: senatorskiej i poselskiej. Król miał prawo odroczyć zwołanie Sejmu, a w tem prawie krył się już zaród bezprawia. Była to brama, szeroko otwarta dla samowoli carskiej.

W izbie senatorskiej zasiadali dożywotnio mianowani przez króla członkowie, do izby poselskiej szlachta wybierała 77 posłów, a zgromadzenia gminne 51 deputowanych. Prawa obu izb były równe i tylko projekty przez

obie izby przyjęte mogły być przedstawiane do sankcji królewskiej i dopiero po otrzymaniu tej sankcji stawały się prawem.

Dziedzicznym królem polskim, jak opiewała konstytucja, jest cesarz rosyjski. Koronuje się on na króla w Warszawie i składa przysięgę na konstytucję. W razie jego nieobecności władza naczelna przechodzi na namiestnika, który zasiada w Radzie Stanu, złożonej z ministrów i wyższych dygnitarzy. Rada Stanu dzieli się na zgromadzenie ogólne i Radę Administracyjną, do której należy władza wykonawcza.

Ogniwiem, łączącym Radę Administracyjną z królem, jest minister sekretarz stanu, stale mieszkający przy cesarzu, a komunikujący mu wszelkie przedstawienia Rady i nawzajem uwiadamiający Radę o żądaniach cesarza.

Tak się przedstawiały prawa, które miały odtąd obowiązywać Królestwo.

Dodać jeszcze należy, że Aleksander i włościanom obiecywał „ojcowską troskliwość“ i „gruntowny dobrobyt“, ale była to tylko zapowiedź, która narazie nie obowiązywała do niczego. Tymczasem sprawa włościańska, jako sprawa najliczniejszej w kraju klasy mieszkańców, należała do spraw najważniejszych i od jej uregulowania zależało wiele, jeżeli nie wszystko w przyszłości. Wybitniejsi patrioci polscy oddawna zajmowali się włościanami, dobrze rozumiejąc, że potęgą kraju spoczywa w masach ludowych.

Kościuszko, Staszic, Kołłątaj, a więc ludzie, którzy głową i sercem znacznie przerastali swoje pokolenie, zdawali sobie sprawę, że losy kraju, złożone w ręce ludu, będą zabezpieczone; wiedzieli także, że, chcąc dzieła tego dokonać, trzeba ten lud podnieść moralnie i materialnie, trzeba z włościanina uczynić obywatela, korzystającego z pełni praw swoich. To też już w r. 1814 Kościuszko

domagał się od Aleksandra zniesienia niewoli włościan, utworzenia dla nich na koszt rządu szkół w całej Polsce i nadania im praw, pozwalających rozporządzać swem mieniem, jak zupełną własnością.

Zasady konstytucji nie sięgały tak daleko, ale mimo wad i ograniczeń, były, jak na owe czasy, liberalne i stać się mogły podwaliną, jeżeli nie szczęścia, to znośnego bytu nowoutworzonego Królestwa.

Po wyjeździe Aleksandra radość zapanowała w Warszawie. Jego obietnice przechodziły z ust do ust i długo po całym rozbrzmiewały kraju. Ci, co byli dopuszczeni do nowego władcy, wychwalali jego uprzejmość i dobroć, mówili dużo o jego najlepszych chęciach i zamiarach na przyszłość.

Poeci, niedawni chwalczy Napoleona, zaczęli wnet w pieśniach swoich rzucać gromy potępienia na upadłego imperatora i wielbić a sławić nowego apostoła wolności. Kajetan Koźmian, który w r. 1812 pisał, że sam Bóg nie mógłby dać Polakom więcej, niż Napoleon, kamieniuje teraz swojego bohatera i w „Odzie na upadek dumnego“ odmawia mu nazwy człowieka. Za pisarzami poszła opinia, powiewna, jak dym, a jak wiatr zmienna.

Ale krótko trwało to oszołomienie.

Już pierwsze nominacje nowego króla przyniosły rozczarowanie.

Na namiestnika Królestwa, a więc najwyższy w kraju urząd, opinia publiczna przeznaczała księcia Adama Czartoryskiego, a na czele wojsk chciała widzieć Kościuszkę. Tymczasem, ku powszechnemu zdumieniu, namiestnikiem mianowany został gen. Zajączek, a naczelnym dowódcą wojsk polskich—brat cesarski, wielki książę Konstanty.

Gen. Zajączek, niegdyś legjonista, później żołnierz napoleoński, oficer pełen zalet, odznaczał się dzielnością na polu bitwy, ale nie miał danych, aby sprawować wła-

dzę naczelną. Był to człek słabego charakteru, z duszą karjerowicza, o umyśle płytkim i ciasnym. Za lat młodych zagorzał rewolucjonista, potem wielbiciel Napoleona, — w chwili swej nominacji był wielbicielem Aleksandra i wyznawcą przekonań konserwatywnych. Niespodziewaną godność zawdzięczał głównie protekcji w. ks. Konstantego, a już to jedno czyniło go zależnym od swego protektora.

Tymczasem i w. ks. Konstanty nie budził w nikim zaufania.

Każdego, kto się do niego zbliżył, odstręczał już samą powierzchownością. Wysoki i barczysty, zbudowany krzepko, miał twarz, którą dość było ujrzyć raz jeden, aby zapamiętać na zawsze. Z pod wysokiego czoła, osłonięte jasną brwią szpiczastą, patrzyły bladoniebieskie oczy, bystre i badawcze, podejrzliwe i niespokojne. Nos wklęśły z nozdrzami, wzniesionemi do góry, i wypukłe kości policzkowe nadawały głowie wyraz drapieżny. W ruchliwej twarzy było coś dziwnie śmiesznego i okrutnego zarazem. Patrząc na tę twarz, każdy odczuwał, że w. książkę łatwo zapala się gniewem i że gniew jego musi być straszny.

Największą namiętnością Konstantego było wojsko. Spędziwszy wiele lat w szeregach wojskowych, poznał dobrze służbę frontową i w szczególności a drobnostki tej służby kładł całą swoją duszę. Kochał się w rewjach, musztrach, marszach, oddychał chętnie atmosferą koszar, lubował się widokiem wszelkiego rodzaju ćwiczeń i parad. Ale natura despotyczna nie pozwalała mu zamknąć się w obrębie spraw wojskowych. Nie znosząc obok siebie cudzej woli, chciał wiedzieć o wszystkim i wszystkim rządzić, a jako brat cesarski przyzwyczajony był do ślepej uległości otoczenia.

Pozbawiony charakteru Zajączek nie dawał rękojmi, że w razie potrzeby potrafi w. księciu przeciwstawić swą

wolę, odrazu więc było widocznem, że naczelnny wódz wojsk polskich stanie się władzą naczelną. W ten sposób cesarz Aleksander, dając Polakom konstytucję, jednocześnie obdarzył ich w. ks. Konstantym, który na konstytucję patrzył, jak wilk patrzy na owcę.

Obok w. ks. Konstantego wielką rolę odegrać miał niebawem Mikołaj Nowosilcow, tajny radca i senator rosyjski, przebywający w Warszawie w charakterze pełnomocnika cesarskiego. Nowosilcow miał zabawić w stolicy polskiej kilka miesięcy, a gdy ukształtują się stosunki w Królestwie, powrócić do Petersburga. Ale rozgościł się w Warszawie na dobre, założył własną kancelarię, zaczął się wszystkim zajmować i badać wszystko, a wkrótce wszedł nawet do Rady Administracyjnej, jako stały jej członek.

Nowosilcow był to starzec pełen temperamentu, zaprawiony w ogniu mactw, intryg i spisków, uparty, namiętny i mściwy. Życie tego dygnitarza składało się niemal wyłącznie z czynów występnych a rozpustnych. Jako krętać polityczny nie miał sobie równych. W swoim czasie brał żywy udział w knowaniach przeciw carowi Pawłowi, czas jakiś udawał wielkiego liberała i wolnomyśliciela, później zasłynął szeroko, jako zagorzał wróg wolności i reakcjonista. W karierze swojej sprawował najróżnorodniejsze urzędy, zajmował się wszystkimi aktualnymi sprawami, stale uganiając się za groszem, którego brak wiecznie odczuwał, a który zdobywał, nie przebierając w środkach. Kradzieże i przekupstwa były dla niego fraszką, gdy chodziło o zdobycie pieniędzy. Pan senator lubił pić i hulać, lubił tarzać się w rozpuście, a dla dogodzenia tym namiętnościom nie gardził niczem. Wkradłszy się w łaski Aleksandra, lekcewał opinię i pozwalał sobie na wszelkiego rodzaju gorszące wybryki.

Ten namiętny starzec, obsypyany orderami i godnościami, przyjechał do Warszawy, jako układny dworak, pe-

ten najlepszych chęci i zamiarów. Upewniał Polaków o przyjaznem usposobieniu cesarza Aleksandra, zapewniał i o swojej własnej przychylności, ale już przy roztrząsaniu zasad konstytucji zdradził się, jako wróg Polski. Niebawem jaskrawo przejawiał swoje wrogię względem całego społeczeństwa intencje i przestał grać rolę dworaka. Nawet namiętności swoich nie uważał za stosowne ukrywać. Wkrótce też mieszkańcy Warszawy ujrzeli pana senatora, włóczącego się po ulicach w stanie wysoce nietrzeźwym. Nieraz nawet widziano go nad ranem, jak tarzał się po rynsztokach, w ubraniu zabłoconem i obdartem, z głową, udekorowaną doraźnemi śladami awanturek nocnych.

W. ks. Konstanty patrzył na to wszystko przez palce. Zasady konstytucyjne ciążyły mu jak kajdany. Więc zaczął je rozluźniać i szarpać, a w tem dziele niszczenia konstytucji Nowosilcow okazał się najlepszym pomocnikiem.

Tak się przedstawiali ci dwaj ludzie, w których ręce cesarz Aleksander złożył władzę nad Królestwem Polskiem.

Sejm, który miał obradować co dwa lata, po raz pierwszy zwołany został w r. 1818. Na otwarciu Sejmu przyjechał Aleksander i uroczyście zagaikł obrady. W mowie, wygłoszonej w języku francuskim, dźwięczała nuta wielkiej dla nowego Królestwa życzliwości.

— Spełniają się wasze nadzieje i moje życzenia — mówił do zebranych. — Podaliście mi sposobność okazania mojej ojczyźnie tego, co dla niej oddawna gotuję... Wzniescie się do wysokości waszego zadania. Skutki prac waszych nauczą mnie, czy wierny swoim przedsięwzięciom będę mógł dalej rozszerzać to, co już dla was uczynilem.

Mowa tronowa głębokie na słuchaczach uczyniła wrażenie. Zrozumiano ją, jako zapowiedź przyłączenia do Królestwa Litwy — i nadzieją znowu jaśniejszym zapłonęła blaskiem. To też posłowie starali się nie stwarzać rzado-

wi trudności. W myśl tego zatwierdzili wniesione przez rząd projekty, prócz proponowanej zmiany prawa cywilnego w sprawie małżeństw i rozwodów. Rząd chciał utrudnić rozwody, liberalni posłowie byli temu przeciwni i projekt rządowy odrzucili znaczną większością głosów. To pierwsze starcie pomiędzy władzą najwyższą a Sejmem nie doprowadziło do poważniejszych następstw. Cesarz, zamykając obrady, oświadczył, że odrzucenie projektu przypisuje dobrej wierze posłów, nie zaś chęci walczenia z rządem — i wyjechał z Warszawy, pozornie zadowolony z obrad Sejmu i pełen najlepszych chęci.

Pobył Aleksandra w Warszawie podtrzymał nadzieje, rozbudzone pierwszą jego bytnością. Ale nie trwało to długo.

Wyższe sfery rosyjskie krzywo patrzyły na to, co się dzieje w Polsce, i niedwuznacznie wyrażały swoje oburzenie z powodu zamiaru przyłączenia do Królestwa Litwy. Zadał silny wiatr reakcji. Głośny historyk rosyjski Karamzin złożył Aleksandrowi memorjał, w którym między innemi pisał:

„Zdobyliśmy Polskę mieczem; oto nasze prawo, któremu wszystkie państwa swój byt zawdzięczają, bo wszystkie są owocem zaborów... Dotąd naszym prawidłem państwowem było: ani pędzi ziemi, czy to wrogowi, czy przyjacielowi. Czy możesz nam, Najjaśniejszy Panie, odjąć własność Rosji?... Czy odbudowanie Polski zgadza się z dobrem państwa rosyjskiego, ze świętymi Twojemi obowiązkami?...“

Pod wpływem takich głosów usposobienie Aleksandra, który był wielce wrażliwy na głosy opinii, szybko uległo zmianie — i konstytucyjny król polski coraz niechętniej spoglądał na Królestwo i coraz wyraźniej przechylał się na stronę biorącej górę reakcji. Okazało się, że pod płaszczykiem życzliwości, którą Aleksander okazywał Polsce, mieści

się dużo chytrłości i obłudy. Król polski przemieniał się w moskiewskiego cara o drapieżnych instynktach despoty.

Taki stan rzeczy w Rosji rozwiązywał ręce w. ks. Konstantemu.

Zaczął on rządzić, jak pan samowładny i despotyzmem swoim wzbudzać ogólne szemranie, a później gniew, który do czasu miał wrzeć głucho w duszy obrażonego narodu.

Rozpoczęły się w Królestwie rządy samowoli.

Zajacek, nie chcąc się niczem narazić swemu protektorowi, komunikował mu wszelkie projekty administracyjne, radził się we wszystkich poważniejszych sprawach i zawsze stosował się do usłyszanych życzeń i wskazówek. A podejrzliwy i despotyczny Konstanty, nie ufając nikomu z Polaków, radził się ze swej strony Nowosilcowa i w gruncie rzeczy w jego ręce przeniósł władzę namiestniczą, sam zaś oddał się ulubionemu zajęciu, t. j. przeglądowi i musztrowaniu wojska.

I teraz dopiero dał poznać swoją gwałtowną, tygrysią naturę.

Słynne przeglądy na placu Saskim stały się tortowaniem żołnierzy i oficerów. Najmniejsze uchybienie przepisom wojskowym wprawiało w. księcia w stan niesłychanego rozdrażnienia. Na widok źle przyszytego guzika lub jakiegokolwiek innej drobnostki wpadał we wściekłość. Delikwenta, na którego zwrócił swój straszny gniew, najczęściej uderzeniem pięści obalał na ziemię, a później tratował nogami bez miłosierdzia i upamiętania. Oficerów nieraz lżył przed frontem, znieważał nawet starszych a zasłużonych wojskowych. Takie postępowanie do żywego oburzało całe wojsko, gdyż w armii polskiej przechowywały się tradycje Napoleona i wysokie pojęcie honoru ożywiało szeregi. Starzy żołnierze z zaciśniętymi zębami znosili tyranję naczelnego wodza, a oficerowie, nie mogąc znieść

stały odrzucone, posunął się jeszcze dalej i zażądał od izby poselskiej, aby zakwestjonowała prawność rozporządzeń, powołujących do życia komitet cenzury.

Wniosek ten nie został przyjęty, ale odrzucenie projektów rządowych i śmiałe mowy Niemojowskiego rozgniewały Aleksandra.

Gniew ten rozdmuchali pochlebcy — i w królu konstytucyjnym obudził się samowładca rosyjski. Zamykając obrady Sejmu, Aleksander wyraźnie dał poznać swoje usposobienie. W mowie jego zabrzmiała nuta groźby.

— Opóźniliście — oświadczył posłom — dzieło przywrócenia ojczyzny. Ta ciężka odpowiedzialność na was spadać będzie...

A nazajutrz, opuszczając Warszawę, powiedział w. ks. Konstantemu, że pozostawia mu zupełną swobodę działania, a konstytucję bierze na siebie. Niemojowskim, którzy opozycją zwrócili na siebie uwagę, zabronił cesarz przyjeżdżać do Warszawy.

I oto reakcja poczęła z każdym dniem wzrastać.

Nowosilcow, mając rozwiązane ręce, zapoczątkował prześladowania na wielką skalę. Doszło do tego, że trzeba było się pilnować nie tylko na ulicy, ale na zebraniach poufnych, a nawet we własnem mieszkaniu, bo nie można było wiedzieć, czy za drzwiami nie stoi szpieg i nie spisuje tego, co przyjaciel przyjacielowi w zaufaniu mówi. W. ks. Konstanty coraz częściej teroryzował już nie tylko wojskowych, ale każdego, kto choćby tylko wyglądem swoim nie budził w nim zaufania. Nawet na ulicy zaczął przechodniów i znęcał się nad nimi. A Szaniawski stał na straży cenzury, węszył wszędzie nieprawomyślność i w żelaznych kleszczach reakcji więził prasę polską.

Niepokój ogarnął kraj cały, życie stawało się duszne, ciężkie; nastrój pogodny, wywołany w początkach pano-

wania Aleksandra, rozplýwał się w mgłach przygnębienia i niepewności.

Tymczasem Nowosilcow czuwał i nowe niespodzianki szykował społeczeństwu. Nie poprzestając na prześladowaniu dorosłych, senator przeniósł swój wzrok na kształcącą się młodzież i niebawem wzniosł nad nią topór swojej nienawiści.

Rozpoczęła się nowa era prześladowań, uwieczniona w *Dziadach* Mickiewicza.

Na czele ministerjum oświaty stał Stanisław Kostka Potocki, człowiek szczerze postępowy, o głowie otwartej i wybitnych zdolnościach. Dzięki jego energii, szkolnictwo w Królestwie Polskiem stanęło wkrótce na wysokim poziomie. Już w r. 1816 założono w Warszawie uniwersytet, w rok później powstał instytut agronomiczny w Marymoncie, jednocześnie zaś powołano do życia kilka wyższych zakładów naukowych, a ilość szkół elementarnych wiejskich i miejskich tak szybko wzrastała, że w ośm lat po utworzeniu Królestwa doszła do pokażnej, jak na owe czasy, cyfry 900. W ciągu dwóch lat liczba ogólna uczniów z 29.000 wzrosła do 36.000, co najlepiej świadczyło o żywotności narodu, o jego zdrowiu moralnem i sile. System wychowawczy, póki na czele oświaty stał Stanisław Potocki, polegał na rozwijaniu w młodzieży poczucia honoru i obowiązku. Pomiedzy uczącymi się a nauczającymi panowała harmonja, zaufanie wzajemne i przychylność.

Ale stan taki nie trwał długo.

Stanisław Potocki nie mógł się podobać w. księciu, ani Nowosilcowowi. Więc musiał podać się do dymisji. Na jego miejsce powołano Stanisława Grabowskiego, należącego do tej samej kategorii ludzi, co słynny cenzor Szaniawski.

Nowosilcow wiedział, że Grabowski, we wszystkim powolny, odpowie swemu zadaniu. I nie zawiódł się. Licz-

ba uczniów szybko we wszystkich szkołach zaczęła się zmniejszać, w murach szkolnych niknęło zaufanie, rozpoczęły się natomiast szpiegowania, donosy, a wraz z niemi areszty i kary dyscyplinarne.

A były to czasy, kiedy młodzież w całej Europie przenikał prąd spiskowy. Mnożyły się tajne organizacje pod hasłem walki z despotyzmem, a reakcja, idąca z góry, sprzyjała spiskowaniu. Kto czuł żywiej i goręcej, a do czyjego serca przemawiały hasła równości, wolności i braterstwa, ten zstępował w podziemia, sprzymierzał się z wyznawcami tych samych ideałów i ślubował życie swe tym ideałom poświęcić. Tak działo się na olbrzymiej przestrzeni Europy od gór Uralskich aż po wody Atlantyku, tak działo się i w Królestwie, w którem wobec jawnego gwałcenia swobód odruchy konspiracyjne były całkiem naturalne.

W r. 1819 powstała głośna później organizacja pod nazwą Wolnomularstwa Narodowego. Twórcą tej organizacji był major czwartego pułku linowego, Walerjan Łukasiński, człowiek o duszy czystej i pięknej, obdarzony nie złomną wolą i hartem, a cały przeniknięty myślą o odbudowaniu ojczyzny. Wolnomularstwo Narodowe miało pozory legalności, ale dążyło do tego, aby cały naród ożywić jednym buntowniczym duchem i wrócić Polsce niepodległość. Organizacja ta została wkrótce zamknięta, lecz Łukasiński nie składał broni i, nie myśląc wyrzekać się konspiracji, utworzył w r. 1821 nowy spisek, ściślejszy i złożony z ludzi zaufania, a znany pod nawą Towarzystwa Patriotycznego.

Stowarzyszeni dzielili się na gminy, liczące od 4—10 osób, a połączone w okręgi, do których należało 3—9 gmin. Okręgi łączyły się w prowincje*), a naczelną władzą był Komitet Centralny, którym rządził Łukasiński.

*) Prowincyj było siedm, a mianowicie: Królestwo Polskie,

Policja tajna często wpadała na tropy sprzysiężenia, ale dopiero zdrada jednego ze spiskowców, niejakiego Karskiego, naraziła Towarzystwo Patryotyczne na prześladowania. W r. 1822 aresztowany został Łukasiński. Oskarżono go o zbrodnię stanu i wtrącono do lochu. Dwa lata nękano go i dręczono, ale twórca Towarzystwa milczał, jak grób, nic nie powiedział i nikogo nie wydał. Wbrew istniejącym prawom oddano Łukasińskiego i jego towarzyszy pod sąd wojenny, ślepo posłuszny w. księciu.

W czerwcu r. 1824 zapadł wyrok, skazujący Łukasińskiego na dziewięć lat ciężkiego więzienia, a dwóch jego towarzyszy, Ignacego Dobrogojskiego i Mikołaja Dobrzyckiego — na lat sześć.

A jakby niedość było tej okropnej kary, w. ks. Konstanty nakazał egzekucję publiczną.

Dobrze ona maluje owe czasy i dlatego zasługuje na uwagę.

W dzień egzekucji skazańców ubrano w mundury galowe, udekorowano otrzymanymi poprzednio orderami, a potem wsadzono do furgonu wojskowego i pod eskortą żandarmerji odstawiono do obozu za rogatkami powązkowskimi. Czekwały tam z rozkazu w. księcia liczne oddziały wojsk polskich i rosyjskich. A dokoła stały tłumy ludu warszawskiego, stały w ponurem milczeniu, bezbronne, bezsilne, nieruchome, przygwożdżone do miejsca współczuciem dla skazańców i dławiącą gardła rozpaczą.

Zaturkotały koła furgonu — i oczy tłumów spoczęły na delikwentach. Na miejscu egzekucji więźniom rozkazano wysiąść. Wojska, sformowane w czworobok, sprezentowały broń, a skazańców otoczyli żandarmi z obnażonymi pałaszami i wprowadzili w środek czworoboku. Odczy-



ADAM MICKIEWICZ

Litwa, Wołyń i Podole, Galicja, Kraków, W. Księstwo Poznańskie oraz armja polska.

tano wyrok, poczem zaraz odezwały się bębny. Wówczas do skazanych zbliżył się człowiek olbrzymiego wzrostu, cały ubrany czarno. Był to kat. Przystąpił najpierw do Łukasieńskiego, zdarł mu szlify i ordery, odebrał szpadę i złamał nad głową. A gdy kat zrobił swoje, rzucili się na skazańców katowscy pomocnicy, zerwali z więźniów mundury, nałożyli siermięgi więzienne, zgolili głowy, poczem powalili delikwentów na ziemię i rozpoczęli zakładać kajdany. Zabrzęczały łańcuchy, odezwały się przeraźliwe dźwięki zakuwanego na żywe ciało żelaza.

W głuchem przerażeniu słuchały tłumy tej strasznej muzyki, ale nie był to koniec okropnego widowiska.

Gdy kajdany zostały nałożone, skazańców ustawiono na ziemi, dano im do rąk taczki, napełnione gruzem, i kazano przejść przed frontem, zgromadzonego wojska.

I znowu głucho zawarczały bębny.

Skazańcy spełnili rozkaz. Pierwszy szedł Łukasieński. Szedł ogolony, w odzieży zbrodniarza, kajdany do krwi wrzynały się w ciało, trupia bladość pokrywała jego policzki. Ale szedł z hardo podniesioną głową, pchał przed sobą taczkę i jasnym, niewinnym wzrokiem wodził zwolna po frontowej linii żołnierzy, patrzył wprost w oczy szeregowcom i oficerom. A tuż za nim, dzwoniąc kajdanami, postępowali Dobrogojski i Dobrzycki.

Na widok takiego upokorzenia i takiej niedoli zimny dreszcz wstrząsnął widzami; wojskowi, zarówno Polacy jak Rosjanie, nie mogli się powstrzymać od łez, a piersią tłumu wstrząsało rozgłośne szlochanie, głuszone łoskotem bębnow.

W taki to sposób w. książę Konstanty chciał dać przykład, któryby odstraszył innych od wstąpienia w ślady Łukasieńskiego.

Przykład, jak to łatwo przewidzieć, odniósł rezultat wręcz przeciwny. Łukasieński stał się bohaterem narodo-

wym, a jego działalność licznych znalazła naśladowców. I Towarzystwo Patrijotyczne nie tylko nie przestało istnieć, ale spotęgowało swą czynność. Znaleźli się nowi działacze — i organizację poprowadzili dalej, próbując dróg nowych, a między inn. i porozumienia się z rewolucjonistami rosyjskimi, którzy w owym czasie marzyli o zamachu i przekształceniu rządów absolutnych w Rosji.

Spiski, pociągając w swój wir ludzi starszych, szerzyły się jednocześnie i wśród kształcącej się młodzieży. Upokorzenia, jakich doznawał naród, odczuwała ona głęboko, a nie mogąc jawnie uczuć swych wyrażać, zaczęła naradzać się szeptem i skrycie marzyć o odbudowaniu utraconej ojczyzny. Na grunt tych marzeń padały ziarna, przynoszone wichrem rewolucyjnym z Zachodu — i hasła równości, wolności, braterstwa krzewiły się w sercach i bujnemi wschodziły kłosami. I oto zapanował wśród młodzieży nastrój serdeczny, podniosły, rosła chęć zdobywania wiedzy, a zarazem potęgował się duch patrijotyczny.

Jedną z pierwszych organizacji tajnych wśród młodzieży w Królestwie był związek, powołany do życia w r. 1820 pod nazwą Wolnych Braci Polaków.

Związek ten dzielił się na trzy loże, albo chorągwie, noszące imiona sławnych Polaków: Kościuszki, Rejtana i Kołłątaja. Każda z chorągwi miała swego delegata w kapitule, na której czele stał wielki mistrz. Przyjmowanie do związku odbywało się z wielkimi ostrożnościami, z zachowaniem form, które podówczas szeroko wśród spiskowców były rozpowszechnione.

Kandydata wprowadzano do obszernej komnaty, osłoniętej gęstym kirem, i tam w obecności zamaskowanego mistrza i żałobnie przystrojonych towarzyszy odbierano

uroczystą przysięgę. Na stole, przy którym zasiadał mistrz, widniała trupia czaszka na znak grobowej tajemnicy i ostrzegawczo błyszczał sztylet, przeznaczony dla tych, co by zdradzić zamierzili sprawę. Po odebraniu przysięgi zgromadzeni intonowali półgłosem pieśń chóralną — i kandydat stawał się członkiem związku.

Trzy lampki spirytusowe, rzucające niebieski blask na zebranych, miały przypominać trzy dzielnice Polski, których połączenie powinno być stać się celem życia dla każdego, kto przekroczył próg tajemniczej komnaty.

Już sama ceremonia przyjęcia do związku czyniła na młodych umysłach głębokie wrażenie i nieraz budziła uczucia, które przetrwały zmienne koleje życia i do grobu nie opuszczały sprzysiężonych. Znakomity poeta, Seweryn Goszczyński, w takich słowach wspominał później chwilę swego wstąpienia do związku:

Nie wiem, jak długo w tym zachwycie stałem,
Bo w nieskłóconej, tajemniczej ciszy
Wciąż pieśń ta brzmiała — a ja słuchałem,
A choć ucichła, dotąd ją słyszy
Dusza w swej głębi... Odtąd całe życie
Śpiewam ją sercem, przez nią, bracia mili,
Zawsze mię takim ujrzenie,
Jakim byłem w onej chwili.

I rzeczywiście, niektórzy związkowcy szeroko zastąpili zczasem, jako ludzie wielkiego serca i poświęcenia dla poślubionej w młodości sprawy.

O wiele wcześniej, bo już r. 1817, powstało w Wilnie Towarzystwo Filomatyczne, w którym rej wodzili Tomasz Zan, Józef Jeżowski i Adam Mickiewicz. Oni to powołali do życia jawne Towarzystwo Przyjaciół pożytecznej zabawy, czyli Promienistych, a gdy władze uniwersyteckie nie pozwoliły towarzystwu temu działać, przekształcili je w tajne towarzystwo Filaretów.

We wszystkich tych związkach kształcono się żarliwie, czytano cenniejsze utwory literatury polskiej, zaznajamiano się ze stanem spraw krajowych, a nie brak było i czynów, mających następstwa doraźne. Oto np. Promieniści skupowali książki, rozsyłali je ubogim kolegom po szkołach i szkółkach litewskich, by przenieść i tam zasady, które tak bujnie krzewiły się w Wilnie. Podczas wakacyj zbierali wszelkie wiadomości o stronach rodzinnych, zbliżali się do ludu, nieśli pod strzechę słowa pociechy i nadziei, a widocznie umieli pozyskiwać miłość, bo w chatach włościańskich widziano ich mile i podejmowano serdecznie.

Z biegiem czasu mnożyła się liczba tajnych stowarzyszeń i coraz szersze obejmowała koła.

A jednocześnie z budzeniem się nowych uczuć i nowych pożądań powiał świeży wiatr i w literaturze ojczystej.

To młodość rozwinęła skrzydła i ukazała się w dymach upojenia, w obłokach marzeń, ukazała się krzepka, dzielna, bezwzględna, budząc gniew i przerażenie wśród obywateli, którzy nie oczekiwali niczego, i porywając wszystkich, co ku nowemu życiu z tęsknotą wyciągali ramiona i przyzywali je całą potęgą i całą wiarą młodzieńczego serca. Adam Mickiewicz rzucił był właśnie w świat swą słynną *Odę do młodości* i tym grzmiącym, utworem, nawołującym do śmiałego czynu i do odpowiadania gwałtem na gwałt, ujarzmił wyobraźnię pokolenia. Większe jeszcze wrażenie uczynił poematem: *Konrad Wallenrod*. Ten tajemniczy rycerz, wypowiadający bój śmiertelny krzyżakom, ukazał się oczom ówczesnych, jako zwiastun walki nieubłaganej — i nowa pieśń Mickiewicza, jak daleki grzmot, poprzedzający burzę, rozległa się po całej ziemi polskiej.

Znaczenie tego poematu zrozumiał nawet Nowosilcow i w tajnym raporcie, przedstawionym w. księciu, pisał, że Mickiewicz chce przygotować przyszłe wypadki i nauczyć

swoje pokolenie być lisem, aby je zczasem przemienić w lwa.

I tym razem nie mylił się Nowosilcow. Istotnie Mickiewicz lwa chciał obudzić w pokoleniu, a jeśli nawet celu tego nie dopiął, to uczynił wiele, gdyż młodzież, czytając *Konrada Wallenroda*, przenikało uniesienie i żądza walki coraz silniej wżerała się w serca.

Wielkie wrażenie wywoływały również poematy takich poetów, jak Malczewski, Zaleski i Goszczyński, a także artykuły młodego, pełnego entuzjazmu krytyka Mochnackiego, który w swych pracach, pełnych ognia i zapału, tłumaczył publiczności znaczenie owych utworów lub w polemikach z przeciwnikami nowego prądu w literaturze odpierał wszelkie zarzuty i słowami, ostreimi jak miecze, miazdżył zwolenników rutyny, ładu i spokoju.

Powoli dojrzewały pragnienia młodzieży i myśl o powstaniu coraz wyraźniejsze przybierała kształty.

A Nowosilcow czuwał i na swój sposób czynił wszystko, aby ta myśl na chwilę nie przestała nurtować umysły.

Przeniósłszy swój lisi wzrok na kształcącą się młodzież, puścił pomiędzy nią swych szpiegów i odkrył związek Wolnych Braci Polaków.

Klasztor Karmelitów na Lesznie, przerobiony na więzienie, zapełnił się niebawem nowymi ofiarami. Rozpoczęły się śledztwa, a później posypały się kary. Spiskowców zaczęto wcielać do wojska rosyjskiego, wysyłać w głąb Rosji, pozbawiać praw i traktować, jak zbrodniarzy.

Prześladowania Nowosilcowa sięgnęły i do Wilna.

A stało się to tak.

Jeden z uczniów gimnazjum wileńskiego, kilkunastoletni Michał Plater, w rocznicę konstytucji 3 maja napisał w klasie na tablicy: „Niech żyje konstytucja 3 maja!“ I ten drobny fakt pociągnął za sobą nieobliczalne i nieprawdopodobne następstwa. Platera podpatrzył nauczyciel

języka rosyjskiego, Ostrowskij, i tak się przeraził owym napisem, iż zawiadomił o nim gubernatora. Gubernator, rzecz nie do uwierzenia! przeraził się również i ze swej strony wysłał raport do w. ks. Konstantego. A w. książę rozgniewał się srodze i polecił Nowosilcowowi zbadać przyczynę „buntu“.

Dla Nowosilcowa była to gratka nielada! Oczywiście, z zapałem zabrał się do dzieła i począł uśmierzać buntowników.

O tem uśmierzaniu całe dzieło możnaby napisać, ale dość powiedzieć, że młodziutkiego Platera zakuto w kajdany i pod silnym konwojem odesłano na dalsze śledztwo do Warszawy, w samym zaś Wilnie uwięziono rektora uniwersytetu, kilku profesorów i nauczycieli, wreszcie zaczęto nękać mieszkańców nieustannem badaniem i rewizjami.

Wkrótce policja wpadła na trop istniejących towarzystw — i od tej pory rozpoczęła się nowa era śledztw, aresztów, gromadnych wywożeń w głąb Rosji i na Sybir, słowem, era udręczeń, którą tak nieporównanie nieśmiertelnym swym piórem opisał w *Dziadach* Mickiewicz.

Jedyną jaśniejszą stroną życia w tym smutnym okresie był gospodarczy stan kraju. Dzięki pokojowi, podniosło się zaniedbane rolnictwo, ożył handel, rozwijać się zaczął przemysł górniczy i fabryczny. W miasteczkach, które w owych czasach składały się z chat, krytych słomą, przybywało coraz więcej domów murowanych, zwiększyła się ilość dróg bitych i traktów. Skarb Królestwa Polskiego znalazł się wkrótce w stanie kwitnącym i najzupełniej wystarczał na opędzanie niezbędnych potrzeb kraju. Przyczynił się do tego minister skarbu, książę Ksawery Lubecki, człowiek wielce pomysłowy i rzutki, obdarzony silną wolą i energią. W r. 1821 stanął on na czele skarbu i uratował zachwiane finanse Królestwa. Niedobór wydatków przenosił 20 milionów złotych polskich w r. 1820.

Lubecki pokrył wszelkie zaległości, doprowadził do równowagi budżet, t. j. wydatki i dochody, napełnił puste kasy i wykazał, że mały kraj sam wszystkie swoje potrzeby może zaspakajać. Lubecki umiał zyskać zaufanie Aleksandra, a później Mikołaja, zdobył ogromny wpływ w Petersburgu, był w kraju jedynym człowiekiem, który przeciwstawiał swą wolę w. księciu i nieraz walczył bardzo skutecznie z Nowosilcowem. Dzięki Lubeckiemu, przyszło do skutku założenie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które oddało wielkie usługi rolnikom, jego też dziełem był Bank Polski, instytucja urządzona i działająca wzorowo. Bank Polski popierał przemysł, handel i rolnictwo, a działalnością swoją budził podziw nawet nieprzychylnych Polsce cudzoziemców.

Niestety, potężny książę Lubecki lekceważył konstytucję. Gdy stała mu na drodze, to ją deptał bezceremonjalnie, twierdząc, że prawa konstytucyjne są przywilejem nie obywateli, lecz panującego. Szczęście Polski widział minister w ścisłym przymierzu z Rosją, względem Petersburga był zawsze lojalny, spiski potępiał, myśl o powstaniu uważał za przedsięwzięcie szalone i niebezpieczne. Zbogacając skarb Królestwa, gnębił obywateli podatkami, egzekwował zaległości skarbowe, cofając się kilkadziesiąt lat wstecz. Wbrew przywilejom, które posiadały miasta, a które pozwalały im wyrabiać i sprzedawać trunki, Lubecki wprowadził monopol rządowy i monopol ten powierzył wyzyskiwaczom, którzy, rozpajając ludność, dorabiali się majątków. Podatki nowe wprowadzał wbrew prawu. W ten sposób dokonał tego, że kasy rządowe napełniły się pieniędzmi, ale postępowaniem, często bezprawnym i bezwzględem, przyczyniał się do wzrostu niezadowolenia, które pogłębiali nieustannie w. ks. Konstanty i Nowosilcow. To przecież pewna, że powstanie, do którego przygotowywali się patrioci, nie mogłoby się rozwinąć, gdyby

nie to, że dzięki działalności Lubeckiego kasy były pełne, gdyż zgórą 30 milionów złotych polskich wynosił swobodny kapitał, zgromadzony przez Lubeckiego.

W r. 1825 zebrał się po raz trzeci Sejm, na który przyjechał Aleksander, poprzedzając swój przyjazd tak zw. Artykułem dodatkowym do Konstytucji, znoszącym jawność obrad, a więc odbierającym Sejmowi charakter instytucji publicznej. Otwarcie Sejmu inny jeszcze poprzedził wypadek, również w państwie konstytucyjnym nieznan. Oto w. ks. Konstanty, nie chcąc dopuścić do głosu opozycji, kazał aresztować posła Niemojowskiego, który zjechał do Warszawy — i pod eskortą żandarmów polecił odesłać go na wieś.

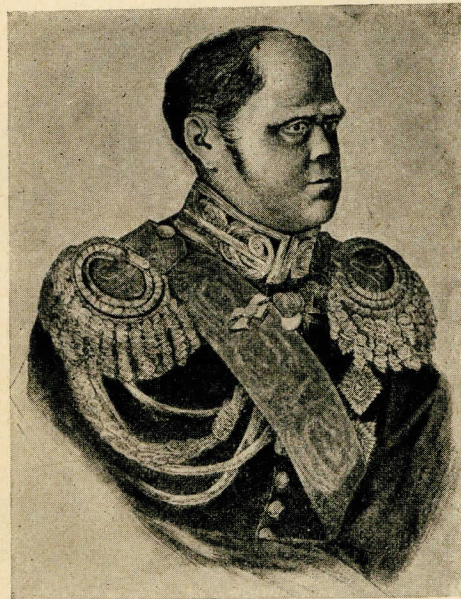
Jednakże wbrew temu, czego można było oczekiwać, obrady Sejmu przeszły spokojnie, posłowie zachowywali się z wielkiem umiarkowaniem — i Aleksander wyjechał z Warszawy zadowolony.

Wkrótce potem umarł.

Na opróżniony tron rosyjski wstąpił w grudniu roku 1825 młodszy brat w. ks. Konstantego, ponury car Mikołaj.

Był to okrutnik i despota w całym znaczeniu tego słowa. W Rosji rządził postrachem i grozą, a na Królestwo patrzył, jak na łup, oddany na pastwę jego zaborczych instynktów.

Intencje nowego monarchy względem Polski ujawniły się szybko i niebawem spotęgowały ogarniający społeczeństwo niepokój. Wprawdzie Mikołaj w manifestie, zwróconym do Polaków, przysięgał uroczyście, że utrzyma akt konstytucyjny, ale czyny mówiły co innego. W r. 1826 umarł Zajączek. Cesarz nie mianował nowego namiestnika, lecz władzę namiestniczą przełał na Radę Administracyjną, którą trząsał w. książę. Wogóle Mikołaj nie tał swego despotyzmu i wyraźnie dawał do poznania, że opozycji nie ścierpi. Chcąc przeciąć wszelkie marzenia o powiększeniu



WIELKI KSIĄŻĘ KONSTANTY

terytorjum Królestwa Polskiego, zaczął rusyfikować Litwę, a niebawem przekonał wszystkich, że nawet marzenia o odbudowaniu Polski, marzenia, podtrzymywane przez swego poprzednika, uważa za rzecz występną.

Stało się to w okolicznościach następujących.

Wstąpieniu Mikołaja na tron towarzyszyły zaburzenia rewolucyjne, wywołane przez spiskowców rosyjskich, tak zw. dekabrystów. Zaburzenia te krwawo rząd rosyjski stłumił, a śledztwa, mające zbadać przyczynę rozruchów, naprowadziły policję na ślady tajnych towarzystw, działających i w Królestwie Polskiem.

Rozpoczęła się nowa orgja aresztowań.

W ciągu stycznia i lutego 1826 r. niemal codziennie zwożono więźniów do klasztoru karmelitów, a gdy klasztor został przepełniony, obrócono na więzienie pałac brühlowski i lochy ratusza. Srożył się w. książę Konstanty, szalał Nowosilcow, a obaj zapragnęli dać społeczeństwu polskiemu nauczkę, któraby raz na zawsze odebrała chęć do spiskowania. Można było oczekiwać czegoś straszego. Cały kraj pamiętał proces Walerjana Łukasińskiego i drżał na myśl o tem, co stanie się z uwięzionymi.

Powody tego niepokoju były bardzo poważne, bo w. książę Konstanty i tym razem chciał oddać oskarżonych pod sąd wojenny. Nowosilcow czynił wszystko, aby tę myśl doprowadzić do skutku, na szczęście ks. Lubecki, zawsze lojalny i uległy, a pomiatający konstytucją, tym razem oparł się na konstytucji i wbrew Nowosilcowowi, którego szczerze nienawidził, domagał się zwołania Sądu Sejmowego.

Sprawa oparła się o samego cara i Lubecki, mający w Petersburgu wielkie wpływy, zwyciężył.

Zjechali się więc na sąd senatorowie i rozpoczęli obrady. Wszyscy rozumieli, że tu chodzi o rzecz bardzo ważną, gdyż wyrok miał kategorycznie potępić ludzi, którzy

myśleli o odbudowaniu ojczyzny, lub też uczynić senatorów współuczestnikami zarzuconej spiskowcom zbrodni.

Śród sędziów zdania były podzielone i nikt nie wiedział, jaki wyrok Sąd Sejmowy wyda.

Opinia mocno była zaniepokojona, wszyscy bowiem rozumieli, że tu nie tylko o los oskarżonych chodzi, lecz o dowód, że za oskarżonymi stoi kraj cały.

Więc gdy rozpoczął się proces, oczy całej Polski przeniosły się na ławę oskarżonych.

Kto zwycięży?

W. książę Konstanty i Nowosilcow, czy spiskowcy?

Pytania te przywarły do wszystkich ust i gorączkowe zniecierpliwienie ogarnęło umysły. Ustały wszelkie zabawy, zebrania, zbiegowiska, na ulicach mnóstwo osób ukazało się w żałobie, kościoły przepełniły się ludem. Z naprężeniem śledzono proces, z ust do ust podawano sobie niepublikowane szczegóły rozpraw. Każda wieść z sądu lotem strzały przebiegała miasto i elektryzowała czekającą wyroku publiczność.

Dnia 10 czerwca 1828 r. sędziowie ogłosili wyrok, orzekający, że oskarżeni nie popełnili zbrodni stanu, że cała ich wina polega na zakładaniu zabronionych towarzystw. Zgodnie z takim orzeczeniem skazano podsądnych na dwa do trzech miesięcy aresztu. Jedynie Seweryn Krzyżanowski sroższą poniósł karę.

Odetchnęła Warszawa, a z nią cała Polska. W oczach ogółu honor narodu był uratowany.

Lecz teraz jaskrawo wyszły na jaw intencje Mikołaja. Wbrew wszelkim orzeczeniom konstytucji car wydał reskrypt, rozkazujący Sądowi Sejmowemu wstrzymać opublikowanie wyroku. Senatorom polecono zatrzymać się w Warszawie, a podsądnych wsadzono na kibitki i powieziono do Petersburga, pod pretekstem skonfrontowania ich ze spiskowcami rosyjskimi.

Sędziom wyraził Mikołaj swoje niezadowolenie.

Wypadki te wszystkim otworzyły oczy. Do tej pory wiele wpływowych osób łudziło się jeszcze, że nadzieje, rozbudzone obietnicami Aleksandra, urzeczywistnią się zczasem, że Królestwo Kongresowe pod panowaniem cesarzów rosyjskich rozszerzy się i odzyska pełnię praw swoich. Obecnie zrozumieli wszyscy, że naród pozbawiony jest wszelkich swobód, że skoro nawet najwyższy sąd w kraju za wyrokowanie, zgodne ze swoim sumieniem, może być surowo karany, to niema żadnej rękojmi, która zabezpieczałaby przyszłość. Przekonano się ostatecznie, że nie tylko rozszerzenie praw narodu, ale utrzymanie ich w takim kształcie, w jakim zostały nadane, wymaga innych środków, niż opozycja w izbie poselskiej.

Pozostawało zdać się na łaskę i niełaskę Mikołaja, lub też o skuteczniejszej pomyśleć obronie.

Starsze pokolenie z trwogą spoglądało w przyszłość młodzież postanowiła porwać się do oręża i z bronią w ręku wystąpić w obronie praw narodu.

Żądza czynu przeniknęła serca.

II.

NOC 29 LISTOPADA.

Na widownię wystąpić mieli niebawem podchorążowie.

Byli to młodzi żołnierze, którzy, służąc w szeregach, dosłużyli się stopnia podoficerskiego, a pilnem wypełnianiem obowiązków zwrócili na siebie uwagę zwierzchności. W. ks. Konstanty postanowił kształcić tych młodych ludzi i przygotować ich na dzielnych, dobrze znających swoje rzemiosło oficerów. W tym celu utworzył szkołę, w której podchorążowie ćwiczyli się we władaniu wszelką bronią i zdobywali wiedzę fachową.

Szkoła mieściła się w jednej z oficyn pałacu Łazienkowskiego.

W. ks. Konstanty z zadowoleniem śledził postępy tych młodych żołnierzy, cieszył się ich dzielną postawą, postępami w nauce i roztropnością, a społeczeństwo, uważając podchorążych za pupilów w. księcia, nie podejrzewało ich nawet o jakieś wznioślejsze uczucia. Nikt nie wiedział, że w. książę tuż pod swoim bokiem umieścił najstraszniejszych wrogów, że te młode dusze, skazane na atmosferę koszar, przenika ogień uniesienia patriotycznego, że głowy podchorążych płoną i roją o czynach wielkich a śmiałych. Nikt nie przypuszczał, że w tej uczelni, otoczonej

troskliwością w. księcia, szerzy się buntowniczy spisek, że kują się miny i gromadzą się materiały palne.

Dzięki takim warunkom, podchorążowie swobodnie mogli spiskować.

Nieraz w przerwie pomiędzy jednym a drugim ćwiczeniem na wesołe zuchowate twarze podchorążych dziwna zstępowała powaga, a słowa, zamieniane ukradkiem, świadczyły, że nie tylko koszały i ćwiczenia są przedmiotem rozpraw. Nieraz w noc głuchą, gdy starszyzna przestała czuwać, w murach szkolnych słychać było szept przytłumiony. To podchorążowie rozprawiali o położeniu kraju, spowiadali się ze swoich uczuć i marzeń, radzili wspólnie, jak zaradzić złemu i w jaki sposób wywołać powstanie.

Marzenia te, początkowo niejasne i nieokreślone, znalazły ujście w tajnem sprzysiężeniu, zwanem spiskiem podchorążych.

Spisek ten utworzył w grudniu 1828 r. podporucznik grenadierów gwardji, a zarazem instruktor w szkole podchorążych, Piotr Wysocki. Była to czysta i płomienna dusza, gotowa do największych poświęceń. Szczerze bolejąc nad tem, co się dzieje w kraju, Wysocki postanowił zorganizować młodzież wojskową i w odpowiedniej chwili zbrojnie upomnieć się o podeptane prawa. Niestety, naczelnik spisku nie sięgał w przyszłość i marzył tylko o wywołaniu wybuchu, sądząc, że na dany sygnał kraj cały porwie się do broni. W dodatku Wysocki nie miał przed sobą jasno określonego celu. W rocie przysięgi, którą składali spiskowcy, mówiono o podniesieniu oręża w obronie konstytucji, tymczasem było rzeczą jasną, że powstanie, zakończone klęską, nie obroni konstytucji, przeciwnie zaś, uwięzione zwycięstwem, nie poprzestanie na zapewnieniu Królestwu swobód konstytucyjnych, lecz siłą rzeczy doprowadzi do przyłączenia Litwy i zupełnej niezależności narodu.

Tego wszystkiego nie przewidywał Wysocki, ani jego młodzi przyjaciele — i spisek pod złą wróżbą rozpoczął życie.

Mimo to rósł szybko w siły i znaczenie, w szeregach spiskowców znalazło się wkrótce wielu oficerów z różnych pułków, znajdujących się w Warszawie i na prowincji, a zczasem do spisku przyłączyło się grono cywilne, gotowe oddać swe siły na usługi sprawy.

Do grona tego należał znany poeta Seweryn Goszczyński, jego serdeczny przyjaciel, Ludwik Nabelak, obaj jak gdyby stworzeni z ognia i siarki, obaj dzielni, odważni, niecierpliwi, silni moralnie i fizycznie, a gotowi na czyny choćby najszaleńsze. Przystąpił do spisku i Ksawery Bronikowski, człowiek rzetelny i uczciwy, w robocie spiskowej zaprawiony oddawna, a dalej Maurycy Mochnacki, ten sam znakomity krytyk, który odpierał zamachy na romantyzm, umysł rzutki, przewidujący, najtęższa głowa, jaką zyskał spisek Wysockiego.

Mochnacki szybko zorientował się w sytuacji i odkrył słabe strony spisku. Rozumiał on, że, chcąc działać z powodzeniem, trzeba przewidzieć wszystko i wszystko przygotować. Namawiał więc Wysockiego, aby przed wybuchem rewolucji pomyślał o zorganizowaniu rządu rewolucyjnego i aby ten rząd utworzył z ludzi młodych, energicznych, którzy z zapałem oddaliby się sprawie i od razu nadali jej właściwe kształty.

Spiskowcy porozumiewali się z kilkoma wybitnymi osobistościami, rozmawiali z niektórymi posłami, wtajemniczyli w swoje plany Juljana Ursyna Niemcewicza, towarzysza Kościuszki, zawiadomili o swoim istnieniu księcia Adama Czartoryskiego, komunikowali się z Lelewelem, ukochanym przez młodzież profesorem, tu i owdzie mieli nawet obiecane poparcie, ale o utworzeniu rządu rewolucyjnego nie myśleli całkiem.

Wysocki był przekonany, że rząd taki utworzy się sam przez się z ludzi znanych i cenionych. O tem, aby spiskowcy pochwycili władzę, ani chciał słyszeć.

— Któż nas zna? — zapytywał Mochnackiego, gdy ten przedstawiał mu swoje projekty.

Ale Mochnacki nie tropił się łatwo.

— Cóż z tego — odpowiadał Wysockiemu — że nas teraz nikt nie zna, bo czyliż nie damy się wszystkim poznać samem zaczęciem rewolucji? Pierwsze kroki rządu, złożonego z nas, spiskowych, uczynią nas natychmiast wielkimi i znanymi całemu światu — argumentował Mochnacki i mówił o wrazeniu, które sprawi uwięzienie w. księcia, rozbicie jego gwardji, gwałtowny marsz powstańców na Litwę i Wołyń.

Ale Wysocki nie czuł się na tyle silnym, by podołać tak wielkim zadaniom, i ani chciał słyszeć o śmiałych planach Mochnackiego.

W maju r. 1829 przyjechał Mikołaj do Warszawy na koronację i wówczas to powstał projekt dokonania zamachu, który poprzedzić miał powstanie. Projekt nie doszedł do skutku i wybuch powstania został odłożony.

W rok potem przyjechał do stolicy Mikołaj na otwarcie Sejmu.

Publiczność, świadoma usposobienia cara, przyjęła go zimno, a izba poselska wbrew wyraźnie objawionej woli monarszej odrzuciła znowu projekt rządowy w sprawie małżeństw i rozwodów. Przeciw projektowi przemawiali gorąco posłowie Wołowski oraz uczony Lelewel, postępujący z powiatu żelechowskiego i oni głównie przyczynili się do oporu izby. Co więcej, podczas obrad jeden z posłów wygłosił mowę protestacyjną przeciwko ministrowi sprawiedliwości, który zgodnie z reskryptem cesarskim wstrzymał publikację wyroku Sądu Sejmowego. Ponadto domagali się posłowie zniesienia Artykułu dodatkowego do konstytucji,

prosił o ulaskawienie Łukasieńskiego, o zwolnienie z pod dozoru policji Wincentego Niemojowskiego, o powstrzymanie szaleństw, jakich dopuszczała się cenzura.

Oburzył się Mikołaj, widząc zachowanie się posłów. Sejm zamknął przemówieniem gniewnem i chociaż zapewniał, że nie przestanie czuwać nad prawdziwym szczęściem narodu, opuścił Warszawę z zamiarem zawieszenia konstytucji.

Wypadki te podniosły wysoko temperaturę w spisku podchorążych. W dwa miesiące potem, pod wpływem rewolucji lipcowej we Francji, gorętsze żywioły zaczęły nalegać na Wysockiego, by nie odkładał wybuchu.

Pod wpływem takich głosów spiskowcy przystąpili do przygotowań. Warszawa, przeczuwając niedalekie wypadki, zaczęła głośno mówić o rewolucji. Nowosilcow przewidywał, że stanie się coś złego, i uciekł z Warszawy; to samo uczynił zniemawidzony cenzor Szaniawski. Tajna policja ostrzegła w. księcia, by miał się na baczności. Jakoż oznaki groźnych wypadków mnożyły się z dnia na dzień. Pomiędzy publicznością kursować zaczęły tajnie drukowane pisemka i odezwy, mówiące w tajemniczy sposób o przyszłych wypadkach, a jakiś figlarz na bramie pałacu belwederskiego przyklejał co pewien czas kartkę z napisem: Mieszkanie do wynajęcia, co miało oznaczać, że w pałacu tym niedługo już w. książę rezydować będzie.

Tymczasem Konstanty, straszony nieustannie widmem powstania, tym razem nie wierzył w kursujące po mieście pogłoski i aczkolwiek zwrócił baczniejszą uwagę na szkołę podchorążych i dozór nad nią powierzył zaufanemu generałowi Trembickiemu, jednakże przestał zważać na donosy, a nawet kilku spiskowców, pociągniętych do śledztwa, między nimi i Wysockiego, rozkazał uwolnić.

Ale policja każdej chwili mogła wpaść na nowy dowód sprzysiężenia i otworzyć oczy w. księciu. W takich



PIOTR WYSOCKI

warunkach nie można było zwlekać — i Wysocki postanowił przystąpić do dzieła.

W podnieconej atmosferze zaczęły się ostateczne przygotowania.

A zaczęły się fatalnie...

Spiskowcy nie mieli dość zdecydowania, aby ważyć się na wszystko i ster powstania ująć w swoje ręce. I nie mieli za sobą ludzi, których popularność zapewniałaby dziełu powodzenie. I nie mieli wodza, któryby wojsko pociągnął za sobą. Całą ich bronią był zapał, całą nadzieją — wiara, że dość wznieść w górę sztandar powstania przeciw znienawidzonej Moskwie, aby kraj cały porwał się do brojni. Co stanie się potem, o tem nikt nie myślał. Dopiero 21 listopada przywódcy spisku postanowili zasięgnąć rady i opinii Lelewela, który całą duszą sprzyjał młodzieży, a imię miał sławne i wielce przez wszystkich poważane.

Niestety, światły ten mąż, niezwykle twórczy w dziedzinie nauki, pozbawiony był twórczej woli życiowej i owej energii, która stwarza wypadki i wypadkami kieruje. Znakomity profesor, daleki od śmiałej decyzji, od szybkich i gwałtownych rzutów, od wielkiego ryzyka wreszcie, ugiął się odrazu pod ciężarem odpowiedzialności i nie dał jasnej a wyraźnej odpowiedzi. Nie odradzał powstania, ale i nie zachęcał do niego. Wyraził tylko opinię, że młodzież, zaczawszy powstanie, powinna się rzec kierowniczej roli i wszelkich pretensyj, nie objawiać woli swojej, lecz cały kierunek sprawy pozostawić starszym braciom, którzy trafniej, niż młodzież, dążenia narodu polskiego przed światem objawia. Radził wreszcie zaufać Sejmowi...

Wysocki poprzestał na tej odpowiedzi, lecz już o żadnej zmianie w swych planach nie myślał.

W ten sposób całe przedsięwzięcie skazane zostało na los przypadku. „Starsi bracia“, o których mówił Lelewel, nie byli wtajemniczeni w plany i zamiary powstania,

nie wiedzieli nic o jego sile i środkach, nie myśleli ryzykować wszystkiego na pierwsze wezwanie garstki młodzieży. A Sejm... Sejm mógł być zwołany dopiero po spełnionym fakcie.

W takich warunkach przyszłość powstania przedstawiała się bardzo niepewnie.

Były serca gorące i ofiarne dusze, były ręce, gotowe do chwycenia na dany sygnał za oręż, nie było tylko kierowniczej woli, nie było głowy, nie było myśli, ogarniającej całość przedsięwzięcia i sięgającej w przyszłość.

I wojskowej strony powstania nie zdołano przygotować, jak należy.

Tymczasem dzień 29 listopada nieodwołalnie przeznaczony został na rozpoczęcie wybuchu.

Prócz wtajemniczonych nikt nie wiedział o wyznaczonym terminie. Wyżsi wojskowi i dygnitarze cywilni nie domyślali się niczego, a jeśli kto z nich miał jakieś obawy, to rozpraszał je spokój Konstantego.

W normalnych warunkach rozpoczął się ów historyczny dzień 29 listopada i upłynął spokojnie. Lecz oto zbliżał się wieczór i mrok zaczął otulać miasto. Spiskowcy, ukończywszy przygotowania, podążyli na umówione stanowiska i w niezmiernym napięciu oczekiwali uderzenia godz. 6-ej, która wyznaczona została na rozpoczęcie kroków stanowczych. Łuny pożarów, jednego na Solcu, drugiego na Nowolipiu, miały wezwać spiskowców do dzieła i oznajmić stolicy o powstaniu.

Dwa główne zadania mieli przed sobą sprzysiężeni.

Jednem z nich było pochwycenie lub zabicie w. księcia, drugim — rozbrojenie wojsk rosyjskich. Jednocześnie garść młodzieży miała poruszyć lud Starego Miasta, a wojskowi, po dokonaniu rozbrojenia, skoncentrować w jednym miejscu wszystkie pułki polskie, na które można było liczyć.

Jak ułożyć się dalsze wypadki, co czynić po dopięciu zakreślonych celów, komu oddać władzę i w jaki sposób ją utworzyć, o tem wszystkiem Wysocki nie myślał.

Na Belweder miało napaść ośmnastu śmiałków *) pod wodzą Nabelaka, Wysocki zaś na czele podchorążych winien był uderzyć na koszary trzech pułków gwardji konnej rosyjskiej i pułki te rozbroić. Z odsieczą podchorążym miało przybyć kilka kompanij piechoty.

Dobrze przed szóstą zaczął się zbierać na moście Łazienkowskim oddział Nabelaka, ale jeszcze nie zeszli się wszyscy, gdy przedwcześnie rozniecony pożar na Solcu zmieszał zgromadzonych. Pożar wszczął się o godz. 5^{1/2}, a o 6 zagasł, na Nowolipiu zaś nie było widać umówionego ognia. Nabelak nie wiedział, co to oznacza, i namyślał się, co przedsięwziąć, gdy w pobliskich koszarach zadzwoniono na alarm ogniowy, a Łazienki zaczęły przebiegać jacyś ludzie, wysłani na zwiady. Spiskowcy postanowili rozproszyć się na chwilę i zebrać się znowu na moście, gdy alarm, wywołany pożarem, ucichnie. Jakoż łuna na Solcu niebawem zagasła i oddział Nabelaka zebrał się ponownie, ale nie wiedział, co robić. Cisza panowała dokoła, w pobliżu tysiącem świateł migotało miasto, ale łuny na Nowolipiu widać nie było. Napróżno zebrani wyteżali wzrok. Płynęła minuta za minutą, długa, jak wieczność, park Łazienkowski szumiał ponuro nad głowami spiskowców, a oni stali w mroku nocnym, stali zagniewani, niepewni, narażeni w każdej chwili na wielkie niebezpieczeństwo zdradzenia swojej obecności i obudzenia podejrzeń.

*) Oto ich nazwiska: Nabelak, Goszczyński, Trzaskowski, Zenon Niemojowski, Roch i Nikodem Rupniewscy, Orpiszewski, Jankowski, Nasiorowski, Kobylański, Paszkowicz, Poniński, Trziński, Rottermund, Świętosławski, Krosnowski, Rettel i Kosiński.

Wreszcie Nabelak i Goszczyński wyruszyli na zwia-
dy i szczęśliwym trafem spotkali Wysockiego, który śpie-
szył do szkoły podchorążych. Od niego dowiedzieli się
o fatalnym zbiegu okoliczności, który nie dozwolił wznie-
cić jednocześnie dwu umówionych pożarów, a zarazem
i o tem jeszcze, że mimo wszystko trzeba rozpoczynać
natychmiast.

Wówczas nowy duch wstąpił w garstkę śmiałków Na-
bielaka. Zniechęcenie prysło w jednej chwili i męstwo
wstąpiło w piersi sprzysiężonych. Nabito przyniesione
karabiny i oddział podzielono na dwie równe części, z któ-
rych jedna miała napaść na Belweder od frontu, a druga
pilnować tyłów pałacu, co było koniecznem na wypadek,
gdyby w. księciu udało się wymknąć.

Tymczasem w Belwederze panowała cisza.

Wielki ks. Konstanty spał spokojnie, nie przeczuwając,
co się święci tego wieczora. Naraz na dziedzińcu przed
książęcą siedzibą rozległy się przerażające okrzyki, jęknęły
szyby pałacowe i rozprysły się z trzaskiem, jacyś ludzie
wyważyli drzwi i, jak huragan, wtargnęli do komnat, wo-
łając strasznym głosem:

— Śmierć tyranowi!

Budzi się Konstanty, słyszy hałas i złowróżbne okrzy-
ki, zrywa się na równe nogi i, podtrzymywany przez ka-
merdynera, biegnie do pokoiów żony i w otoczeniu kobiet
szuka dla siebie ratunku.

Tymczasem oddział sprzysiężonych, wpadłszy do wne-
trza pałacu, przebiega jeden pokój za drugim, lecz nigdzie
nie znajduje oporu. Więc czyni ogromny hałas, przewraca
napotkane sprzęty, lecz nadaremnie poszukuje w. księcia.
Cisza i pustka wieje z każdej komnaty. Dopiero przed
sypialnią w. księżny napastnicy spotykają gubernatora Lu-
bowidzkiego, który przybył właśnie do Belwederu, by uprze-
dzić w. księcia o niebezpieczeństwie. Lubowidzki stoi przed

drzwiami i osłania je rozkrzyżowanymi rękoma. Uderzony
bagnetami, pada zalany krwią — i napastnicy chcą kroczyć
dalej, gdy wtem od tyłów pałacu rozlega się okrzyk:

— Wielki księżę zabity!

Wówczas oddział Nabelaka przerywa dalsze poszuki-
wania i z tą samą szybkością, z jaką wpadł, wybiega
z pałacu. Lecz cóż się okazało? Oto wkrótce przed na-
padem przyjechał do Belwederu generał rosyjski Gendre.
Usłyszawszy groźne okrzyki, rzucił się do tylnego wyjścia
i, jak kula, wpadł pomiędzy oddział, pozostawiony na straży
tyłów pałacowych. Spiskowcy, dostrzegłszy w ciemnościach
mundur generalski, wzięli uciekającego za w. księcia i prze-
szyli pierś generała bagnetem.

Po chwili oddział połączył się i szybkim krokiem
zmierzał do mostu łazienkowskiego.

A w tym samym czasie, gdy w. księżę szukał dla
siebie schronienia w pokoju żony, do szkoły podchorążych
wszedł Piotr Wysocki, przerwał odbywający się o tej porze
wykład i, dobywając szpady, zawołał gromiącym głosem:

— Polacy! godzina zemsty wybiła. Dzisiaj zwycię-
żym, albo polegniemy...

W sali zapanował entuzjazm.

— Nadstawmy swe piersi wrogom, aby stały się dla
nich Termopilami!... — wołał Wysocki.

— Do bron! do bron! — odpowiedzieli mu hucznym
głosem podchorążowie, pochwycili karabiny, rozebrali ostre
ładunki, wypadli ze szkoły i w mgnieniu oka sformowali
się w ordynek bojowy. „Było ich wszystkich stu sześćdzie-
sięciu kilku, — powiada w dziele swoim o powstaniu
Mochmacki, — każdy z nich znał komendę brygady i dywi-
zji, jak generał, a robił bronią, jak szermierz. Zręczniej-
szych tyraljerów, celniejszych strzelców pewnie żadne woj-
sko nie miało. Teraz szli się odplacać za długą naukę
na Saskim placu! Na czele tej kolumny uczonych atletów

postępował Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej“.

Zbliżywszy się do koszar, podchorążowie rzucili się zaraz w środek zabudowań, lecz tu zastali już trzystu ułanów, siedzących na koniach, a gotowych do szarży. Niezmieszani tym widokiem, podeszli na pół strzału karabinowego do nieprzyjaciela i z tej odległości sypnęli ogniem. Ułani pierzchnęli, lecz po chwili sformowali się znowu i kłusem ruszyli ku atakującym. Po raz drugi przyjęci strzałami, rozproszyli się w nieładzie. Noc ciemna nie pozwoliła zorjentować się wojskom rosyjskim, ilu nieprzyjaciół mają przed sobą, i podchorążowie z łatwością mogli opanować koszary. Ale zapowiedziana pomoc nie przybywała, a tymczasem siedli na koń husarze, kirasjerzy i próbowali otoczyć podchorążych, a zarazem odciąć ich od miasta. Nie widząc innej rady, Wysocki dał rozkaz do odwrotu i cały oddział cofnął się w kierunku Łazienek. Spotkawszy po drodze Nabelaka z towarzyszami, podchorążowie zabrali ich z sobą i razem ciągnęli ku miastu. Strzelając do zastępującej drogę konnicy, to robiąc sobie przejście bagnietem, dostali się w aleje i, trupem ustławszy drogę, wpadli nareszcie do miasta. Na placu św. Aleksandra spotkali generała Potockiego, którego znali, jako dobrego patriotę.

— Generalel prowadź nas! — prosili podchorążowie.

W odpowiedzi na to Potocki zgromił ich mocno i skierował się ku Belwederowi. W godzinę potem, wróciwszy do miasta po wiadomości, zginął od bratniej kuli.

Tymczasem oddział Wysockiego, rozgoryczony odmową Potockiego, ciągnął przez Nowy Świat ku Krakowskiemu Przedmieściu. Ulice były puste. Mieszkańcy, przestraszeni wrzawą i kursującymi pogłoskami, zamykali okiennice, ryglowali sklepy.

— Do bronil do bronil — wołali podchorążowie.

Odpowiadała im cisza. Miasto, nieczułe na te okrzyki, było głuche, jakby wymarłe. Podchorążym wydawało się w tej chwili, że pozostali sami, że ich rozpaczliwym wołaniom żadne nie odpowie echo, że daremne ich czyny nie zdołają poruszyć sennej stolicy, że marzenie ich życia, powstanie, umarło przedtem jeszcze, nim zdążyło się narodzić. Zrozpaczeni i gniewni posuwali się dalej. W takim nastroju spotkali generała Trembickiego, który niedawno z rozkazu w. księcia objął nad szkołą podchorążych komendę. I, podobnie jak Potockiego, zaczęli prosić swego naczelnika:

— Generalel prowadź nas dalej!

Odurzył się Trembicki, ofuknął ich ostro i zażądał, by natychmiast złożyli broń i oddali się na łaskę w. księcia. Nadaremnie podchorążowie odwoływali się do patriotyzmu generała, nadaremnie przekładali mu, że mają za sobą wojsko i lud. Generał, głuchy na wszelkie perswazje, krzyczał i groził. Więc wzięli go w środek i, wzburzeni odmową, wiedli ze sobą. Koło pałacu namiestnika zajęchał drogę oddziałowi Wysockiego minister wojny, generał Hauke, i szef sztabu, pułkownik Meciszewski. Pierwszy ostro zaczął przemawiać do młodzieży, a gdy podchorążowie go zakrzyczeli, porywczy i gwałtowny Meciszewski dobył z olster pistoletu i huknął w środek oddziału. W jednej chwili błysnęły bagnety i obaj obrońcy porządku martwi runęli na ziemię.

Doszedłszy do ulicy Koziej, oddział Wysockiego zatrzymał przejeżdżającą karetę.

— Kto jedzie? — zapytano stangreta.

— Generał Nowicki — odpowiedział zapytany.

Nieszczęściem, podchorążowie przesłyszeli się i byli pewni, że odpowiadzano im: generał Lewicki. Ten ostatni, srogi Rosjanin, był gubernatorem Warszawy i złą miał

opinię. W jednej chwili kilka kul przeszło karetę i generał Nowicki, człowiek pocziwy i szanowany, życiem przypłacił tę straszną omyłkę.

Na ulicy Bielańskiej podchorążowie znowu zwrócili się do Trembickiego:

— Widziałeś, generale, co spotkało zdrajców. Połącz się z nami!

Trembicki, hardy i dumny, odpowiedział nowemi pogroźkami.

— Generale — wołali podchorążowie — połącz się ze sprawą narodu, stań na naszym czele!

W odpowiedzi na to Trembicki hardo oświadczył, iż nigdy nie stanie na czele nikczemnych morderców. Tego było dla podchorążych za dużo — i Trembicki poległ.

Pozostawiwszy za sobą tyle trupów, podchorążowie przyszedli pod arsenał. Teraz dopiero otoczył ich gwar miasta, ruch i ożywienie.

Po licznych przeszkodach i niespodziankach, po utarczkach z Moskalami, ciągnęły do arsenału oddziały wojsk polskich, prowadzone przez należących do spisku oficerów. I tutaj padł przeszyty kulami generał Blumer, kiedy spróbował rozbroić wzburzonych żołnierzy. A wraz z wojskiem walił pod arsenał zawezwany do broni lud ze Starego Miasta, rozchwytywał pałasze, karabiny, zbroił się i stawał obok żołnierzy. W księżę, przerażony napadem, ani myślał przeszkadzać powstańcom. Dzięki temu, powstanie, w pierwszych swoich krokach niepewne i chwiejne, poważną zaczęło przybierać postawę. Było zbuntowane wojsko, był lud uzbrojony, tworzyła się siła rewolucyjna i groźna, rosnąca nieustannie i nabierająca zaufania do sprawy.

Tymczasem i carewicz ochłonął z pierwszego strachu. Namawiany przez generałów, którzy do niego przybyli, ruszył w aleje Ujazdowskie, gdzie zgromadzono już całą jazdę rosyjską. Niebawem przyłączył się do jazdy rosyj-

skiej pułk polski gwardji strzelców konnych, przyprowadzony przez generała Kurnatowskiego. Namawiano w. księcia, aby uderzył na powstańców, ale Konstanty stracił głowę, a szmer zbuntowanej stolicy napełniał go przerażeniem. Więc stał bezczynnie i z trwogą wlepił oczy w zbuntowane miasto. Wreszcie po długich wahaniach, mówiąc, że Polacy zaczęli rozruchy, więc trzeba, by je Polacy stłumi, wyprawił ku miastu pułk strzelców konnych. Ci zajęli Nowy Świat i przylegające ulice, lecz przekonawszy się, że powstańcy zagarnęli całą przestrzeń od placu Bankowego aż po plac Zamkowy, zatrzymali się niepewni, to posuwając się ku Krakowskiemu Przedmieściu, to cofając się aż w aleje...

A Rada Administracyjna, właściwy rząd Królestwa, straciła najzupełniej głowę. Przyzwyczajona do ślepego słuchania tego, czego żądał w. książę i Nowosilcow, nie wiedziała teraz, co począć. Ale nie stracił głowy obrotny minister skarbu, ks. Lubecki. Przekonawszy się, że rewolucja nie wyłoniła własnego rządu, zwołał w porozumieniu z ks. Czartoryskim Radę Administracyjną, nakłonił ją do przyjęcia nowych członków i osłaniając się ich popularnością, postanowił trwać na stanowisku, stłumić rewolucję i spokój przywrócić w stolicy.

A tymczasem w śródmieściu trwała strzelanina i hałasował lud podniecony.

Dobrze po północy strzały ucichły.

Na ulicach i placach zapłonęły ogniska, rzucając krwawe światło na zgromadzony lud i żołnierzy, a zgiełk orężny pomieszał się z odgłosami patroli, wysuniętych poza linię dwu wojsk nieprzyjacielskich.

W oczekiwaniu krwawej walki upłynęła reszta pamiętnej nocy 29 listopada.

III.

PIERWSZE DNI POWSTANIA.

Noc ta nie osiągnęła zamierzonego celu.

W. książę wymknął się rewolucjonistom, wojska rosyjskie nie zostały rozbrojone, a po stronie Konstantego stali jeszcze Polacy. Wobec bezczynności w. księcia wszystko można było bardzo szybko naprawić, ale brak jakiegokolwiek władzy rewolucyjnej sprawił to, że powstańcy, podobnie jak w. książę, trwali w bezczynności.

Wstał nowy dzień. Oba nieprzyjacielskie obozy stały w pogotowiu wojennym, ale stały bezczynne, nieruchome, jak gdyby zamarłe we wzajemnem przenikaniu swych planów.

Dnia 30 listopada dowiedzieli się mieszkańcy stolicy, że ubiegłej nocy zebrała się Rada Administracyjna, że do Rady zaproszeni zostali znani obywatele, jak Julian Ursyn Niemcewicz, kasztelan Kochanowski, ks. Michał Radziwiłł, wreszcie słynny generał Chłopicki, w którym rewolucjoniści widzieli swojego wodza, choć on nigdy niczem nie przejawiał sympatii swojej dla sprawy powstania,

Cóż poczęła Rada?

Oto z jej upoważnienia ks. Lubecki i ks. Adam Czar-torski udali się do w. księcia i namawiali go, aby siłą

zbrojną stłumił rozruchy. Tak postąpili „starsi bracia“, którym zaufała rada Lelewel. Ale w. książę obawiał się walki.

— Polacy — odpowiedział — zaczęli; trzeba, żeby Polacy skończyli.

Rada Administracyjna przyjęła do wiadomości tę odpowiedź i próbowała na swoją rękę uśmierzyć wzburzoną stolicę. W tym celu wydała nazajutrz w imieniu Mikołaja odezwę, w której nawoływała rodaków do spokoju i ładu, a wypadki ubiegłego wieczora nazywała „smutnemi“.

Rewolucjoniści z radością dowiedzieli się o nowym składzie Rady, ale jej odezwa wywołała gniew i oburzenie. Teraz dopiero stało się jasnym, jak wielki błąd popełnili spiskowcy, nie ustanowiwszy władzy, sprzyjającej ich celom. Powstanie, straciwszy pierwszy impet, zatrzymało się jak wryte, a nazwiska ludzi, cieszących się popularnością, a podpisanych pod odezwą, potępiającą wybuch, wywołały w obozie rewolucyjnym żal, gniew i zdumienie.

Wszyscy, którzy przechylali się na stronę powstania, odczuli, że dzieło, rozpoczęte 29 listopada, jest silnie zagrożone przez samych Polaków, ale nie wiedzieli, co czynić, by rewolucji dodać powagi i nakazać dla niej szacunek. Odezwa Rady nie budziła żadnej wątpliwości o zamiarach nowego rządu. Posłowie, znajdujący się w Warszawie, a chcący zamiary te sparaliżować, wysłali do Rady deputację, z żądaniem, by z Rady ustąpili ministrowie Mikołaja i zastąpieni byli przez członków Sejmu. Żądaniu temu uczyniono zadość. Prócz Lubeckiego, opuścili Radę wszyscy ministrowie, a na ich miejsce wszedł senator Dembowski, posłowie Ostrowski, Małachowski i Lelewel. Ten ostatni nie umiał utworzyć władzy powstańczej, a oddając swoją wielką popularność na usługi rządu, co był powstaniu przeciwny, sam nie zdając sobie z tego sprawy, zadawał nowy cios przedsięwzięciu, któremu pragnął służyć z najlepszą wolą i najlepszą wiarą.

Tegoż dnia generał Chłopicki, który o sprawcach wybuchu odzywał się w najobelżywszych wyrazach, a powstanie nazywał szaleństwem, zgodził się na usilne nalegania objąć tymczasowo naczelne dowództwo nad wojskiem.

Wszystko to nie odpowiadało widokom rewolucjonistów. Najprzenikliwszy z nich, Maurycy Mochnacki, postanowił obalić Radę Administracyjną i na jej ruinach nową ustanowić władzę, t. j. rząd zdecydowany, śmiały, rewolucyjny. W tym celu zebrał grono jednomyślnych towarzyszy i wtargnął wraz z nimi do ratusza. Tutaj wbrew protestom prezydenta rozpoczęto obrady. Rezultatem tych obrad było zorganizowanie zbrojnego klubu rewolucyjnego, który nazwano Towarzystwem Patriotycznym, a który miał na celu spopularyzować powstanie i skłonić Radę Administracyjną do swoich widoków, lub też zniszczyć ją w ogniu rewolucji i własny rząd wyłonić. Rozumiejąc, że popularny Lelewel może oddać sprawie rewolucji wielkie usługi, postanowiono wydrzeć go Radzie i, acz był nieobecny, ogłoszono go prezesem klubu. Wreszcie zdecydowano na dzień 2-go grudnia zwołać w salach reutowych na placu Krasińskich zgromadzenie ludowe i zgromadzeniu temu nadać charakter szczerze rewolucyjny.

Miał to być ze strony patriotycznej młodzieży pierwszy krok, zmierzający do wydarcia władzy z rąk niepowołanych.

Więc twórcy klubu żywo zabrali się do pracy i rozpoczęli energiczną agitację, by zjednać sobie lud stolicy i zamiarom swoim zapewnić powodzenie.

A w. książę, nie czując się bezpiecznym w Warszawie, przeniósł się do Wierzbna i w dalszym ciągu nie mogąc się na nic zdecydować, czekał, co przyniosą wypadki. Stał kwaterą w nędznej karczmie i niepewny dnia, ani godziny, przestraszony, potulny, gotów był do dalszych ustępstw, jak i do opuszczenia kraju.

Dnia 2 grudnia pojawili się w Wierzbnie delegaci Rady Administracyjnej, by rozpocząć z w. ks. układy. Delegację stanowili: ks. Czartoryski, ks. Lubecki, poseł Ostrowski i uczony Lelewel.

Lubecki, który pragnął stłumić powstanie, ale przewidywał już, że rewolucja może się rozwinąć, chciał za wszelką cenę skłonić Konstantego, aby powrócił do Warszawy. Minister słusznie rozumował, że zarówno na wypadek wojny, jak na wypadek pokoju zakładnik taki, jak starszy brat carski, oddany całkowicie na łaskę Polaków, będzie poważną zdobyczą i wielkie może oddać usługi. Ale Lelewel, pomny na wzburzenie stolicy, a widzący w w. księciu znienawidzonego tyrana, wypowiedział się przeciw powrotowi Konstantego do Warszawy. Opinię Lelewela podzielił Ostrowski. A w. książę, na którym skóra cierpiała ze strachu, przychylił się do tej opinii i postanowił ustąpić z Polski. Obiecał nadto, że wstawi się do Mikołaja, by car wszystko, co zaszło, puścił w niepamięć. Nadto przyrzekł Konstanty, że nie będzie atakował Warszawy.

W ten sposób, skutkiem stanowiska Lelewela, rewolucja wypuszczała z rąk swoich zdobycz, która posiadała wartość wręcz nieocenioną.

A w tym samym czasie, gdy delegaci Rady Administracyjnej zawierali układ z Konstantym, tłumy ludu na wezwanie organizatorów Towarzystwa Patriotycznego ciągnęły manifestacyjnie do sal reutowych. Śród manifestantów znaleźli się rzemieślnicy, uczniowie, studenci, profesowie, deputowani różnych oddziałów wojska, uczestnicy wszelkich spisków i stowarzyszeń tajnych, słowem, wszyscy, których oburzało postępowanie istniejącej władzy. A wszyscy przyszli uzbrojeni w karabiny, pałasze, pistolety, przyszli groźni, ożywieni zapalem i zdecydowaniem. Sale reutowe okazały się za szczupłe, więc lud wypełnił dziedziniec i plac Krasińskich.

Ci zaś, co przyszedli wcześniej i dostali się do wnętrza, zajęli najobszerniejszą salę, w środku jej ustawili podłużny stół, który miał służyć za trybunę, i czekali sygnału, by zerwać się jak burza i jak burza spaść na Radę Administracyjną, ów rząd nieudolny, który nie umiał odgadnąć życzeń narodu, i z despotą, gotowym oddać się na łaskę i niełaskę rewolucji, prowadził nieszczęsne układy. Wieści o tych układach podniecały wzburzenie. Tłum wrzał. Lecz oto na trybunie zaczęli ukazywać się mówcy i spowiadać się ze swoich uczuć szczerze, otwarcie, po bratersku. Po raz pierwszy od wielu lat lud warszawski odczuł rozkosz swobody. Słowa nabierały dźwięku i barwy, a pod ich wrażeniem rósł w piersi słuchaczy entuzjazm. Każdy gorętszy wyraz witano na znak zgody szczękiem szabel i błyskaniem bagnatów, każdy śmiały wniosek przyjmowano rozgłośniami okrzykami zapału.

Pomiędzy innymi ukazał się na mównicy Mochnacki i w ognistych słowach odmalował obecne położenie, a w końcu swej mowy, słuchanej wśród skupionej ciszy, zaproponował zgromadzonym, by wysłali delegację do Rady Administracyjnej i w imieniu klubu zażądali:

1. aby się Rada Administracyjna rozwiązała,
2. aby Rząd Tymczasowy natomiast był postanowiony, wreszcie,
3. aby generał Chłopicki natychmiast otrzymał rozkaz uderzenia na wojska w. księcia.

Propozycje te przyjęto z zapalem, uzupełniono je tylko nowymi żądaniem, a mianowicie, aby dowódcy wojska, którzy się jeszcze z powstaniem nie połączyli, ogłoszeni byli za zdrajców ojczyzny, aby obywatele powołani zostali do urzędzenia powstań w całym kraju, wreszcie żądano od Rady Administracyjnej, gdyby się rozwiązać nie chciała, aby przyjęła do swego grona kilku członków klubu, których sam klub wskaże.

Ten ostatni środek nie był pożądanym, albowiem rząd istniejący, ze względu na swój skład, nie rokował nadziei, by pod wpływem kilku nowych członków zmienił sposób działania. Ale zgromadzeni nie zorientowali się w sytuacji — i wniosek został uchwalony.

Na zebraniu tem padło jeszcze z ust Mochnackiego doniosłe hasło, mogące w razie urzeczywistnienia przeobrazić z gruntu powstanie, nadać mu siłę i rozpęd niepowstrzymanym. Oto Mochnacki zawołał w uniesieniu, że nie w Warszawie z Konstantym, lecz z Wilna z Mikołajem układać się należy. Znaczyło to, że powstańcy powinni ruszyć naprzód, opanować Litwę, zagarnąć jej stolicę i, rozszerzwszy teren powstania, a stworzwszy siłę, postawić swoje nieodmierne żądanie połączenia Królestwa z Litwą i całkowitej niezależności.

Hasło to, jak wiele innych, przyjęto z zapalem, ale doniosłość tej myśli dopiero po niewczasie zrozumieli wszyscy.

Mochnacki narazie nie rozwijał swej myśli, bo chwile były drogie i działać należało szybko. Streszczono w ośmiu punktach żądania klubu i, zgodnie z wnioskiem Mochnackiego, wybrano delegację.

Delegowani opuścili salę i skierowali się do gmachu bankowego, w którym obradowała Rada Administracyjna. Za delegacją wyruszyli wszyscy zgromadzeni w salach, na placu Krasińskich przyłączył się do tego orszaku lud uliczny, i olbrzymie tłumy, szumne i gwarne, a groźne, jak wzburzone wody, popłynęły na plac Bankowy.

Członkowie Rady zastanawiali się właśnie nad pomysłem w ich oczach wynikiem układów z w. księciem, gdy wtem w przyległych komnatach rozległ się hałas i wkrótce potem przez drzwi, otwarte przemocą, wtargnęła na salę obrad rządowych delegacja klubu, wtargnęła zbrojna, harda, wyzywająca.

Na widok kilkunastu śmiazków o pałających oczach i rozgorzałych twarzach stropili się członkowie rządu i zerwali się z krzeseł, by stawić czoło napastnikom.

Zapytano deputacji, czego żąda. Rozpoczęły się pertraktacje, ale gdy pierwsze słowa, wypowiedziane miękko przez delegowanych, nie uczyniły wrażenia, wysunął się naprzód Mochnecki i głosem silnym, namiętym odczytał żądania klubu.

Ks. Czartoryski, człowiek łagodny i spokojny, starał się uspokoić porywczego młodzieńca. W słowach uprzejmych zaczął on tłumaczyć, że żądania klubu niemożliwe są do przyjęcia, gdyż właśnie w. ks. Konstanty obiecuje puścić w niepamięć wszystko i wszystko przebaczyć.

Znaczyło to, że wszystko powrócić ma do dawnego stanu, a kto znał w. księcia, ten łatwo mógł przewidzieć, jak straszne będzie jego przebaczenie. Nie o takim końcu myśleli rewolucjoniści. Więc deputacja ze zdumieniem spojrzała po sobie, a Mochnecki, w którym gniew okrutny wzbierał, wybuchnął uniesieniem.

— To są żarty, mości książę! — zakrzyknął. — My nie powstaliśmy dla przyjmowania łask w. księcia! Niechaj tedy rząd nie gra k medji, która bardzo tragicznie zakończyć się może albo dla powstania, albo dla jego nieprzyjaciół!

Groźne pomruki ludu, zgromadzonego przed bankiem, dodawały tym słowom znaczenia i siły. Przerazili się członkowie Rady i oświadczyli klubistom, że rząd rozważy ich żądania.

Deputacja odeszła i zaniósła odpowiedź ludowi, a członków Rady Administracyjnej ogarnęło wielkie pomieszenie. Zrozumieli oni, że stracili już powagę, i przekonali się nareszcie, że układy z w. księciem do niczego nie doprowadzą. A naajutrz, gdy do stolicy przybył generał Szembek i, przyszedłszy na posiedzenie klubu, oświadczył,



MAURYCY MOCHNECKI

że za chwilę brygada jego wejdzie do miasta, by wesprzeć rewolucję, Rada Administracyjna całkiem straciła głowę. Jeden Lubecki zachował przytomność. Zrozumiał on, że, chcąc stłumić powstanie, trzeba przynajmniej czas jakiś płynąć z falą, a jednocześnie budować tamy, o któreby się ta fala rozbiła doszczętnie. W tym duchu postanowił działać. Obawiając się nowego najścia na rząd, przekonał swych kolegów w Radzie, że trzeba choć na bardzo krótko wprowadzić do niej kilku członków klubu, uprzedzić w ten sposób przygotowywany napad, a później, odzyskawszy władzę, zaprowadzić spokój i czynić to, co wskażą wypadki.

Tymczasem przybycie pułku Szembeka, pierwszego generała, który jawnie bratał się z powstaniem, dodało ducha rewolucji. Więc gdy rozeszła się wieść, że w. książę przemocą zatrzymuje pozostające jeszcze przy nim oddziały wojska polskiego, wzburzenie ogarnęło tłumy. Wzrastał gniew przeciw niedołężnej władzy i w. księciu. Na placu Bankowym licznie zgromadził się lud i chciał przemocą wtargnąć do gmachu, w którym obradowały władze rządowe. Wtedy to ktoś krzyknął, by odbić zatrzymywanych przez w. księcia żołnierzy. Na ten okrzyk zakotłował się tłum i, hucząc, jak spieniona fala, pomknął w kierunku rogatek mokotowskich. Z tłumem połączył się pułk Szembeka. Generał Chłopicki, widząc, na co się zanosi, dosiadł konia i wraz z Szembekiem ruszył na czele wojska, by wpływem swoim nie dopuścić do starcia. Popularny generał jechał ponury, jak noc, zżymał się, gniewał, kłął wszystkich i wszystko, w najwyższym stopniu niezadowolony. Ale otaczał go lud radosny, szczęśliwy i pchał na obóz carewicza.

Na szczęście dla Konstantego, wojsko, które stało przy nim, nie czekając zezwolenia, w tym samym czasie z własnego popędu ruszyło ku Warszawie. W ten sposób w alejach Ujazdowskich nastąpiło spotkanie. Powra-

cających do stolicy żołnierzy powitały grzmiące okrzyki ludu, poczem zgromadzone tłumy wraz z wojskiem ruszyły powrotną drogą ku śródmieściu. Na ten widok szła radości ogarnął ludność Warszawy. Rzucano się ku wojsku, rozrywano szeregi i ściskano żołnierzy wśród entuzjastycznych wybuchów radości.

— Niech żyje wojsko polskie! — krzyczano na wszystkich ulicach. Huczały radośnie bębny, grzmiała muzyka wojskowa, wszędzie widniał zapał i radosne wzruszenie przelewało się z krańców w kranie stolicy.

A w. książę, opuszczony przez wojsko polskie, rozpoczął ze swą gwardją odwrót ku granicom Litwy. I teraz władze nie uczyniły żadnego wysiłku, aby go zatrzymać, jako jeńca, a gwardję jego rozbroić. Powstanie powodowało się w stosunku do tyrana Polaków jakas źle zrozumianą wspaniałomyślnością, za którą później srodze trzeba było zapłacić. Tymczasem Konstanty nawet w takiej chwili rozmyślał o zemście. Oto przed opuszczeniem Warszawy rozkazał wydostać z lochów więziennych Walerjana Łukasińskiego i skutego łańcuchami poprowadzić ze sobą. Wleczono go na postronku, jak dzikiego zwierza.

Nieszczęsny bohater doczekał się chwili, o której marzył całe życie, lecz w jakichże warunkach, w jakiej nędzy i w jakim opuszczeniu znajdował się w tym momencie...

A gdy w. książę ustępował z Królestwa i w głąb Rosji włókł ofiarę swej zemsty, Warszawę na wieść o tem, że Konstanty wraz z gwardją swobodnie uchodzi, nowe ogarnęło wzburzenie. Domagano się głośno zatrzymania w. księcia, rozbrojenia jego gwardji i natychmiastowego rozpoczęcia wojny. Ale rząd najmniejszej na to nie zwracał uwagi. Klubowcy, powołani do Rady Administracyjnej, nie mogli nic zdziałać, bo Rada się rozwiązała, powoławszy przedtem do życia Rząd Tymczasowy, w którym dla członków klubu nie było już miejsca. Ten nowy rząd, równie

jak Rada Administracyjna umiarkowany, postępował oględnie, a najważniejszym jego czynem było zwołanie na dzień 18 grudnia Sejmu, który o dalszych losach powstania miał zdecydować.

Krok ten był o tyle rewolucyjny, że stosownie do konstytucji jedynie królowi przysługiwało prawo zwoływania Sejmu.

A jednocześnie z utworzeniem nowego rządu zaczęły kursować po mieście pogłoski, że rząd ten trwać będzie bardzo krótko, że niebawem ogłoszona zostanie dyktatura, t. j. władza nieograniczona, skoncentrowana w rękach jednego człowieka.

Dyktatorem, jak niosła wieść, miał zostać generał Chłopicki.

Generał ten, sławny i głośny, cieszył się ogromną popularnością. Z powodu zatargów z w. ks. Konstantym opinia rewolucyjna zdawna uważała go za przyszłego naczelnika zbrojnych sił powstańczych. Opinia była w błędzie. Chłopicki należał do najzawziętszych przeciwników powstania i w pomyślny wynik walki z Rosją nie wierzył. Wybuch listopadowy traktował jak opłakaną burdę, a sprawców jego lżył głośno, nie szczędząc pod ich adresem obelżywych wyrazów. Tymczasem publiczność warszawska na widok sławnego generała wpadała w zachwyt, witała go szmerem uznania i, wierząc święcie, że on poprowadzi naród do zwycięskiego boju, gotowa była z zapałem oddać się jego nieograniczonej władzy. Generał zżymał się na te dowody uznania, ale ostatecznie gotów był je wyzyskać, by twardą ręką żołnierską zaprowadzić ład w stolicy, wyjednać u cesarza przebaczenie dla sprawców nocy 29 listopada, a potem rzucić uśmierzoną Warszawę pod stopy Mikołaja.

Jeden Mochnacki, najprzenikliwszy człowiek swego czasu, przejrzał te zamiary i postanowił odstąpić je wobec narodu.

W tym celu zamierzał podburzyć klub, wskazać publiczności wszystkie błędy Rządu Tymczasowego i powiedzieć rewolucji, czem grozi dyktatura w rękach Chłopickiego. Wypuszczenie w. księcia z Warszawy, co było głównie winą Chłopickiego, jako naczelnego wodza wojsk polskich, pozwalało się spodziewać, iż rzecz pójdzie łatwo i gładko.

Ale Towarzystwo Patryotyczne miało potężnego wroga. Był nim minister Lubecki. Pod wpływem manifestacji, wywołanej przez klub, książę Lubecki musiał się zrzec zasiadania w rządzie i zaniechać akcji pojednawczej. Panowanie rewolucji nie dogadzało jego widokom. Widząc, że Towarzystwo Patryotyczne jest głównym siedliskiem rewolucji, postanowił klub rozpędzić i wywołać przeciw jego założycielom oburzenie w mieście. W tym celu dnia 3 grudnia posłał na posiedzenie swoich zwolenników, klientów, protegowanych, a wszystkich natchnął jedną i tą samą myślą.

Tegoż dnia Maurycy Mochnacki przyszedł na posiedzenie klubu, by zachwiać Rządem Tymczasowym i obwieścić stolicy intencje Chłopickiego.

Nie przeczuwając, co się święci, Mochnacki wszedł śmiało na mównicę i w płomiennej mowie krytykował rząd, a mówiąc o jego członkach, noszących znane nazwiska, wołał:

— Nie ufajmy imionom historycznym, nie ufajmy żadnej wziętości, żadnej zasłudze. Generał Chłopicki nie dopełnia swego obowiązku.

Chłopicki cieszył się ogromną popularnością, a słowa Mochnackiego były dostatecznym powodem, by masy szczerze przeciw mówcy oburzyć. Zwolennicy Lubeckiego w mig zorjentowali się w sytuacji i straszny podnieśli tumult. Rozległy się okrzyki protestu i sykania.

Ale Mochnacki nie zważał na to i dalej ciągnął swą mowę. Słowa jego niby rozżarzone głównie spadały na

głowy wzburzonych słuchaczy. Temperatura zgromadzenia stała się gorąca, upalna. Podniecenie obu stron rosło. A im głośniej przeciw mowie protestowano, tem goręcej wybuchał Mochnacki, tem goręcej wołał, by tłumy zaatakowały Rząd Tymczasowy i, zmiotłszy go z widowni, powstańczę utworzyły władzę. W pewnym momencie, krytykując bezczynność Chłopickiego, zawołał na całą salę:

— Mości panowie!... Chłopicki zdradza rewolucję!...

Po tych słowach wszczął się piekielny hałas. Sala miotła w śmiałka gradem wyzwisk i obelg. Oficerowie, obecni na zebraniu, dobyli szabel i posuwali się przez zwarty tłum ku trybunie, by rozsiekać zuchwałego młodzieńca.

— Zginiesz! zginiesz! zginiesz! — wołali szczerze oburzeni zwolennicy Lubeckiego. Na szczęście, w zamieszaniu pogaszono światła — i Mochnacki, korzystając z ciemności, wymknął się przy pomocy garstki przyjaciół na dziedziniec i cało uniósł swą głowę.

Nazajutrz Warszawa z oburzeniem mówiła o klubie, a Mochnackiego szukano po mieście, by go rozsiekać lub powiesić. Tymczasem Mochnacki próbował jeszcze ratować sprawę i zamachem na głowę Lubeckiego wyrwać powstanie z rąk ludzi, którzy temu powstaniu byli przeciwni i czynili wszystko, aby w samym zarodku je stłumić. Ale opuszczony przez przyjaciół, przerażonych zajęciem wczorajszem, musiał dać za wygraną i, ratując własne życie, przyjąć gościnę u ks. Lubeckiego, tegoż samego ministra, którego szczerze pragnął rozstrzelać.

W ten sposób zginął z widowni Mochnacki, a wraz z nim zginęła i myśl rewolucyjna w stolicy i aż do końca powstania nie miała już zagrzmieć tak doniosła i gromka, a tak trafnie ogarniająca cel polityczny rewolucji.

Po upadku Mochnackiego klub nie śmiał już podnieść głowy — wypadki potoczyły się dalej bez udziału tych,

co w pamiętną noc 29-go listopada podnieśli sztandar buntu i naród wezwali do broni.

Dnia 5 grudnia Chłopicki zdecydował się na krok stanowczy. Na jego rozkaz pomiędzy godz. 3 a 4 po południu zebrały się wojska polskie na placu Broni i, okrażone olbrzymim tłumem ludu, czekały na zjawienie się generała. Chłopicki przyjechał konno, ubrany w parady mundur generalski, otoczony wspaniałym i błyszczącym sztabem. Ukazanie się tego przepysznego orszaku wzbudziło zapal zebrałych. Rycerska postawa Chłopickiego, pewność siebie, bijąca od całej postaci, marsowata mina i wzrok jasny, ognisty niesłychanie podobały się tłumom. Patrząc na tę wspaniałą postać, wszyscy myśleli o sławnych czynach wojennych generała, o jego bohaterstwie, odwadze — i, myśląc o tem, oddychali z ulgą.

W owej chwili zjawił się Chłopicki, jak bóg wojny, dzierżący w swem ręku tajemnicę zwycięstwa.

Więc przywitano go okrzykami radości. A gdy odezwały się orkiestry pułkowe i huknęły w niebo melodie znanych pieśni patriotycznych, gdy hymn „Jeszcze Polska nie zginęła“ rozbrzmiał w powietrzu, wtedy jakaś miękka i ciepła fala rozlała się po tłumach i uniesienie rzewne, lecz radosne wszystkie ogarnęło serca. Oczy tłumów śledziły Chłopickiego, jak gwiazdę nadziei, która zaświeciła, żywiej.

A on kłaniał się z powagą na wszystkie strony, dziękował ludowi za zaufanie, wreszcie rozkazał sformować się wojsku i rozpoczął jego przegląd. Przejeżdżając przed frontem, zatrzymał się na chwilę przed podchorążymi, pochwalił ich zapal, męstwo, patriotyzm, dziękował później oficerom i żołnierzom za piękny wygląd i postawę armji, a objechawszy szyki, zwrócił się do ludu i wojska i potężnym głosem zawołał, że chwila wymaga władzy sprężystej i silnej, wobec czego postanowił ogłosić się dyktatorem.

Poczem pytał, czy lud i wojsko nic przeciwko temu nie ma.

Pytanie to nowy obudziło zapal.

— Niech żyje dyktator! — wołano jednogłośnie.

— Niech żyje ojczyzna! — odpowiadał Chłopicki i, słowami temi zakończywszy uroczystość, skierował się wraz ze świetnym sztabem ku Warszawie, unosząc ze sobą nieograniczoną władzę i nadzieję niechybnego zwycięstwa.

Przeprowadzały go orkiestry pułkowe pieśnią narodową. Usta tłumów szeptały błogosławieństwa, a w roziskrzonych oczach tłumy błyszczały łzy radosnego wzruszenia.

IV.

DYKTATURA. SEJM. RZĄD NARODOWY.

Niestety, była to radość przedwczesna. Chłopicki nie tylko nie myślał o zwycięstwie, ale wogóle nie chciał do walki dopuścić. Ten sławny generał napoleoński, świadek strasznej klęski, poniesionej w Rosji przez Napoleona w r. 1812, przesadzał potęgę armji rosyjskiej, a nie doceniał sił polskich. Wprawdzie były one nieznaczne, bo w chwili wybuchu wojsko polskie liczyło w szeregach zaledwie 28,000 żołnierzy. Ale do armji należały rezerwy, a kraj posiadał zasoby, mogące, jak się to okazało wkrótce, dostarczyć i ludzi i sprzętów wojenych. Wykorzystawszy zapał, obudzony rewolucją, a działając szybko i energicznie, można było niebawem podnieść liczbę wojsk polskich do 100,000 żołnierza i kraj cały w jeden obóz warowny zamienić.

Zalety i świetna przeszłość generała pozwalały się spodziewać po nim takich rezultatów.

Ale ten stary wojak, który karierę wojskową rozpoczął jeszcze w powstaniu kościuszkowskim, a potem walczył w legjonach pod Dąbrowskim i Kniaziewiczem, wreszcie zasłynął podczas wojen w Hiszpanji, nie wierzył w powodzenie. On, który w ogniu bitwy dokonywał rzeczy niepodobnych, przestał wierzyć nawet w rzecz możliwą.

Przyczyną tego była niewątpliwie przeszłość Chłopickiego.

Pochodził on z drobnej szlachty, osiadłej na Wołyniu, a wrażliwej na nieszczęścia kraju. Niegdyś, za lat młodzieńczych, płomień uniesienia patriotycznego kazał mu opuścić dom rodzinny i zaciągnąć się w szeregi powstańcze Kościuszki, a później z bronią w ręku przebiegać dalekie kraje i pod obcym niebem walczyć za ojczyznę. Wstąpił się w tych walkach, rozgłosił swe imię, dosłużył się rangi generalskiej, ale smutne przejścia, porażki i klęski lat ostatnich wyziębły duszę generała, zatruiły ją jadą goryczy, przepełniły niewiarą i zniechęceniem.

Po utworzeniu Królestwa Kongresowego Chłopicki wstąpił do wojska polskiego w randze generała dywizji, ale, znienawidziwszy w. księcia i znienawidzony przez niego, podał się wkrótce do dymisji. Odtąd opinja kraju widziała w nim gorącego patriotę, a rewolucjoniści uważali za swego. Tymczasem Chłopicki odsunął się od spraw wszelkich i, szpiegowany nieustannie, żył cichem życiem prywatnem, w przekonaniu, że należy kontentować się tem, co jest, i nigdy już o walce nie marzyć.

W starym żołnierzu wygaś doszczętnie zapał wojenny, zgryźliwość i cierpkość zalały mu duszę.

Wypadki pamiętnej nocy listopadowej oddziaływały na niego w ten sposób, że ukrył się w mieście, nie chcąc wiedzieć o niczem. Ale wysłańcy Rady Administracyjnej dotarli do jego kryjówki i wymogli na nim, że przyszedł na posiedzenie. Od tej pory Chłopicki, ulegając namowom i perswazjom, obejmował kolejno władzę, jaką mu niemal gwałtem narzucano, i wbrew własnej woli wysunął się na widownię, jako osoba najwidoczniejsza.

W ten sposób doszedł aż do władzy dyktatorskiej, władzy tak wielkiej, jakiej dawno żaden Polak nie miał. A stanowisko to zawdzięczał woli najwyższych dygnitarzy

Królestwa, woli wojska i ludu. Opinia otaczała go blaskiem chwały, patrzała w niego, jak w słońce. Wystarczył jeden gest, aby skupić wkoło siebie setki i tysiące ludzi, gotowych na wszystko, wystarczyła jedna śmiała odezwa, aby wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej natchnąć duchem powstańczym i wiarą w powodzenie sprawy, tą straszną wiarą, co wznieca pożar uniesienia, i jeśli potrzeba cudów, to czyni cuda.

W takich warunkach dużo można było dokonać.

Lecz Chłopicki nie wierzył w siebie i tę niewiarę przenośli na cały naród. Zamiast wezwania do czynów, na które z taką niecierpliwością czekano, dyktator robił ze swej strony wszystko, aby kraj pogrążyć w niemocy. Ten nieszczęsny człowiek wyobrażał sobie, że jedynie układy z Petersburgiem mogą odwrócić od kraju niesłychaną klęskę. Było to jego głębokie przekonanie, a więc możnaby je wybaczyć, na nieszczęście jednak, Chłopicki wyobraził sobie, że wszelki odruch zbrojny uczyni układy niemożliwymi. I to był jego błąd najstraszniejszy. Albowiem nie mogło ulegać kwestji, że, chcąc pertraktować z Petersburgiem, należało czempredzej tworzyć siłę, bo tylko od niej zależał wynik układów, bo było rzeczą jasną, że z bezsilnymi nikt się układać nie zechce, że przedstawienia słabych spotkać może jedynie pogarda.

Tymczasem do Petersburga udał się ks. Lubecki wraz z posłem Jezierskim. Obaj mieli dotrzeć do Mikołaja, przedstawić mu warunki, mogące kraj uspokoić, a zarazem prosić cara o wstrzymanie kroków wojennych.

Jednocześnie dyktator do stolicy nad Nową wysłał na przespziegi podpułkownika Wyleżyńskiego, którego darzył osobistym zaufaniem. Oczekując na wiadomości od swego wysłańca, pogrążył się w beczynnem rozmyślaniu. Otoczeniu okazywał twarz chmurną, młodzieź, zgłaszającą się do niego, a pragnącą osobami swemi powiększyć szeregi

narodowe, odprawiał z niczem. Długi czas nie chciał zezwolić na nowe uzbrojenia, a gdy wreszcie zezwolił na nie pod wpływem nieustannych nalegań, to wydał takie zarządzenia, że powiększanie armji odbywało się jakby pokryjomo, szło ciężko, powoli.

W taki sposób marnowały się pierwsze tygodnie powstania i, jak to zwykle bywa, zapal ludności, wielki w pierwszej chwili, nie znajdując ujścia, przeradzał się pod wpływem chłodu Chłopickiego w niepokój i zwątpienie.

I mijał dzień za dniem, niepewny i ponury, jak twarz dyktatora.

Przed 18 grudnia, zgodnie z zarządzeniem Rządu Tymczasowego, zaczęli się zjeżdżać do Warszawy posłowie.

Mimo widocznej szkody, jaką Chłopicki wyrządził powstaniu, wiara w niego była tak wielka, że przed otwarciem Sejmu deputacja poselska prosiła generała, aby nadal zatrzymał władzę dyktatorską. Chłopicki wzdragał się, odmawiał, wkońcu przecież uległ życzeniu posłów. Ponieważ jednak chciał przedstawić Sejmowi swoje projekty, których opracowanie wymagało dłuższego czasu, prosił więc deputację, aby rozpoczęcie obrad odroczone na trzy dni.

Wbrew temu życzeniu Sejm, uważając, że zbyt wiele wymaga Chłopicki, rozpoczął swe czynności w dniu oznaczonym, t. j. 18 grudnia.

Izba poselska zebrała się w nastroju uroczystym, jednogłośnie uznała powstanie za dzieło narodowe, a mężom, co je rozpoczęli z tak wielkiem poświęceniem i męstwem, wyraziła wdzięczność.

Poczem posłowie wydali kilkakrotne okrzyki za pomysłość ojczyzny i na cześć sprawców pamiętnej nocy 29 listopada.

W ten sposób Izba poselska połączyła się z rewolucją i odtąd losy swoje związała z losami powstania.

Po tym akcie Izba przystąpiła do obrania marszałka, t. j. przewodniczącego obradom. Na stanowisko to powołany został Władysław hr. Ostrowski, poseł piotrkowski, człowiek zacny, przystępny i uczynny, a dla tych zalet powszechnie lubiany. W zwykłych warunkach, w czasach pokoju mógł świetnie wypełnić swe obowiązki, ale na to, by przywołać Izbie podczas chwil burzliwych, by sterować rozruchami i namietnościami w momentach silnego wzburzenia, był za miękki i za uległy. Jednakże trzeba mu przyznać, że patrzył na rzeczy trzeźwiej, niż wielu jego kolegów, powstaniu sprzyjał i wedle swych sił a możliwości starał się zapewnić mu powodzenie.

Ostrowski, obrany jednomyślnie marszałkiem, podziękował za uczyniony mu zaszczyt, poczem przemówił w te słowa:

— Bodajby w tak świetnych widokach rozpoczęte nasze narady jak najpomyślniejszym skutkiem uwieńczone zostały, a skład Izby bodaj powiększony został braćmi-reprezentantami z tych prowincyj polskich, które pod obcą zostają przemocą.

Tak więc marszałek doskonale uchwycił myśl powstania i głosem, rozlegającym się w Izbie poselskiej, a więc głosem na kraj cały i Europę słyszalnym, wyjawiał intencje rewolucji.

Na wniosek Ostrowskiego posłowie wzięli na siebie wszelkie wydatki, które skarb łożył na utrzymanie Izby, a nadto ofiarowali znaczne sumy na potrzeby powstania.

Poczem Izba poselska połączyła się z Senatem, który zatwierdził jej uchwały i podobnie jak Izba wyraził chęć oddania sił swoich na usługi powstania.

W dziejach Sejmu rewolucyjnego był to dzień najpiękniejszy. Wprawdzie Sejm, utworzony na zasadach nadanej przez Aleksandra konstytucji, a wyraźnie postępowaniem swoim zasady te gwałcący, tracił podstawy ist-

nienia, ale zebrawszy się po to, by zatwierdzić dyktaturę, której naród pragnął, uczynił, co do niego należało. I sesja sejmowa w d. 18 grudnia zrobiła swoje. Połączenie się ze sprawcami 29 listopada podniosło ducha powstania, a ofiarność posłów dobry dała przykład. Posypały się na rzecz powstania ofiary. Nie tylko stolica, ale miasteczka i wsie żywy udział wzięły w ich składaniu. Włościanie, nie mając pieniędzy, dawali bydło i zboże, mieszczaństwo, zorganizowane w cechy, nadsyłało wraz z pieniędzmi pułhary, kubki złote i srebrne, kobiety oddawały swe kosztowności, a młodzież garnała się do szeregów.

Iskry powstania, zduszone przez Chłopickiego, zatliły się znów i jaśniejszym strzeliły płomieniem.

Dyktator widział ten zapal. Wyjeżdżając do Modlina, by odbyć przegląd robót fortecznych, spotykany był przez tłumy włościan, które witały go z radością i oświadczały swoją gotowość do walki. Wystarczyło do tych tłumów wyciągnąć rękę braterską i jaśniejszą zapewnić im przyszłość, aby całą Polskę opasać wałem obronnym, jak skała mocnym i nieskruszonym. Ale Chłopicki nie miał w sobie nic z Kościuszki. Zimna twarz dyktatora nie wzbudzała podnioślejszych uczuć. Zdawałoby się, że przynajmniej postawa Sejmu w dniu 18 grudnia pobudzi Chłopickiego do czynu.

Jeszcze był czas!

Wtargnięcie na Litwę, ten kierunek, który powstaniu wskazywał Mochnacki, a o którym później w Izbie poselskiej mówił marszałek Ostrowski, musiało pociągnąć za sobą bardzo pomyślne dla powstania skutki. Było wszelkie prawdopodobieństwo, że ten krok zjedna powstaniu korpus litewski, w którym służyło mnóstwo oficerów Polaków. Nadto nie ulegało kwestji, że wojska polskie, wkroczywszy na Litwę, pozwolą Królestwu Kongresowemu swobodnie organizować swe siły i zasoby, samo zaś zajęcie

Litwy nada powstaniu charakter rozległy, postawę groźną i zastraszącą.

Ani myślał o czemś podobnem dyktator! Zachowanie Królestwa Kongresowego z nadanemi mu przez Aleksandra prawami to było wszystko, do czego dążył. Dalej myślą swoją nie sięgał, a względem żądań, co myśl tę wyprzedzały, zachowywał się wrogo.

Chłopicki uczuł się dotkniętym, że Sejm wbrew jego życzeniu nie odroczył obrad, a na wieść o powziętych przez obie Izby uchwałach zapalał gniewem. Sejm przeciął w jego oczach możliwość układów z Mikołajem. To skłoniło dyktatora do uczynienia kroku stanowczego. Więc tegoż dnia jeszcze zawiadomił ks. Czartoryskiego, który przewodniczył w Senacie, i marszałka Ostrowskiego, że dyktaturę swą składa.

Ale wiara w Chłopickiego była tak silna, że członkowie Sejmu, idąc zresztą za głosem opinii, prosili na wszystko generała, aby władzę swą piastował nadal.

Chłopicki dał się ubłagać.

W ten sposób Sejm zakończył swoje czynności, a Chłopicki, pozostawszy dyktatorem, marnował dalej czas drogi i myślał o układach. Jego pokojowe usposobienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy podpułkownik Wyleżyński wrócił z Petersburga i przywiózł ze sobą dwa listy ministra sekretarza stanu do spraw Królestwa, Grabowskiego. Jeden z tych listów, pisany do prezesa nieistniejącej już Rady Administracyjnej, był pełen nagan i niemożliwych do wykonania rozkazów, w drugim Grabowski w imieniu cesarskiem dziękował Chłopickiemu za objęcie władzy i utrzymanie porządku, a zarazem żądał zaniechania dalszych uzbrojeń i skoncentrowania wszystkich wojsk polskich w województwie płockiem.

Ten list trafił dyktatorowi do r zekonania.

Więc zwołał natychmiast utworzoną niedawno Radę Najwyższą Narodową i przed nią wyłuszczył swój pogląd. Ale Rada wypowiedziała się stanowczo przeciw zaniechaniu uzbrojeń i koncentrowaniu wojska. Mimo to Chłopicki nie poprzestał na tem oświadczeniu, lecz nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za wojnę, polecił Radzie zwołać na 17 stycznia Sejm, by ten tak ważną sprawę rozstrzygnął.

Ale jeszcze przed otwarciem Sejmu powziął niezłomne postanowienie niewszczynania wojny.

Na poufnej naradzie z posłami, gdy jeden z obecnych wyraził przekonanie, że Chłopicki niebawem rozpocznie kroki zaczepne, jeśli Sejm opowie się za wojną, generał odpowiedział, iż w tym wypadku złoży dyktaturę. Zapytano go, czy zostanie wodzem naczelnym.

— Nie, wodzem nie będę, bo nie chcę być pobitym — odparł Chłopicki.

Na te słowa poseł Jan Ledóchowski, człowiek z ognistym temperamentem, oburzył się i krzyknął:

— Musisz być wodzem, bo my ci rozkazujemy!

— Będę szelmą, — wybuchnął Chłopicki, — jeżeli przyjmę dowództwo nad wojskiem.

I wpadłszy we wściekłość, jął tupać, krzyczeć na posłów, a na drugi dzień zawiadomił Sejm, iż zrzeka się władzy dyktatorskiej.

Wieść o tem wzburzyła stolicę. Uwielbiany człowiek runął nagle z piedestału i ciż sami ludzie, co go wczoraj tam wzniesli, dzisiaj nie szczędzili mu obelg.

— Zdrajca! — wołano publicznie, myśląc o Chłopickim. A generał zżymał się, słysząc to straszne słowo, i fale nowej goryczy zalewały mu duszę.

Oto jak skończył rolę dyktatora człowiek, którego losy w tak szczęśliwem postawiły położeniu, w jakim żaden wódz polski nie znajdował się nigdy.

Od tej pory sprawą powstania zaczął kierować Sejm, jako najwyższa władza narodowa.

Tak więc sprawa powstania przerzucała się z jednej ostateczności w drugą. Gdy zawiodły rządy jednego człowieka, sprawować je zaczęło ciało zbiorowe, z natury ciężkie i niezdarne, zwłaszcza w chwili, kiedy, zamiast radzić, trzeba było decydować szybko, działać błyskawicznie. Pierwszą najważniejszą uchwałą zebranego po raz drugi Sejmu było mianowanie wodza. Na stanowisko to wysunięto kandydaturę ks. Michała Radziwiłła. Nie miał on żadnych danych na wodza, ale wśród generałów był jedynym, którego Chłopicki obiecał radą swą wspierać. Czy fantastyczny Chłopicki rad swoich w chwilach ważnych skąpić nie będzie to mogło budzić poważne wątpliwości. Ale Sejm poprzestał na takim zapewnieniu i w ten sposób stworzył dwóch wodzów: jednego, który nie czuł się na siłach dowodzić, drugiego, który dowodzić umiał i mógł, ale nie chciał. Zgóry można było przewidzieć, że tak postawiona sprawa nie da pomyślnych wyników.

Lecz zgromadzona na posiedzeniu sejmowym publiczność, nie zdająca sobie sprawy z zalet Radziwiłła, a widząc w jego pochodzeniu litewskim zapowiedź wtargnięcia na Litwę, przyjęła ogłoszenie wyboru wiwatami i rozgłośnym okrzykiem:

— Na Litwę! na Litwę!

Niebawem na rzecz Litwy i Rusi nowa odbyła się manifestacja. Przebywający w owym czasie obywatele z Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy założyli Towarzystwo pod nazwą Zjednoczonych Braci i Lelewela, którego imię olbrzymią sławą cieszyło się na Litwie, powołało na swego prezesa. A na kilka dni przed objęciem przez Lelewela prezesury, 24 stycznia przybyła do Izby poselskiej deputacja i w obecności zgromadzonych posłów, uroczystie wręczyła adres Lelewelowi. Scena ta uczyniła



ADAM CZARTORYSKI

potężne wrażenie, które wzmogło się jeszcze, gdy Lelewel, wśród ciszy, zalegającej salę obrad, odczytał wręczony mu adres.

Adres domagał się, aby Sejm obwieścił światu, że wola i sprawa polska do Dźwiny i Dniepru jest jedna i nierozdzielna, że wszyscy Polacy składają jedną Polskę, że tedy Sejm w myśl tych wskazań winien postępować.

Lelewel, odczytawszy adres, wyraził nadzieję, że Sejm najpilniejszą uwagę zwróci na ujarzmionych Polaków, że wskrzeszona zostanie unja Korony z Litwą i Rusią, wreszcie, przejęty do głębi uroczystą chwilą, wykrzyknął ze wzruszeniem:

— Niech żyje Polska w odwiecznych swoich granicach!...

Zabiły żywiej serca obecnych i okrzyk, rzucony przez Lelewela, długo z zapalem powtarzali posłowie.

A na drugi dzień, d. 25 stycznia, Sejm uczynił krok nowy, równie wyraźnie zmierzający do wojny.

Tego pamiętnego dnia przed połączonemi Izbami sejmowemi stanął poseł Jezierski, ten sam, który jeździł do Petersburga, by nawiązać z Mikołajem układy. Wyjechał on z Warszawy pod wrażeniem panującej podówczas opinii sfer wyższych, które noc 29 listopada uważały za karygodne szaleństwo młodzieży. I zgodnie z tą opinią, którą sam podzielał, rzecz całą przedstawił Mikołajowi. Ale w ciągu ostatnich tygodni też same sfery zmieniły swój pogląd i Jezierski, stanąwszy przed Izbami, spotkał się z najwyższą niechęcią. Mowy jego słuchano początkowo w milczeniu, lecz wkrótce gorętsi posłowie zaczęli przerywać ją okrzykami:

— Niegodnie! niegodnie! niehonorowo!...

Jezierski, nie zważając na to, mówił dalej i w zakończeniu swego sprawozdania przytoczył słowa, jakimi pożegnał go Mikołaj. Słowa te brzmiały tak:

— Jeżeli Polacy uzbroją się przeciw mnie i staną w gotowości do walki z wojskiem pana swego, natenczas oni sami i wystrzał z ich armat obalą Polskę i sami staną się odpowiedzialnymi za nieszczęścia swojej ojczyzny.

W sali obrad silne zapanowało wzburzenie, a wzruszony marszałek Ostrowski powstał gwałtownie ze swego miejsca i zażądał, aby komisje przygotowały projekt do uchwały, któraby określiła stosunek narodu do dynastji. Marszałek powiedział nadto, że wobec usłyszanej dopiero co groźby trudno Mikołaja uważać za prawego monarchę Polaków.

Po Ostrowskim głos zabrał poseł Wołowski i, kończąc swe przemówienie, powiedział:

— Dziś jeszcze w obliczu Europy wyrzeczmy, że Mikołaj I przestał nad nami panować...

Na te słowa zerwał się poseł Ledóchowski, ten sam, który w swoim czasie do wściekłości doprowadził Chłopskiego, i, kończąc dyskusję, donośnym basem ryknął na całą salę:

— Wykrzyknijmy więc wszyscy: niema Mikołaja!

Jakiś dreszcz wstrząsnął zebranymi. Członkowie Sejmu, jak jeden mąż powstali z ławek i razem z publicznością, natłoczoną na galerjach, jęli wykrzykiwać:

— Niema Mikołaja! Niema Mikołaja!

W taki to sposób Sejm odpowiedział na groźbę, rzuconą narodowi ze stolicy nad Newą.

Po takiej odpowiedzi nie pozostawało nic innego, jak skupić wszystkie siły narodu i do krwawej a zaciętej szynkować się walki.

W kilka dni po sesji detronizacyjnej Sejm wyłonił z siebie Rząd Narodowy, złożony z pięciu członków, a stąd pięciogłowym zwany. W rządzie tym zasiedli ks. Adam Czartoryski, jako prezes, oraz czterej posłowie: Wincenty Niemojowski, Teofil Morawski, Stanisław Barzykowski

i Joachim Lelewel. Nowemu Rządowi Sejm przyznał władzę w tym zakresie, w jakim ją konstytucja przeznaczała królowi, ale zachował nad rządem władzę zwierzchniczą, jako instancja najwyższa, a zarazem postanowił nie przerywać swych obrad aż do końca powstania.

Nadto Sejm, chcąc uspokoić opinię monarchów w Europie, obawiających się, by powstanie w Polsce nie przekształciło się w rewolucję społeczną, wypowiedział się za monarchją konstytucyjną. W ten sposób stworzył monarchję bez monarchy, rządów bynajmniej postanowieniem swoim nie przeciągnął na stronę powstania, a partie ludowe i ich przywódców w Europie zachodniej postanowieniem tem zraził.

Ustrój nowego rządu nie odpowiadał potrzebom chwili. Rząd nie miał praw królewskich, bo te dzielił z Sejmem, nie posiadał władzy wykonawczej, bo ta należała do ministrów, których rząd mianował. Nie mógł jednakże mianować wodza, bo i wódz był członkiem rządu, a jeżeli zjawiał się na posiedzeniu, to posiedzenie powinien był opuszczać ten z członków rządu, który podczas wyborów otrzymał najmniej głosów. Członkiem tym był Lelewel. Nadto Sejm starał się, aby członkowie rządu reprezentowali główne zasady polityczne, które Sejm dzieliły na walczące ze sobą stronnictwa. Tak się też stało. Był więc rząd utworzony ze sprzeczności, a taka władza nie wróżyła nic dobrego na przyszłość.

Prezes nowego rządu, książę Adam Czartoryski, cieszył się w kraju wielką popularnością. Na kongresie wiedeńskim bronił spraw Polski, a Królestwo Kongresowe i nadana mu konstytucja w dużej mierze jego były dziełem. Jako kurator okręgu naukowego wileńskiego położył niezapomniane zasługi. Owocną działalność jego przerywały intrygi Nowosilcowa — i Czartoryski usunął się w zacisze domowe. Był to człowiek ożywiony najlepszymi chę-

ciami, łagodnego charakteru, miękki i uprzejmy w stosunkach z ludźmi, ale pozbawiony silnej woli i determinacji. Nie miał w sobie ducha bojowego, nie posiadał żadnej z zalet, które powinny zdobić naczelnika rządu powstańczego. W czasach spokojnych na każdym stanowisku mógł być się zasłużyć społeczeństwu, ale rządzić wtedy, gdy grzmiały armaty i nieprzyjaciół siedział na karku, gdy namiętności podniecone ścierały się ze sobą, gdy dla zwalczania wroga trzeba było imać się wszelkich środków, wydobywać siły choćby z pod ziemi, wszystko wiedzieć i wszystko trzymać w karchach, władzę swą uczynić postrachem dla tych, coby nieudolnością, intrygą lub zdradą osłabiali powstanie, słowem, rządzić w czasach rewolucyjnych, to przechodziło siły i zdolności Czartoryskiego. Pozbawiony wiary w możliwość zwycięstwa, przekonany o niezwalczonej potęgze cara, niechętny powstaniu, przystępował do sprawowania władzy z sercem, przenikniętym smutkiem, z duszą rozdieraną tysiącem wątpliwości. Podpisując akt detronizacyjny, wyrzekł ze smutkiem do otaczających go posłów:

— Zgubiliście Polskę!

Innym razem mówił:

— Gdyby Francja, Turcja lub Anglja nas wsparły, możeby coś niespodziewanego nastąpiło.

Bez obcej pomocy nie widział Czartoryski możliwości prowadzenia wojny z Rosją. Wahający się, niepewny jutra, pełen najlepszych chęci, ale bez wiary, aby jakiegokolwiek środka mogły ocalić sprawę, od początku źle wróżył wielkiemu przedsięwzięciu, którem miał kierować.

Tak nastrojony był prezes Rządu Narodowego.

Niestety, i nikt inny z członków powołanej przez Sejm władzy nie posiadał ani żelaznej woli, ani wiary w powodzenie sprawy.

Niemojowski i Morawski mogli odgrywać wybitną rolę w każdym zgromadzeniu parlamentarnem, ale na naczelników rewolucji nie posiadali potrzebnych przymiotów. Uparci, z głowami, nabitemi teorjami konstytucjonalizmu, formalisci i z formalistyki czyniący zasadę, nawet w powstaniu nie umieli od tej zasady odstąpić. Myśleli nieustannie o tem, aby postępować legalnie i całą rewolucję przyoblec w szatę legalności.

Stanisław Barzykowski, poseł ostrołęcki, słynął ze swej wymowy i wymowie tej wyniesienie swoje zawdzięczał. Chciał być dobrym i użytecznym Polakiem, ale jako człowiek przeciętny nic poza przeciętnością do rządu nie wnosił. Wierzył święcie w ks. Czartoryskiego, w razach spornych zawsze trzymał jego stronę, był wiernym sprzymierzeńcem księcia i wiernym jego echem. Zarozumiały, przekonany o swoim rozumie, stał się napuszoną a szkodliwą dla sprawy miernotą.

I wielki uczony Joachim Lelewel, patron młodzieży, która go wielbiła i kochała, jako profesora, przewodnika i wyobraziciela przekonań demokratycznych, nie miał danych na męża stanu i kierownika rewolucji. Znakomity profesor mógł w czasach pokoju stać się wychowawcą nie tylko młodzieży, ale całego narodu, natomiast nie był zdolny do bezpośredniego czynu. Kolegom w rządzie nie umiał narzucić swej woli, a patrząc na ich działania krytycznie, nie chciał się do nich stosować. Przechylając się na stronę rewolucjonistów, był w rządzie osamotniony. Podejrzewali go koledzy nieustannie o tajemne knowania i zamachy, o kopanie pod nimi dołków. Lelewel nie był zdolny do żadnego zamachu. Ale chwiejnem, nieraz dwuznacznem postępowaniem osłabiał powagę władzy. Gorący patriota, uczony o potężnej wiedzy, umysł niezwykle, obywatel bezinteresowny, w życiu nad podziw skromny, nie miał wzroku, przeszywającego mroki przyszłości, nie po-

siadał energii życiowej, nie umiał się zdobyć na decyzję stanowczą i szybką, nie potrafił wykrzesać z siebie woli, którą mógłby narzucić otoczeniu. Związany z obozem rewolucyjnym, przyjął prezesurę Towarzystwa Patrijotycznego, które walczyło z rządem, a więc i z nim samym. Lelewel, chcący wytworzyć jedność z różnolitych żywiołów, wpadł w matnię, z której do końca już wybrnąć nie zdołał. Naraził się Sejmowi, nieufność obudził w Rządzie Narodowym i stracił zaufanie młodzieży, która uważała go za głównego twórcę rewolucji i wodza rewolucji pragnęła w nim widzieć.

Tak więc rząd powstańczy składał się z ludzi, którzy nie posiadali ducha rewolucyjnego i temperamentu powstańców.

A na czele wojsk polskich stanął generał bez własnego zdania i własnego na wojnę poglądu, wódz nieudolny, obiecujący sobie słuchać we wszystkim Chłopickiego, który wojny nie chciał, w zwycięstwo nie wierzył, a każdemu, kto się do niego zbliżył, mówił, że gotów jest raz jeden „wykrocić się porządnie“ dla ocalenia „honoru wojskowego“, lecz ostatecznie przewiduje klęskę.

Pod złą wróżbą rozpoczynała się walka.

Trzeba jednak dodać, że Rząd Narodowy w pierwszych swych chwilach wykazał sporo dobrej woli i energii. Zaciągi zaczęły się odbywać regularniej, uzbrojenia postępowały szybciej, liczba wojsk powiększała się codziennie. Błędy, popełnione podczas dyktatury, zostały częściowo naprawione, ale i nad rządem ciążył ów duch chwiejności, duch wahania, który środków obrony nie pozwalał posunąć do granic ostatecznych.

Widzieli to rewolucjoniści i, chcąc zapobiec złemu, powołali znowu do życia rozpedzone przez Lubeckiego Towarzystwo Patrijotyczne. Za dyktatora zbierali się w kawiarniach, z których jedna, od imienia swej gospodyni Ho-

noratką nazwana, szeroko zasłynęła. Przy kawie lub szklance piwa radzono tam o sprawach publicznych, krytykowano Chłopickiego i zastanawiano się nad tem, w jaki sposób obalić rządy dyktatora. Później, gdy Chłopicki władzę swą złożył, rewolucjoniści utworzyli klub i znowu ukazali się na widowni. Na prezesa klubu powołali, jak wiadomo, Lelewela. Niestety, znakomity historyk, zasiadający w rządzie, nie mógł się stać przywódcą rewolucjonistów, którzy rządowi wypowiedzieli wojnę. To też młodzież rewolucyjna nie zdołała odzyskać wpływów, jakie posiadał klub pierwotny. Towarzystwo Patrijotyczne odbyło kilka hałaśliwych zebrań, krytykowało na nich działalność Sejmu i postępowanie rządu, w dniu 25 stycznia urządziło wspańiałą manifestację na cześć rewolucjonistów rosyjskich, ale nie zdobyło się na czyn, któryby wpłynął na powodzenie sprawy.

W organie swoim p. n. „Nowa Polska“ członkowie Towarzystwa Patrijotycznego domagali się zniesienia pańszczyzny, powołania pod broń mas ludowych, mówili nawet o rewolucji socjalnej, ale wszystko to nie miało dość siły, by wywrzeć wpływ na postanowienia Sejmu lub rządu.

Tymczasem armja rosyjska wkroczyła na Litwę i posuwała się ku granicom Królestwa.

Losy Polski przenosiły się na pola bitew...

V.

BITWA POD GROCHOWEM.

200.000 ludzi i 600 dział przeznaczył Mikołaj na poskromienie zbuntowanego narodu, a z tej siły 114.000 ludzi przekroczyło granice Królestwa... Tę potężną na owe czasy armję wiódł feldmarszałek Dybicz, wódz wsławiony kampanją bałkańską, generał zdolny i doświadczony, a przekonany, że zadanie swe ukończy szybko i w dwa tygodnie po wkroczeniu na ziemię Królestwa rzuci uśmierzoną Warszawę pod stopy swojego władcy. Wojsko rosyjskie składało się z żołnierza, zaprawionego do boju w ostatniej wojnie tureckiej, a przekonanego o swojej wyższości nad wojskiem polskim. Przewodzili żołnierzom rosyjskim generałowie o ustalonej sławie, jak generał Toll, szef sztabu, człowiek przyzwyczajony do ruchów szybkich i gwałtownych, z wojną otrząskany od czasów napoleońskich, dumny, ambitny i jednym potężnym uderzeniem obiecujący sobie rozstrzygnąć zwycięstwo. Korpusami dowodzili książę Szachowski, uważany za jednego z najzdolniejszych wojskowych w Rosji, generałowie Kreutz, Rosen, Pahlen, Witt, dywizję strzelców konnych wiódł pyszny i cieszący się nabytą w ostatniej wojnie sławą generał Geismar.



GENERAŁ DWERNICKI

Oprócz tego w armji rosyjskiej znajdował się w. ks. Konstanty wraz ze swoją gwardją.

Moskale, ożywieni nadzieją takiej sławy i nagród, wkroczyli na Litwę i z wolna posuwali się ku granicom Królestwa. Dnia 12 lutego jądro armji rosyjskiej przeprawiło się przez Bug — i Dybicz z głównymi siłami, niepowstrzymywany przez nikogo, posunął się naprzód i zajął stanowisko pomiędzy Węgrowem a Siedlcami.

Armją polską, jak już wiadomo, dowodził gen. Radziwiłł, nie posiadający żadnych zdolności militarnych; w początkach kampanji armja ta podzielona była na dwa korpusy, z których jednym dowodził gen. Krukowiecki, drugim gen. Żymirski, oraz dwie dywizje pod rozkazami generałów Skrzyneckiego i Szembeka. Jazdą rezerwową dowodził gen. Weysenhof.

Ogółem armja polska liczyła w owym czasie 56.000 ludzi i 106 armat.

Oprócz tego istniał jeszcze korpus gen. Dwernickiego, stworzony zabiegami i staraniem tegoż generała, a złożony z 6.000 ludzi, w czem blisko połowę stanowiła jazda.

Dwernicki, oddany pod rozkazy zasłużonego, lecz zniedołężniałego już generała Stanisława Klickiego, załamał lewy brzeg Wisty, a główne siły polskie postępowały ku zbliżającemu się od Siedlec nieprzyjacielowi.

Armja polska działała bez planu. Chłopicki, który od chwili wkroczenia Rosjan na terytorjum Królestwa, objął naczelny kierunek działań, myślał tylko o biernym oporze, twierdząc, że wszystko jedno, gdzie i kiedy bić się wypadnie, bo o skutecznym wyniku walki marzyć niepodobna. Nadaremnie dwaj najzdolniejsi oficerowie sztabu, Prądzyński i Chrzanowski, chcieli korzystać z błędów, które popełniał nieprzyjaciel, nadaremnie kreślili plany i przesyłali je głównej kwaterze. Książę Radziwiłł o niczem decydować nie chciał bez Chłopickiego, a Chłopicki wszystkim, co się

do niego zwracali, odpowiadał, że bez rangi jest niczem, i zastawiał się Radziwiłłem.

Gdy tak obaj wodzowie spychali z siebie odpowiedzialność za wynik zbliżających się bitew, a wojska polskie szły na spotkanie nieprzyjaciela, co wynikało nie z powyższego planu, lecz z systemu biernej obrony, nagle zaszedł wypadek, który w obozie polskim podniósł serca, a kraj cały napęłnił radością i nadzieją.

Oto Klicki otrzymał wiadomość, że Geismar ze swoją dywizją ciągnie przez Łuków ku głównej armii rosyjskiej. Klicki postanowił skorzystać z tego odosobnienia i wysłał przeciw dywizji Geismara korpus Dwernickiego.

Dwernicki, odważny i mężny, a pełen ducha przedsiębiorczego generał, otrzymawszy rozkaz, udał się do wojska i żwawo sprawił swe szyki do pochodu. Żołnierze Dwernickiego nie byli, jak się należy zaopatrzeni, zwłaszcza artylerja, acz pod dowództwem dzielnego artylerzysty, księcia Puzyny, wiele pozostawiała do życzenia. Więc wiara skarżyła się generałowi na różne braki, ale Dwernicki na jedną chwilę nie stracił fantazji. Gdy mu pokazano lance ze słabo obsadzonemi grotami, odrzekł z humorem:

— Nic to. Drzewcami pobijemy!

Podobała się taka odpowiedź żołnierzom i huczne wywołała wiwaty. Wogóle niezachwiana pewność w zwycięstwo, jaką dowódca okazywał, oddziaływała znakomicie na szeregi, budziła w nich ufność i zapał. Dnia 9 lutego korpus przeszedł pod Mniszewem Wisłę i ochotczo ruszył naprzód. Dnia 12 lutego pod Żelechowem Dwernicki dowiedział się o zajmowanej przez wojska rosyjskie pozycji i postanowił przekradać się manowcami, by napaść niespodziewanie Geismara i uderzeniem zniemacka rozgromić jego siły. Ale i Geismar nie zasypiał sprawy. I on, dowiedziawszy się o ruchach Dwernickiego, ruszył naprzeciw

wojsk polskich. W ten sposób obaj generałowie z jednakowemi planami zbliżali się ku sobie.

Dnia 14 lutego Dwernicki stanął pod Stoczkiem, gdzie pragnął zarządzić krótki odpoczynek. Ale zaledwie wojsko zatrzymało się w Stoczku, gdy nadbiegli włościanie i ostrzegli generała, że silna kolumna moskiewska postępuje przez lasy od Toczysk. Po chwili wojsko rosyjskie ukazało się i od strony Seroczyna. Był to więc atak z dwu stron. Dwernicki szybko sprawił do boju swój korpus, a artylerję ustawił na pozycji, z której można było ostrzeliwać obie kolumny nieprzyjacielskie. Działa polskie znajdowały się w samym środku korpusu. Na lewo i na prawo stanęła w czworobokach piechota, część jazdy ruszyła ku Seroczynowi, część zwróciła się frontem ku kolumnie, postępującej od Toczysk.

Geismar sam prowadził jeden z tych oddziałów, drugi znajdował się pod komendą generała Paszkowa, który winien był uderzyć na siły polskie od czoła, gdy Geismar uderzeniem w bok miał wesprzeć ten atak i dokończyć zwycięstwa, o którym na chwilę nie wątpił. Jakoż Paszkow pierwszy wyszedł z lasu i zaraz rozpoczął ogień armatni. Ryknęły natychmiast i działa polskie, ale z małym skutkiem. To też Polacy nie tracili czasu na strzelanie. Dzielny major Rusjan, dowodzący 1-ym pułkiem ułanów, dał hasło do ataku i, rozwinawszy swoje dywizjony, pomknął ku nieprzyjacielowi. Ale i Paszkow zdążył już uszykować swoich strzelców konnych na ogromnych koniach i ruszył na spotkanie ułanów. Obie kolumny wzięły pęd najszybszy i jak dwie ruchome ściany uderzyły na siebie. Zdawać się mogło, że olbrzymy rosyjskie pochłoną jeźdźców polskich. Ale zwinni ułani dzielnie dotrzymywali placu. Rozgorzał bój, gdy nagle druga część jazdy Paszkowa, stosownie do otrzymanego rozkazu, wysunęła się naprzód, by z boku zaatakować siły polskie. Na ten widok stojący w odwodzie ka-

pitán Lewiński porwał ze sobą szwadron 2-go pułku, jak strzała ruszył naprzód i właśnie tym samym atakiem z boku zagroził Moskalom, którzy śpieszyli swoim z pomocą. Na widok jazdy polskiej, mknącej w szalonym pędzie na podobieństwo szumiącej, kolorowej fali, oddział rosyjski, mający zdecydować zwycięstwo, wstrzymał swój zapęd, a następnie, ogarnięty trwogą, zawrócił konie i rzucił się do ucieczki. Za tym przykładem poszła cała jazda Paszkowa i jak niepyszna zemknęła z pola wraz z artylerją.

Nie lepszy los spotkał i kolumnę Geismara. Rzucił na nią swoją jazdę Dwernicki i spłoszoną wepchnął do lasu. Nadaremnie dowódca rosyjski starał się zapobiec klęsce. Moskale w panicznym strachu ratowali się bezładną ucieczką.

Zwycięstwo było zupełne.

W spotkaniu tem Rosjanie utracili 300 ludzi w zabitych, ranionych i wziętych do niewoli, a oprócz tego pozostawili zwycięzcom jedenaście armat i dziewięć jaszczyków z amunicją; z szeregów polskich ubyłło około 100 ludzi.

Tak świetnie rozpoczęte spotkanie zamyślał Dwernicki uwieńczyć całkowitem rozgromieniem uciekającego Geismara, lecz plany te pokrzyżował otrzymany z głównej kwatery rozkaz, który skutkiem mylnego raportu najniepotrzebniej w świecie wzywał Dwernickiego z powrotem do Warszawy.

Zwycięstwo pod Stoczkiem, acz nie wpłynęło na losy kampanji, miało ogromne znaczenie moralne. Było to pierwsze starcie i pierwszy uśmiech losu. Całe wojsko polskie nabrało otuchy, zaniepokojona stolica odetchnęła z ulgą, umysły się rozjaśniły i zaufanie do sprawy powstania wzmoгло się w całym narodzie.

Ale był to dopiero początek. W kilka dni potem o wiele ważniejsze i krwawsze rozpoczęły się bitwy. Dnia

17 lutego gen. Żymirski, zaatakowany przez przemagające siły pod Kałuszynem, po uporczywym boju opuścił zajmowaną pozycję i cofał się pod Wawer. I gen. Skrzynecki, zwiódłszy krwawą walkę pod Dobrem, w której stracił 300 żołnierzy, ale przyprawił Moskali o straty dwa razy większe, cofał się ku Pradze.

Dnia 19 lutego przyszło znowu do krwawej bitwy pod Wawrem.

Rosjanie, wyszedłszy z ciemnych borów od strony Miłosny, dostali się na obszerne błonia, które zajmowały wojska polskie w pogotowiu wojennem. Dzień był mroźny, lecz pogodny i jasny. Oczom armji rosyjskiej ukazał się widok, będący celem jej dążeń.

Praga widzialna była jak na dłoni, a za nią na wzgórzach błyszczała w słońcu prastara Polski stolica i nęciła nieprzyjaciół swym majestatycznym wyglądem. Roziskrzonym wzrokiem patrzyli strudzeni żołnierze na majaczące przed nimi wieże, kościoły, pałace i gmachy, lubowali się, spoglądając na leżące przed nimi miasto, to miasto piękne, sławne i nieszczęśliwe, a obiecujące w tej chwili dostatek jadła, napojów, wygody w ciepłych kwaterach i słodki po krwawym znoju odpoczynek.

Ale chcąc się dostać do Warszawy, trzeba było przedtem rozgromić armję polską i błonia wawerskie pokryć tysiącami trupów.

Jakoż niebawem odezwały się armaty rosyjskie i rozpoczęła się nowa bitwa, w której wojska polskie, mając przed sobą dwa razy większe siły, złożyły dowód wielkiego męstwa i poświęcenia. W pierwszej chwili zwycięstwo zdawało się przechylać na stronę polską, ale liczba zrobiła swoje i po kilku świetnych atakach Polacy, rażeni ogniem licznej artylerji, a zalewani ruchomą masą coraz to nowych sił nieprzyjacielskich, rozpoczęli odwrot. Cofali się pod Grochów, ale każdy krok wsteczny wynagradzali sobie

krwawym uporem, każdą piędź ziemi zalewali krwią, uścielali trupem.

Dopiero mrok zapadający rozdzielił walczących i przerwał tę krwawą a uporną bitwę.

Prawie cztery tysiące Rosjan i półtrzecia tysiąca Polaków zabitych i rannych legło na polach wawerskich.

Gdy umilkły ostatnie wystrzały i znużone wojska udały się na spoczynek, długo jeszcze w noc ciemną rozlegały się wołania i jęki dogorywających ofiar, przeraźliwe rżenia śmiertelnie rannych koni, jakieś straszne okrzyki, szmery, szepty i westchnienia, okropna muzyka pobojuwiska, zasłanego tysiącami trupów i konających.

Wstał nowy dzień — i jakby na jego powitanie odezwał się znowu złowrogi ryk armat.

Kanonada ta, nie zrządziwszy żadnej stronie szkód poważniejszych, trwała cały dzień, ale do bitwy nie przyszło. Wyczerpane wojska stały naprzeciw siebie w pogotowiu wojennem i czekały sygnału, by rzucić się znowu w wir walki. W obozie rosyjskim nie było już tej pewności siebie, która panowała przed rozpoczęciem bitew, natomiast żołnierz polski, złożwszy przed samym sobą dowody sprawności bojowej i męstwa, urósł we własnych oczach, nabral otuchy i począł wierzyć w zwycięstwo.

Wojsko polskie, rozłożone na polach Wielkiego i Małego Grochowa, zajmowało obszerną, pełną moczarów i bagnisk równinę, otoczoną z jednej strony Wisłą i jej łachami, a z drugiej strony lasem. Prawe skrzydło opierało się o bagna, utrudniające dostęp do Wisły, lewe przechodziło poza lasy olszowy, znajdujący się pomiędzy Grochowem a Kawenczynem.

Przez lasy szła droga bita, prowadząca na błonia przed Pragę.

Ów historyczny las, który zasłynął później pod nazwą Olszynki, był pozycją czołową w rozłożeniu wojsk

polских, wysuniętą jak bastjon ku prawemu skrzydłu nieprzyjaciela. Chcąc dostać się na równinę przed Pragę, trzeba było najpierw zdobyć Olszynkę. Ominąć jej Rosjanie nie mogli, gdyż, mijając, naraziliby się na ogień z boku, a posunawszy się dalej, mogliby oczekiwać ataku i na tyły wojsk swoich. W takich warunkach łatwo było przewidzieć, że Olszynka stanie się miejscem walki najkrwawszej.

Zatapiał w nią wzrok swój Dybicz, jak gdyby chciał przeniknąć ukryte w niej siły, badał ją przebudzony z letargu Chłopicki i do upadłego postanawiał się bronić.

W spokoju i ciszy upłynęło dni kilka. Dybicz nie decydował się na rozpoczęcie nowej batalji, a Chłopicki czuwał, jak lew, gotów każdej chwili ukazać swe straszne pazury. Czy to bliskość armji nieprzyjacielskiej wpłynęła na starego generała, czy też przemówił w nim głos obowiązku, czy nagła nadzieja zwycięstwa i wiekopomnej sławy uśmiechnęła się Chłopickiemu, dość, że zmienił się do niepoznania, stał się naraz czynnym, czujnym i baczny na wszystko.

Codziennie na parę godzin przed wschodem słońca wyjeżdżał w otoczeniu swego sztabu poza przednie straże, wlepił oczy w gęsty mrok nocy i badał, czy w pozycjach armji nieprzyjacielskiej nie zaszły jakie zmiany, na które natychmiast trzebaby odpowiedzieć. Wojsku rozkazał na godzinę przed świtem występować w rynsztunku bojowym, bo ataku dodnia można się było spodziewać, a doświadczony wódz na wszystko chciał być przygotowany. Ale armja nieprzyjacielska stała nieruchomo — i dzień za dniem płynął w nużącym oczekiwaniu. Więc Chłopicki czekał. Cekał groźny i pewny siebie, w postawie śmiałej i wyzywającej. Wojsko odczuło Chłopickiego i z radością patrzyło na jego czynności. Gdy w swoim szarym cywilnym płaszczu zjawiał się przed frontem, żołnierze witali go okrzykami zapалу. Z postawy starego generała biła pewność sie-

bie i jakaś nadzwyczajna moc, która udzielała się żołnierzom, przenikała ich nawskroś, rozpalala w piersiach płomienie bohaterstwa i entuzjazmu.

Wojsko rwało się do boju i w takim stanie zastał je dzień 25 lutego.

W tym pamiętnym dniu armja polska, zajmująca pola grochowskie, liczyła 38.000 ludzi i 82 działa. Na lewo od tych sił pomiędzy Brudnem a Białoleką stał generał Krukowiecki z dwunastotysięcznym korpusem.

Rosjanie byli znacznie liczniejsi. Sam Dybicz, stojący naprzeciw pól grochowskich, miał 58.000 żołnierza i 196 dział, a na jego wsparcie śpieszył przez Białolekę książę Szachowski, wiodący z górą 12.000 ludzi i 56 armat.

Olszynkę zajmowała brygada generała Rolanda, za którym z resztą swojej dywizji stał generał Żymirski. Pod Olszynką stała dywizja Skrzyneckiego, a prawe skrzydło polskie formowała dywizja Szembeka. Część jazdy pod generałem Umińskim utrzymywała komunikację z korpusem Krukowieckiego, reszta pod gen. Łubieńskim stała między drogą bitą siedlecką a traktem, prowadzącym do wsi Ząbki.

Dnia 24 lutego rozległ się huk armat na skrajnem lewem skrzydle polskiem. To korpus Szachowskiego zbliżył się do Białoleki i rozpoczął bitwę, w której dowody wielkiego męstwa złożył broniący Białoleki Kazimierz Małachowski, najstarszy w wojsku polskiem generał, niegdyś legjonista dzielny i zasłużony, obecnie zgnębiony wiekiem i trudami, ale w ogniu bitwy odzyskujący zapał i rześkość młodzieńczą. Na wsparcie Małachowskiego pośpieszył Krukowiecki, i, objąwszy naczelne dowództwo nad zgromadzonymi w Białolece siłami, zaraz nazajutrz zrana w pamiętnym dniu 25 lutego odnowił bitwę. Szachowski nie mógł się obronić natarczywości wojsk polskich i, widząc, że się nie przebije, śpieszył inną drogą połączyć się z Dybiczem. Aby tego połączenia dokonać, musiał zrobić



GENERAŁ CHŁOPICKI

wielki łuk, co pozwalało Krukowieckiemu napaść na niego w marszu i wydać bitwę lub też, widząc, że Szachowski Białoleńce nie grozi, pośpieszyć natychmiast na wsparcie głównych sił polskich.

Ale Krukowiecki, zadowolony, że zmusił do odwrotu nieprzyjaciela, poprzestał na tem i, nie bacząc na walkę, rozgrywającą się pod Grochowem, na wzywające go odgłosy armat, zarządził odpoczynek i stał w miejscu nieporuszony. W duszy tego starca, chciwego władzy i zaszczytów, a mającego pretensje do Chłopickiego, głęboko tkwiła zawiść i głuszyła poczucie obowiązku. Więc choć, jako doświadczony generał, nie mógł nie wiedzieć, co robić, stał na zajętej pozycji i ani myślał iść ginącym braciom z pomocą.

Strzały, słyszane od strony Białoleńki, zafrasowały wielce Dybicza. Obawiał się, że na Szachowskiego spadną główne siły polskie — i natychmiast zdecydował się temu przeszkodzić, zajmując te siły akcją zaczepną wojsk, będących pod ręką.

Jakoż o dziewiątej zrana odezwały się armaty rosyjskie i natychmiast odpowiedziała im artylerja polska.

Na odgłos wystrzałów Chłopicki dosiadł konia i pojechał zaraz na linię bojową, a naczelny wódz Radziwiłł zajął wyznaczone mu miejsce w środku równin Pragi, przy drodze bitej, obok słupa żelaznego, postawionego na pamiątkę ukończenia tej drogi.

Od zdobycia Olszynki postanowił Dybicz tę nową walkę rozpocząć i atak na Olszynkę powierzył Rosenowi.

Moskale śmiało ruszyli naprzód i z okrzykiem: hurra! wtargnęli do Olszynki. Rzęsistym i celnym ogniem przywitani ich najpierw tyraljerzy, a później natarła na nich piechota i bagnetem z lasku wyparła. Rosjanie nie dają za wygraną i raz za razem ponawiają ataki. Wyrzuceni

trzykrotnie, formują się po raz czwarty i, wzmocnieni nowymi siłami, znowu ruszają do lasku.

Widzi to Chłopicki i poleca gen. Żymirskiemu wesprzeć Rolanda i bronić Olszynki do upadłego. Chcąc podkreślić ważność tej obrony, zapowiada Żymirskiemu przez adjutanta, że wolno mu zginąć, ale niewolno opuścić pozycji. Otrzymawszy ten rozkaz, Żymirski jak burza wpada do lasku, łamie szeregi nieprzyjacielskie, wypiera je na całej linii i staje mocno jak mur, gotów na nowe natarcia. Niedługo na nie czeka, bo sam Dybicz śledzi zażartą walkę i rozkazuje Rosenowi ponowić ataki.

Wojska rosyjskie formują się w otwartym polu i znowu idą na Olszynkę.

Zahuczało w lasku od strzałów, krzyków i jęków, zawrzała nowa walka, ale trwała niedługo, bo Rosjanie, nie mogąc wytrzymać natarczywości obrońców, cofnęli się w nieładzie.

Miotła się na ten widok Dybicz i nakazuje nowe potężniejsze uderzenie.

Rusza teraz do boju dywizja Pahlena i brygada karabinierów, kilkadziesiąt dział artylerji konnej rozpoczyna ogień morderczy i wojska rosyjskie, uszykowane w półkole, a prowadzone przez najmężniejszych w armji generałów Tolla i Neuhardta, idą pomścić doznane porażki i wydrzeć Polakom Olszynkę.

Żymirski patrzy nieulekłym wzrokiem na zbliżającą się nawałnicę, pod gradem kul przebiega przeredzone szeregi i wzywa je do zaciętej obrony, gdy wtem kula armatnia urywa mu ramię i śmiertelnie rannego ciska o ziemię. Żymirskiego unoszą z pola, a żołnierze, wyczerpani walką, co gorsza, pozbawieni komendy, nie mogą się oprzeć ogarniającej ich burzy i opuszczają pełną trupów Olszynkę.

Widzi to Chłopicki i zrywa się do skoku, bo teraz kolej na ataki wojsk polskich.

Skrzynecki otrzymuje rozkaz odebrania lewej strony lasku, a prawą mają zdobyć grenadjerzy.

Ale za mało sił ma Chłopicki, by walczyć z całą armją Dybicza, więc rozkaz za rozkazem śle do Krukowickiego i nakazuje mu ruszać na plac boju, jednocześnie zaś wzywa Łubieńskiego, by z całą jazdą śpieszył pod Olszynkę. Niestety, rozkazów Chłopickiego nie spełniają generałowie. Oto Łubieński odpowiada, że naczelnym wodzem jest Radziwiłł i że od niego tylko przyjmie rozkazy, a Krukowiecki ani myśli przerwać odpoczynku. Chłopicki posyła nowych adjutantów, poczem zbliża się do grenadjerów, by rzucić ich w ogień. Od postaci Chłopickiego biła pewność siebie, twarz zdradzała zawziętość, lecz była spokojna, nieruchoma, jakby wykuta z marmuru. Tylko z oczu generała szły błyskawice i przebiegały sformowane już do ataku kolumny.

Na widok wspaniałej i pewnej siebie postawy wodza zapal ogarnął grenadjerów.

— Niech żyje Chłopicki! — Niech żyje dyktator! — poczęto wołać dokoła i jakiś nowy duch i nowe męstwo wstąpiło w serca.

A Chłopicki stanął na czele jednego bataljonu, dwa inne powierzył Prądyńskiemu i Milbergowi, poczem szpicrutą wskazał Olszynkę i krzyknął grzmiącym głosem:

— Tam! tam!

Jak lwy ruszają grenadjerzy we wskazanym kierunku. Z piersi ich dobywa się pieśń legjonów i grzmi tak głośno, że nie głuży jej ryk armat, ani odgłos bębnow.

— Jeszcze Polska nie zginęła! — huczy w przestworzach i hufce, wiedzione przez Chłopickiego, wkraczają na pole walki groźne i straszne, dyszące żądzą boju i zwycięstwa. A gdy wchodziły do lasku, naraz jakby na umówiony sygnał dziewięćdziesiąt armat z obu stron zagrzmiało. Przerażający huk wstrząsnął powietrzem, ziemia zadrżała od

walących się na nią kul i kartaczy, a od kłębow dymu niebo pociemniało. Zastąpiły grenadjerom drogę kolumny nieprzyjacielskie, ale, przełamane w jednej chwili, ustąpiły z pola. Lecz oto nowe siły gromadzą dowódcy rosyjscy i wzmagają się walka zażarta, a choć z obu stron gęsto trup pada, grenadjerzy wciąż posuwają się naprzód. Chłopicki, widzialny jak sztandar dla obu wojsk walczących, pierwszy idzie w odmęt śmierci i porywa za sobą szeregi. Płaszcz generała poszarpały kule, dwa konie pod nim ubito, ale on nie zważa na nic i niczem niewzruszony do nowych czynów wzywa swoich żołnierzy i, krok za krokiem oczyszczając Olszynkę, wymiata z niej nieprzyjaciela.

W tymże samym czasie wre walka zacięta i w drugiej połowie lasu. Generał Skrzynecki na czele ósmego pułku piechoty, a generał Bogusławski na czele sławnych czwartaków również posuwali się naprzód. Bogusławski, lubiany dla swego męstwa, strofował żołnierzy:

— Mierz zwolna, wybieraj oficerów, a celuj w sam łeb! Chciałeś rewolucji, to nie chybiaj, psia krew, bo bieda będzie...

Jakoż widać w szeregach nieprzyjacielskich zamieszanie. Czwartacy wiernie wypełniają rozkaz: już generała brygady i szefów bataljonów unoszą z pola, Moskale chwieją się coraz bardziej.

— Na bagnety! — komenderuje Skrzynecki.

— Na bagnety! — woła Bogusławski i dwa pułki polskie, najeżywszy się stalowymi ostrzami, wpadają na nieprzyjaciół, łamią ich i, pędząc przed sobą, wychodzą poza Olszynkę. W tejże samej chwili ukazują się i grenadjerzy, prowadzeni przez Chłopickiego.

Dzięki tym wysiłkom lasek olszowy został opanowany przez wojska polskie.

Chłopicki ani myśli poprzestać na tem, lecz posuwa się dalej, w nadziei, że lada chwila przybędzie Krukowiecki

i poprze te wysiłki. Żołnierze odczuli ważność momentu i doniosłość osiągniętego zwycięstwa. Triumfalne okrzyki przeszły powietrze i upojonych żołnierzy ogarnął nieopisany zapach. Szeregi pomknęły naprzód, jak rozhukana fala, gotowa zmieść wszelkie przeszkody, strącać wszystko, coby jej śmiało stanąć na drodze.

Wówczas Prądyński, rozpromieniony triumfem, wysuwa się przed grenadjerów i, szpadą wskazując znajdującą się w pobliżu baterję rosyjską, woła:

— Żołnierze, bracia, jeszcze jedno wysilenie, a te działa są nasze!...

Suną grenadjerzy na armaty, rąbią kanonierów, co nie zdążyli uciec, zdobywają baterję i dwa działa zionące niebawem ogniem na wzgórze, skąd Dybicz śledzi przebieg walki.

Postęp taki nowy gniew zapalił w wodzu rosyjskim. Na czele swego sztabu wpada pomiędzy pierzchające kolumny, gromi je, każe formować na nowo, poczem wprowadza do walki nienaruszone rezerwy i olbrzymią masą posuwa się ku zwycięzcom, zachodząc im drogę z frontu i z lewej strony.

— Nie jestże to hańba, że nie możemy zdobyć tego lasu, — woła Dybicz do oficerów i przeciw trzem pułkom polskim wystawia resztę korpusu Rosena, drugą brygadę grenadjerów, na której w krytycznych chwilach polegali najbardziej, pułki meklemburski, jekaterynosławski, ingermanlandzki, staroingermanlandzki, piąty pułk jęgrów, pułk karabinierów, a za tą masą piechoty rozkazuje postępować jeździe, poczem wysuwa się na czoło i, szpadą wskazując kierunek, rzuca swe wojska na garstkę obrońców Olszynki.

Polacy mężnie witają nawałnicę, ale gdy nikt im z pomocą nie przybywa, zmuszeni są cofnąć się do lasu.

Nieszczęsna Olszynka znowu zapełnia się ludźmi i walka nierówna trwa całą godzinę. Wreszcie Moskale zdobywają lasek i wypierają z niego Polaków.

Ale Chłopicki nie daje za wygraną. Wśród ryku armat i kurzawy bojowej stary lew odzyskuje całą swą energję i postanawia polec lub zwyciężyć. Jeden groźny zamach wszystkimi siłami polskimi ma zadecydować o zwycięstwie. Adjutanci wodza biegną do dywizji Żymirskiego i Szembeka, by wprowadzić je w ogień, a Chłopicki, wściekły, że Krukowieckiego nie widać, że Łubieński nie pośpiesza z jazdą, wycofuje się na chwilę z ognia i pędzi ku kolumnie żelaznej, gdzie stoi ze swym sztabem i cywilnymi dygnitarzami niemieszający się do bitwy naczelny wódz Radziwiłł.

Chłopicki żąda od niego powtórzenia swoich rozkazów, co wódz naczelny niezwłocznie czyni. Otoczenie Radziwiłła pyta Chłopickiego o przebieg bitwy.

— Do widzenia waszmościom—odpowiada Chłopicki—jadę teraz zdobywać armaty...

I ufny w zwycięstwo spina ostrogami konia, powraca w odmęt bitwy i jak zwiastun zwycięstwa zjawia się wśród szeregów.

Wtem w konia, na którym siedzi, uderza granat i pęk z trzaskiem. I koń i jeździec giną na chwilę w kłębach dymu, poczem oczom patrzących okropny ukazuje się widok: pod rozerwanym koniem leży zbryzgany krwią Chłopicki. Okrzyk przerażenia dobywa się z piersi żołnierzy. Dopadają do generała, dobywają go z pod konia, a widząc, że ciężko ranny, robią naprędce nosze z kos kilku, składają go na nich i unoszą z pola. Ale Chłopicki, acz cierpi strasznie, pała jeszcze ogniem zwycięstwa.

Prądyńskiemu, który go pyta, kto ma bitwą dowodzić, odpowiada:

— Skrzynecki. Powiedz mu, ażeby całemi siłami uderzył na Olszynę i wydarł ją koniecznie Moskalom...

Wieść o ciężkich ranach generała roznosi się szybko, przynębia umysły — i oto wraz z Chłopickim znika z pola walki duch zwycięstwa.

Bitwa rozprzegła się w jednej chwili. Pozostali na placu generałowie nie o zwycięstwie, lecz o własnem ocaleniu zaczynają myśleć. Skrzynecki, znużony walką, nie spełnia danego polecenia, Szembek, zaatakowany przez brygadę strzelców konnych, dwa pułki huzarów i pułk ułanów, cofa się w nieładzie, za jego przykładem idzie reszta wojsk polskich.

A wódz naczelny Radziwiłł stoi pod żelazną kolumną i, widząc co się dzieje, szepcze bezradnie pacierze.

Popłoch wkrada się w szeregi. Jeden Skrzynecki, acz cofa się wraz z innymi, utrzymuje doskonały porządek, broni się mężnie i zasłania odwrót.

Dybicz usiłuje wykorzystać to zamieszanie i, chcąc przeciąć armji polskiej odwrót na Pragę, formuje swą jezdę. Pułk kirasjerów księcia Alberta podejmuje się wskazać konnicy rosyjskiej drogę i zapuszcza się w pełnym galopie pomiędzy wojska polskie, podbiega aż pod samą Pragę i wśród widzów, obserwujących walkę, wzbudza przerażenie.

Dostrzegłszy wojska rosyjskie, rzucili się oni do ucieczki i wpadli na Pragę z wiadomością o porażce wojsk polskich. Straszna wieść szybko rozniosła się po stolicy.

— Już Praga zdobyta! już nieprzyjaciół na mościel! — poczęto wołać na ulicach Warszawy i popłoch ogarnął bezbronnych mieszkańców. Okrutna rzeź Pragi, żyjąca we wspomnieniu, wszystkim stanęła przed oczyma.

Ale tak źle nie było. Kirasjerzy, zapędziwszy się za daleko, z tym samym pośpiechem wracali do swoich. Wszakże szarżowani przez ułanów pod pułkownikiem Klicim i rażeni ogniem piechoty, zostali prawie wszyscy na

placu lub poszli do niewoli. Tylko pojedynczym jeźdźcom udało się połączyć z główną armją rosyjską.

Tymczasem zbliżał się wieczór i mrok spływał na krwawe pobojowisko. Kanonada stawała się coraz rzadszą, aż zamilkła zupełnie.

Polacy cofali się przez most na Pradze do Warszawy, Rosjanie zajęli plac boju, ale wstrzymani mężnym oporem, nie odważyli się na przypuszczenie szturm do Pragi.

Wkrótce na całym polu bitwy zapanowała głęboka cisza i wojska rosyjskie słyszały doskonale turkot cofających się po moście armat, pociągów i ambulansów. Do późna w noc uskutecznił się odwrót wojsk polskich. Generał Małachowski pozostał ze swoją brygadą na Pradze, by w razie ataku bronić szańca przedmostowego, a cała armja znalazła się nad ranem w murach Warszawy.

W tej krwawej bitwie Polacy stracili zgórą 7.000 ludzi, a Rosjanie sami obliczali swe straty na 9.400 ludzi.

Całą noc Warszawa oczekiwała szturm, ale noc przeszła spokojnie.

Wstał nowy dzień i znowu w stolicy spodziewano się szturm, ale wojska Dybicza, czerniejące na równinach przed Pragą, niby zastygła lawina spoczywały milcząco, nieruchomo.

VI.

WAWER. WIELKIE DEMBE. IGANIE.

A w Warszawie wielki panował niepokój...

Obywatele tchórzliwszego serca, obawiając się szturm i jego okropności, pakowali swe rzeczy i szykowali się do opuszczenia stolicy. Za ich przykładem poszło wielu posłów — i w całym mieście wzrastał się niepokój. Nawet wielu wyższych wojskowych uważało prowadzenie walki za rzecz niemożliwą i, wskazując przerzedzone szeregi, mówiło tylko o układach.

Dnia 26 lutego o godz. 6 rano zebrali się członkowie Rządu Narodowego, ministrowie i wyżsi wojskowi na walną radę, która miała ocenić położenie i wybrać nowego wodza, bo Radziwiłł bez poparcia Chłopickiego wodzem być nie mógł. Generałowie Łubieński i Szembek mówili o układach, inni ponuro milczeli i milczeniem tem zdawali się mówić, że dalsza wojna jest niemożliwa. Ale książę Czartoryski lepiej oceniał stan rzeczy. Rozumiał on, że po bitwie, która się zakończyła opuszczeniem placu, Dybicz nawet słuchać o układach nie zechce, wobec czego trzeba zdać się na jego łaskę. Więc z energją, która zaszczyt Czartoryskiemu przynosi, sprzeciwił się nawet radzeniu o układach i wybór nowego wodza poruczył zebranym.

Położenie było trudne. Najlepsi generałowie polscy, Stanisław Potocki i Trembicki, polegli w pamiętną noc listopadową, Chłopiński, ciężko ranny, wycofał się z szeregów, a wśród pozostałych wojskowych jeden Stanisław Klicki miał dobrą reputację. Niestety, był to już człek schorzały, niezdolny do trudów wojennych.

Wprawdzie były to czasy, w których żyli jeszcze we Francji słynni wodzowie napoleońscy i niejednen z nich chętnieby ofiarował Polakom, dawnym towarzyszom broni, swoje usługi. Żył jeszcze Kniaziewicz. Wobec tego można było nawiązać z wodzami tymi rokowania, a jednemu z generałów polskich powierzyć tymczasowe dowództwo. Ale Rząd Narodowy, składający się z cywilnych, nie ogarniał, jak się należy, sytuacji — i naczelnego wodza chciał mieć jak najprędzej.

Dwóch generałów odznaczyło się w walkach dotychczasowych: Dwernicki i Skrzynecki.

Dwernicki zaraz w pierwszej rozprawie złożył dowód roztropności, odwagi i męstwa, a idąc śmiało na wroga, wskazał drogę działań zaczepnych, tak ważnych w skutki dla powstającego narodu. Ale Dwernicki, nieobecny na radzie, uganiał się za wojskami rosyjskimi w Lubelskiem i został niejako zapomniany. Zwycięstwo pod Stoczkiem przesłoniły ważniejsze wypadki, a w tych wypadkach najlepiej zaprezentował się Skrzynecki. Walka, którą stoczył pod Dobrem, rozślawiła jego imię, a dzielna obrona Olszynki i porządek, utrzymany w szeregach po wycofaniu się z bitwy Chłopińskiego, zatrzymywały uwagę na Skrzyneckim, jako na generale pełnym męstwa i energii.

Myśleli jeszcze o naczelnem dowództwie generałowie Krukowiecki i Umiński, obaj ludzie niespokojnego ducha i małej wartości, ale pierwszy miał na sumieniu karygodną beczczynność pod Białoleką, kiedy losy bitwywały się na polach Grochowa, drugi — prócz pychy i wy-

mowy niczem jeszcze podczas powstania wyróżnić się nie zdołał.

Wybór padł na Skrzyneckiego.

Był to człowiek w sile wieku, liczył bowiem lat 44. W pamiętną noc listopadową biegł on do w. księcia, by ofiarować mu swoją szpadę przeciw buntownikom, później jednak poddał się biorącej górę opinii rewolucyjnej i przyłączył się do powstania. Rewolucja zastała go w randze pułkownika, ponieważ jednak uchodził za oficera dużych zdolności, mianowano go generałem. Bitwa pod Dobrem i obrona Olszynki podtrzymała tę opinię i zyskała Skrzyneckiemu zaszczyt, na jaki bynajmniej nie zasłużył. Był to bowiem typowy karierowicz, myślący przedewszystkiem o sobie, uparty, zarozumiały, poziomy, nie znoszący obok siebie żadnego talentu i żadnej wyższości. Miał się za drugiego Napoleona, ale w gruncie rzeczy nie posiadał nawet wykształcenia i zdolności, wymaganych już nie od wodza, ale od każdego generała. Dużo mówiono o jego waleczności i męstwie. Istotnie nie można mu męstwa odmówić, ale męstwo to rodziło się dopiero podczas niebezpieczeństwa, na placu bitwy, w obliczu śmierci. Wtedy Skrzynecki ożywał się, szedł w odmęt bitwy dumny, wyniosły, uparty. Ale odwagi, pozwalającej zaczepiać i ścigać nieprzyjaciela, energii i szybkości w ruchach, śmiałej decyzji, bystrego rzutu oka, daru orjentacyjnego, słowem, przymiotów wodza zupełnie nie posiadał. I charakterem również się nie wyróżniał.

Opinia uważała go za dzielnego patryotę, a to ze względu na niezależność, którą jako sędzia w procesie Łukaszińskiego miał rzekomo wykazać. Wiedzano, że on jeden w gronie sędziowskiem był za uniewinnieniem oskarżonych, ale nie wiedzano, że na rozkaz w. księcia cofnął swoje zdanie, zaparł się swoich szlachetniejszych uczuć i później haniebnym wyrok podpisał wraz z innymi sędziami.

A jednak dowództwo naczelne przyjął Skrzynecki, jako należne mu dostojęństwo i odrazu przybrał pozę męża opatrnościowego. Ten mizerny i mały człowiek, który widział tyle dowodów poświęcenia i męstwa żołnierza, który osobiście przekonał się już, że walka jest możliwa i bynajmniej nie beznadziejna, odrazu obnażył swoją małoduszność, swój niezmienny brak odwagi i zdecydowania. Zamiast wyteńczyć wszystkie siły, by powiększyć liczbę obrońców i ćwiczyć nowe zaciągi, Skrzynecki rozpoczął układy z Dybiczem. W pierwszym liście, który wysłał do wodza rosyjskiego, płaszczył się przed Mikołajem, mówił o dobrodziejstwach Aleksandra i twierdził, że Polacy czczą pamięć tego ostatniego w jego następcy. W liście następnym posunął się jeszcze dalej, utrzymywał bowiem, że gdyby car Mikołaj pokazał się w stolicy, cała Polska rzuciłaby się w jego ramiona, jak w objęcia ojca, który przynosi błogosławieństwo pokoju.

Dybicz z pogardą potraktował te listy, nie odpowiedział na nie sam, kazał tylko generałowi Geismarowi oświadczyć wysłańcom Skrzyneckiego, żeby Polacy cofnęli akt detronizacyjny i powrócili do obowiązku wiernych poddanych, a wtedy car w swojej łaskawości ogłosi amnestję.

Takie były pierwsze czyny naczelnego wodza, który nieustannie honor miał na ustach.

Rząd Narodowy nie pochwalał tych kroków, ale nie śmiał się im przeciwstawić. I marszałek Ostrowski dowiedział się, jaką to bronią walczy wódz naczelny, ale również nie uczynił nic, aby przeciąć te hańbiące godność Polski układy. Nikt nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za przebieg wszczętych rokowań, więc wszyscy na nie zamykali oczy. A Skrzynecki, widząc bezkarność, zaczął snuć nowe plany dyplomatyczne.

Po takim naczelniku sił zbrojnych powstania niewiele dobrego można się było spodziewać.

Razem ze Skrzyneckim na widownię zdarzeń wojennych wypłynęli dwaj wybitni oficerowie, mianowani pułkownikami, a w szybkim czasie awansowani na generałów: Ignacy Prądzyński i Wojciech Chrzanowski, pierwszy, jako kwatermistrz armji, drugi, jako szef sztabu.

Prądzyński zbliżał się do czterdziestki, ale miał już za sobą doświadczenie, brał bowiem udział w wojnie r. 1809 i w kampanji moskiewskiej. Był to oficer wykształcony, bystry, odważny, strateg wprost genialny, słowem, wymarzony oficer sztabowy dla wodza, umiającego oceniać i korzystać ze zdolności swoich podkomendnych. Prądzyński posiadał wiele twórczej wyobraźni, wojnę chciał prowadzić na wielką skalę, pomysły miewał wielkie, olśniewające, a obok tego wszystkiego posiadał jeszcze jeden w ówczesnem położeniu niezwykle cenny przymiot: wiarę w sprawę narodu i wiarę w zwycięstwo. To też, wszedłszy w swą rolę, zaraz ją zastanawiać się nad tem, w jaki sposób nieprzyjaciół podejść i rozgromić, jak korzystać z błędów, które wkrótce po batalji grochowskiej zaczął wódz rosyjski popełniać. Prądzyński rozmyślał o czynach wielkich, marzył nie tylko o rozgromieniu całej armji rosyjskiej, ale nawet o zwycięskim marszu na Petersburg. Po napoleońsku traktował on wojnę, a pomysły swoje, co jest rzeczą niezwykle ważną, opierał zawsze na możliwie ściśle obliczeniu wzajemnych sił, na uwzględnieniu wszystkich możliwych do przewidzenia szans i skutków. Niestety, jednego tylko przymiotu brakowało Prądzyńskiemu: powagi i tęgości charakteru. Łatwy w obcowaniu z ludźmi, przystępny gaduła, uprzejmy i towarzyski, miał małe ambicyjki, nie licujące z wielką i szlachetną ambicją, która mu przyświecała, a obok tych ambicyjek wolę zbyt słabą, by ją narzucić Skrzyneckiemu.

Chrzanowski był do pewnego stopnia przeciwstawieniem Prądzyńskiego. Zgryźliwy, uważający walkę z Rosją

za szaleństwo, pozbawiony zapału i entuzjazmu, ale zdolny, pracowity, systematyczny, podobnie jak Prądyński mógł być swem wyrobionem i przemyślanem zdaniem niejedną cenną usługę oddać naczelnemu wodzowi.

Na nieszczęście, Chrzanowski i Prądyński bardzo często różnili się w zdaniu, Skrzynecki zaś, który zdania własnego nie miał, a cudzych ocenić nie umiał, korzystał z owej sprzeczności w ten sposób, że, mając do wyboru dwa różne plany, oba krytykował, odrzucał i pograżał się w bezczynności.

Przerwa w działaniach wojennych pozwalała na skompletowanie i reorganizację armji. Na dowódców dywizji powołano generałów Rybińskiego, Giełguda, Kazimierza Małachowskiego i Milberga. Jazdę podzielono na trzy dywizje, których dowództwo objęli generałowie Łubieński, Umiński i Skarżyński. Szembek, pokłóciwszy się ze Skrzyneckim, podał się do dymisji, a generał Krukowiecki również opuścił szeregi. Miał postawić go wraz z Łubieńskim przed sąd wojenny za niewypełnienie rozkazów podczas bitwy grochowskiej, mianowano Krukowieckiego gubernatorem Warszawy.

Armja polska, kompletowana nieustannie, szybko rosła w siły i w końcu marca wraz z załogami Zamościa i Modlina oraz oddziałami Dwernickiego, Sierawskiego i Paca podniosła się do poważnej liczby 90.000 żołnierza. Zaopatrzona we wszystkie potrzeby, dobrze rozlokowana i dobrze żywiona, przeniknięta była zapałem wojennym i ufnością w zwycięstwo.

Tymczasem wojska rosyjskie cierpiały na brak żywności i kwater, a niepowodzenia w dotychczasowych bitwach osłabiły ducha żołnierzy i wodzów. Dybicz nie tylko nie decydował się na przypuszczenie szturm do Pragi, ale wkrótce cofnął się w bory Miłosny, pozostawiając jedynie przed Pragą silną straż, złożoną z 6.000 ludzi, a dowodzoną przez Geismara.

Wkrótce w Warszawie otrzymano ważne wiadomości o nowych pozycjach wojsk rosyjskich, co zaraz natchnęło Prądyńskiego myślą rozpoczęcia nowej batalji. Prądyński, korzystając z rozdzielenia armji rosyjskiej, nakreślił plan rozgromienia poszczególnych oddziałów i plan ten przedstawił Skrzyneckiemu. Ale wódz naczelny zwlekał z rozpoczęciem kroków zaczepnych i trwał w bezczynności, choć szanse otrzymania zwycięstw były ogromne. Prądyński udał się ze swoim planem do członków Rządu Narodowego i przez nich starał się wpłynąć na wodza. Skrzynecki coraz to nowych doszukiwał się trudności, gdy wtem odebrano w Warszawie wiadomość, iż Dybicz czyni przygotowania do przeprawy przez Wisłę i z główną swą armją zamierza atakować Warszawę.

To dopiero zdecydowało Skrzyneckiego.

Stosownie do przyjętego planu wojska polskie miały rozgromić pod Wawrem Geismara, znieść stojący w pobliżu korpus Rosena, a następnie opanować Siedlce i rzucić się wszystkimi siłami na Dybicza.

Dnia 30 marca o północy, po moście, wyłożonym słomą, wymykały się chyłkiem wojska polskie na Pragę i zajmowały zaraz wyznaczone im stanowiska. Cichość, z jaką to czyniły, oszukała czaty rosyjskie i Geismar ani przeczuwał, co go zrana czeka. Gęsta mgła, panująca nazajutrz, do ostatniej chwili osłaniała ruchy wojsk polskich i dopiero uderzenie gen. Rybińskiego, który, okrążywszy pozycje nieprzyjacielskie, zaatakował straż rosyjskie pod Kawenczynem, wyrwały Geismara z nieświadomości. Posłał on strażom swoim posiłki, ale w tejże chwili otrzymuje raport, że znaczne siły polskie ciągną ku niemu drogą bitą od Grochowa. Nieprzygotowany na atak z dwóch stron, Geismar usiłuje się bronić, ale nacierany mocno, pozostawia cztery działa, dwa sztandary, licznych jeńców i czempredzej uchodzi.

Warszawa, przebudzona strzałami, teraz dopiero dowiedziała się o przedsięwziętej wyprawie. A zaledwie za-roiły się ulice, już mieszkańcy stolicy ujrzeli licznych jeńców, prowadzonych przez most na Wiśle. Cały pułk litewski w walce tej broń złożył, radość więc panowała wielka. Winszowano sobie zwycięstwa i cieszą się nadzieją nowych triumfów.

Tymczasem Geismar, ścigany przez wojska polskie, cofał się przez Miłosnę ku wsi Wielkie Dembe na główne siły Rosena.

O godz. 3 po południu wojska polskie ze Skrzyneckim na czele dosięgły nieprzyjaciela.

Siły polskie dwójnasób przewyższały Rosjan, ale wódz naczelny tylko część ich użył do bitwy i patrzył niespokojnie na wynik swoich rozporządzeń. Rosen brocił się dzielnie i walka trwała bez skutku parę godzin. Słońce już poczęło chylić się ku zachodowi — i Skrzynecki postanowił kres bitwie położyć. Rozesłał więc rozkazy, aby wojska nocowały tam, gdzie je rozkaz zastanie, lecz stało się inaczej.

Bogusławski, który z czwartym pułkiem wysłany został na punkt najniebezpieczniejszy i, stojąc w bagnach naprzeciw Wielkiego Dembego, ogniem karabinowym raził nieprzyjaciela, otrzymawszy rozkaz naczelnego wodza, zawołał z oburzeniem:

— Jak toż ja mam w tem błocie nocować!...

I, zwróciwszy się do czwartaków, wskazał im szablą Wielkie Dembe.

— Wiarusy! — krzyknął, — tam nocować będziemy!...

I wydał rozkaz do ataku.

Pędem rzucili się ku wsi żołnierze i, jak wicher wpadłszy pomiędzy Moskali, opanowali wnet kilka domów i zbliska rozpoczęli ogień. W tejże chwili Tomasz Potocki podprowadził dwa działa i kartaczami zaczął obsypywać



IGNACY PRĄDZYŃSKI

Rosjan. Wówczas Skrzynecki, ulegając namowom Chrzastowskiego, zdecydował się skorzystać z zamieszania i rzucić na Rosena jazdę pod generałem Skarżyńskim. Dzielna szarża jazdy polskiej rozstrzyga ostatecznie los bitwy. Rosjanie nie mogą dotrzymać placu, mieszają się i w nieładzie poczynają uchodzić.

Ale odwrót, rozpoczęty wobec siedzącego na karku nieprzyjaciela, zamienia się w porażkę. Sam Rosen o mało nie dostaje się do niewoli. Od ostatecznej klęski noc ciemna go uratowała.

Wojsko polskie zajęło pole bitwy i rozłożyło się na noc. Nazajutrz o świcie należało zarządzić energiczny pościg i dokończyć zwycięstwa rozgromieniem reszty korpusu Rosena. Naczelny wódz powinien był zostać wśród wojska, by przed wschodem słońca podnieść armję na nogi i o pierwszej zorzy rozpocząć energiczną pogoń. I, zdaje się, tak miał zamiar uczynić, lecz w chwili wydawania rozkazów przyjechał do Skrzyneckiego adjutant i przywiózł wiadomość od kucharza, że „rondle już ustawione“.

Na tę tak ważną i doniosłą nowinę Skrzynecki opuścił plac bitwy, wojsko, zapomniał o obowiązkach naczelnego wodza, o zwycięstwie, ojczyźnie — i pomknął do Brzezina, by tam zjeść wieczerzę i zażyć odpoczynku.

Tak to rondle odegrały ważną rolę w historii tej kampanji i ocaliły Rosena od ostatecznej klęski...

Pogoń odbywała się niedbale, wódz naczelny ciągnął w tyle armji, kontent z odniesionych korzyści.

Korzyści te istotnie mimo popełnionych błędów były bardzo znaczne. W ciągu dwu dni armja polska, straciwszy zaledwie 500 ludzi z szeregów, wzięła do niewoli 9.000 nieprzyjaciół, zdobyła 5 chorągwi, 12 dział, 50 jaszczyków z amunicją, 4 apteki polowe i zgórą 6.000 sztuk broni. Jeszcze jedno wysilenie, jeszcze jeden śmiały krok naprzód, a korpus Rosena byłby zniesiony doszczętnie.

Tymczasem Skrzynecki po jednym dniu pościgu postanowił się zatrzymać i zawiesić działania wojenne.

Dlaczego?

Oto obawiał się niepowodzenia, a wierzył w interwencję mocarstw i ta nieszczęsna dyplomacja miecz wytrącała mu z ręki. Zamiast iść na nieprzyjaciół, stanął pod Kałuszyńnem i orzekł, że wybiera system walki odpornej. Na Dybiczę postanowił czekać, tymczasem Dybicz w strachu wielkim o Rosena i swoje komunikacje ani myślał o tem, by spełnić życzenie Skrzyneckiego.

Ale Prądzyński nie zasypiał sprawy i nieustannie namawiał wodza do nowej akcji przeciw Rosenowi, który, wzmocniony nowemi siłami, załamał Siedlcę, ważny punkt dla Moskali, mieli bowiem w tem mieście swoje magazyny z żywnością, parki artylerji, szpitale, wszelkiego rodzaju sprzęty i zapasy wojenne. Otóż Prądzyński proponował rozdzielić armję polską na części, z trzech stron Rosena obejść, raz jeszcze go rozgromić, opanować Siedlcę, a później posunąć się ku Brześciowi, odciąć Dybiczę, który podówczas znajdował się pod Łukowem, od komunikacji z północą i w ten sposób zmusić armję rosyjską do odwrotu za Bug.

Skrzynecki zwlekał, ale korzyści, przedstawiane przez Prądzyńskiego, były tak widoczne, że ostatecznie zdecydował się na nowy ruch zaczepny. Stało na tem, że Prądzyński z kolumną, złożoną z 7.000 ludzi, obejdzie z prawej strony Rosena, stojącego pomiędzy Boimiem a Iganiami, na lewo z dywizją jazdy zajdzie mu drogę Łubieńską, a sam wódz naczelny z głównemi siłami zaatakuje Rosjan od frontu.

Stosownie do tego planu rozdzielono armję polską, umówiono się ściśle co do dnia i godziny, o której Rosen ma być zaatakowany — i Prądzyński, mający najdłuższą drogę i najtrudniejsze zadanie, pierwszy wyruszył w dro-

gę. Dnia 10 kwietnia stanął przed Iganiami, rozłożył swe wojska w zaroślach, a sam objechał pozycje nieprzyjacielskie. Siły rosyjskie składały się z 16.000 żołnierza i 28 dział, ustawionych na wzgórzach w ten sposób, że wszelki atak od strony, którą przybył Prądzyński, czyniły bardzo niebezpiecznym. Ucieszył się na ten widok Prądzyński, bo główny atak miał prowadzić Skrzynecki, a ustawienie dział i rozłożenie wojsk rosyjskich świadczyło, że Rosen ani przeczuwa, skąd mu grozi główne niebezpieczeństwo.

Ale nadaremnie Prądzyński i jego żołnierze wyteżali wzrok w stronę, od której miał nadciągnąć Skrzynecki. Żadnego poruszenia, żadnego znaku nie było widać, któryby zwiastował rychłe nadejście głównych sił polskich. Trwożne przeczucie ogarnęło Prądzyńskiego, gdyż nieprzybycie naczelnego wodza w porę najfatalniejsze mogło wywołać następstwa.

Tymczasem Rosen rozpoczął ogień armatni — i bitwa się zaczęła.

Prądzyński część wojska pozostawił w drodze dla osłaniania swych tyłów i skrzydeł; cała jego siła wynosiła teraz 6.000 ludzi i 10 armat pod dowództwem Bema. Trzy razy tyle nieprzyjaciół na dogodnych pozycjach miał przed sobą, ale animuszu nie stracił i, wierząc, że Skrzynecki za chwilę nadciągnie — bitwę przyjął.

W odpowiedzi na strzały armatnie nieprzyjaciół rozkazał 8 pułkowi piechoty uderzyć na Iganie, a Bemowi zbliżyć się z artylerją i ogień działowy rozpocząć. Bem ochotczo ruszył naprzód i celnymi strzałami jął osypywać kolumny rosyjskie, a pułk 8 ze śpiewem wtargnął do Igan, bagnetem natarł na grenadjerów i, zabrawszy dwa działa, usadowił się we wsi. Wówczas generał Rosen na pomoc grenadjerom posłał 13 i 14 pułk strzelców i rozkazuje im wieś odebrać. Strzelcy owi, wstawieni w ostatniej wojnie tureckiej atakiem pod Warną, a stąd lwami warneńskimi

zwani, w ścieśnionych kolumnach zaatakowali pułk 8 i po krwawej walce wyparli go ze wsi, objętej już pożarem.

Jednocześnie zaś jazda nieprzyjacielska zaczęła okrążać pozycje wojsk polskich, a „lwy warneńskie“ wciąż posuwały się naprzód, pchając przed sobą słabszą liczebnie piechotę.

Chwila była krytyczna.

Przemagające siły Rosjan brały już górę, a Skrzynecki nie przybywał. Szala zwycięstwa stanowczo przechylała się na stronę Rosena — i widmo klęski zajaśniało w oczy Prądyńskiemu. Ale na myśl o klęsce nowy duch wstąpił w jego serce i przez głowę, niby błyskawica, przemknął świetny pomysł. Widząc lewe skrzydło rosyjskie wysunięte naprzód i w pochodzie swoim za 8 pułkiem odcięte od reszty armji, a zarazem od grobli, przez którą szła droga ku Siedlcom, Prądyński sformował trzy pozostałe mu pułki piechoty i, stanawszy na ich czele, postanowił zaatakować prawe skrzydło Rosjan, roznieść je na bagnietach, a potem rzucić się ku grobli, opanować ją i przeciąć odwrót wojskom, co w walce z 8 pułkiem posunęły się za daleko.

Jeździe polskiej kazał odpierać konnicę rosyjską, poczem sformował kolumny do ataku.

Dał rozkaz, zawarczały bębny — i trzy pułki jak jeden mąż posunęły się naprzód.

Słońce właśnie chyliło się ku zachodowi i ostatnimi promieniami oświeciło atakujące kolumny. Purpurą słoneczną niby krwią zalane błysnęły bagnety Polaków, z piersi ich wyrwała się pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i niby łoskot gromu zahuczała w powietrzu. Ruszyli naprzód. Rażą ich strzały armatnie, zastępują im drogę gromady nieprzyjaciół, ale nic mężnych wstrzymać nie może. Bagnietem, kolbą, pięścią robią sobie drogę, wyrzucają Moskali ze wsi i jak rozjuszony lwy dopadają grobli. Tu

nowy bój się wszczyna, znowu bagnet i kolba jest w robocie, ale choć dzielnie bronią się Rosjanie, muszą wkońcu ustąpić — i grobla zostaje w rękach polskich.

Teraz zamieszanie wkłada się w szeregi rosyjskie, część wojsk, odcięta od sił głównych, składa broń, część topi się w rzeczce Muchawcu i błotach, reszta uchodzi w nieładzie. 3.000 niewolnika, kilka dział i dwa sztandary dostają się Polakom.

Świetne zwycięstwo odniósł nad przemagającymi siłami Prądyński, ale za mało miał wojsk, aby się pokusić o Siedlcę i marsz natychmiastowy rozpocząć. Z boleścią więc spoglądał na krwawą, choć zaszczytną dla niego pobojowisko, myśląc o triumfie zupełnym, który tak bliski był urzeczywistnienia.

Zgasło słońce, mrok począł otulać zlaną krwią walecznych ziemie, gdy zjawiły się nareszcie kolumny głównych sił polskich, a tuż za nimi i naczelny wódz Skrzynecki.

Cóż się stało, że tak późno przybywał?

Oto zamiast dążyć ku Iganiom co tchu w piersiach starczy, naczelny wódz spał sobie najspokojniej i dopiero obudzony gromem dział, huczących na błoniach igańskich, rozkazał wojsku maszerować dalej.

Na drugi dzień zdobycie Siedlec okazało się już o wiele trudniejszym. Rozpoznanie uczynione przekonały, że przybyły tam znaczne posiłki i że wódz rosyjski ma się na baczności. Ale wojska polskie, upojone zwycięstwem, pałały żądzą walk dalszych, żołnierz prosty drżał z niecierpliwości na myśl o nowych bojach i nowych zwycięstwach, bo w całej armji nikt już o nich nie wątpił... nikt, prócz naczelnego wodza...

Skrzynecki nie zważał na ów wielki zapal, ożywiający całe wojsko polskie, ani na to, że liczebność jego zrównała się po odniesionych zwycięstwach z liczebnością

podupadłej i zdemoralizowanej już armji rosyjskiej, ani na to, że siły polskie już się nie wzmogą, a na pomoc Dybiczowi ciągną wielkie posiłki. Skrzynecki stanął wpoprzek wszystkim pragnieniom armji, niby jakaś fatalna siła zawisł nad Polską i kiedy zbawienie jej leżało w dalszych krokach zaczepnych, on jeden w całym narodzie, mający w tej chwili władzę i moc rozkazywania, — nakazał ruchy odwrotne.

Zwycięstwa pod Wawrem, Wielkim Dembem i Iganiami szeroko rozślawiły imię naczelnego wodza, z uznaniem powtarzano je na obu półkulach, a w całym kraju wymawiano je z głęboką i serdeczną wdzięcznością, z najwyższym szacunkiem i czcią.

Nikt jeszcze nie wiedział, co za serce biło w piersiach naczelnego wodza, w tych piersiach, które Rząd Narodowy w uznaniu za wielkie usługi, oddane ojczyźnie, ozdobił po bitwie pod Wielkim Dembem najwyższą nagrodą: krzyżem komandorskim.

Skrzynecki, syt zaszczytów i sławy, nakazawszy ruchy odwrotne, powrócił do Warszawy.

O ironjo! stolica przywitała go, jak największego bohatera wszystkich czasów Polski...

VII.

DZIAŁALNOŚĆ RZĄDU I SEJMU.

Zwycięstwa, odniesione przez Polaków, zbudziły czujność gabinetów europejskich — i powstanie, skazane przez wszystkie rządy na rychłą zagładę, przeradzało się w kwestję aktualną, stawało się zjawiskiem, na które cała Europa patrzyła z najwyższą ciekawością. Ale sprawa polska dotyczyła trzech mocarstw zaborczych, w których interesie nie leżało bynajmniej ostateczne zwycięstwo Polaków. Nie wierzono jednak w takie zwycięstwo, a dla niepewnej sprawy nikt nie myślał narażać się Rosji.

Rząd Narodowy już w początkach powstania szukał u mocarstw pomocy, lecz wszędzie spotkał się z odmową. Obecnie postanowił wznowić akcję dyplomatyczną, w nadziei, że odniesione zwycięstwa wpłyną na usposobienie rządów.

Rząd austriacki, rywalizujący z Rosją, patrzył z zadowoleniem na jej kłopoty i gotów był przyklaskiwać powstaniu, z tym wszakże warunkiem, iż stanie się ono potężnem. Książę Czartoryski już kilka miesięcy przedtem nawiązał rokowania z kanclerzem austriackim, księciem Metternichem, i przez brata swego Konstantego, który mieszkał podówczas w Wiedniu, proponował wzamian za pomoc zbrojną

koronę polską jednemu z arcyksiążąt austriackich. Za tę koronę, bardzo niepewną, musiałaby Austria narazić się na walkę z potężnym sąsiadem. Więc Metternich ani myślał kruszyć o nią kopji i narażać sobie przed czasem potężnego sąsiada. Spokojnie czekał na dalszy rozwój wypadków i z posłami polskimi nie krępował się wcale. Po detronizacji, w której widział krok republikański, nie chciał z nimi mówić, po odniesionych zwycięstwach oświadczył za pośrednictwem życzliwego dla Polaków gubernatora Galicji, ks. Lobkowitza, że interwencja zbrojna Austrii zależna jest od stanowiska Francji i Anglii...

Chytry kanclerz nie chciał nic ryzykować.

Najwięcej sympatji powstanie miało we Francji. Wiadomość o wybuchu listopadowym przywitano w Paryżu okrzykami zapału. Lud paryski domagał się od rządu wysłania do Polski posiłków zbrojnych, a później wiadomości o zwycięstwach przyjął radosnem uniesieniem. Ale entuzjazmu mas ludowych nie podzielał bynajmniej rząd francuski. Misja polska w Paryżu, złożona z gen. Kniaziewicza i hr. Ludwika Platera, traktując z ministrami, starała się im wykazać, że powstanie wstrzymało Mikołaja od wtargnięcia ze swem wojskiem do Francji, że porażka Rosji zabezpiecza Francję od najazdu rosyjskiego w przyszłości, ale argumenty te najmniejszego nie odniosły skutku. Minister spraw wewnętrznych Sebastiani nie skąpił Polakom słów gorącego współczucia i sympatji, ale do niczego zobowiązywać się nie chciał. Przez gen. Lafayette'a, towarzysza broni Kościuszki, a gorącego przyjaciela Polaków, trafiła misja paryska i do Ludwika Filipa, ale król ten, wyniesiony niedawno na tron francuski dzięki rewolucji lipcowej, całkowicie pochłonięty był myślą o utrwaleniu swojej dynastji, unikał więc wszystkiego, co mogłoby narazić go rządowi. Na nalegania Lafayette'a odpowiadał wykrętnie. Na odmowę zdobyć się nie mógł, bo sprawa polska była

we Francji popularna, ale że się Rosji obawiał, więc uciekał się do niegodnych wybiegów.

W Anglii, która podówczas rywalizowała z Francją, a tem samem przechylała się na stronę Rosji, akcję dyplomatyczną prowadził początkowo margrabia Wielopolski, a później hr. Walewski, żadnemu jednak nie udało się wywalczyć na rządzie angielskim nawet obietnicy jakiegokolwiek poparcia.

Najwpływowwszy w ówczesnym gabinecie lord Grey przez długie lata słynął, jako przyjaciel Polaków. Podczas kongresu wiedeńskiego protestował gorąco przeciw podziałowi Polski, a w roku 1814-ym pisał do Kościuszki, że wszystkie nieszczęścia i klęski, trapiące Europę, mają swoje źródło w zbrodni, na Polsce dokonanej. Teraz ten sam mąż stanu, przyjmując list ks. Czartoryskiego, wyraźnie podkreślał, że nawet ten list traktuje, jako pismo prywatne. Tak się zmienił człowiek, gdy posiadał władzę i istotnie mógł okazać pomoc powstającej Polsce.

Rząd pruski odrazu względem powstania zajął wrogie stanowisko i wyraźnie dopomagał Rosji. Nic dziwnego. Triumf Polaków musiałby się odbić i na skórze pruskiej. To też Prusacy mieli się na baczności i nad granicami Królestwa gromadzili wojska, by w razie potrzeby pchnąć je na pomoc Moskalom. Nadto wojskom rosyjskim dostarczali żywności, amunicji, oddawali mnóstwo innych przysług, świadczących aż nadto wymownie o usposobieniu rządu pruskiego w stosunku do obu stron walczących.

Mrozem wiało od gabinetów europejskich.

Jednakże ks. Czartoryski nie tracił nadziei, że wkońcu uda się rządy europejskie pozyskać dla sprawy walczącego narodu. Nadzieje te podzielał Skrzynecki, a skutkiem tego uwaga władz, kierujących powstaniem, zbyt często skupiała się na okolicznościach zewnętrznych i odrywała energję od organizowania siły jedynie niezawodnej: wewnętrznej

siły narodu. Tymczasem władze polskie, jak słusznie powiedział jeden z dawniejszych historyków powstania, Mierosławski, powinny się były tak zachowywać, jakby „prócz Polski i trzech jej ciemieńców więcej nic żywego w Europie nie drgało“... Wprawdzie na Zachodzie przywódcy stronnictw ludowych nie kłamali Polsce swych uczuć i w miarę sił starali się wpłynąć na zmianę polityki swoich rządów. Ale nadaremnie. Przyczyną takiego stanu rzeczy było przekonanie gabinetów, że Rosja niebawem zwycięży. Jedyne jakieś wielkie zwycięstwo powstańców mogło zmienić usposobienie monarchów, jedynie siła mogła trafić im do przekonania. A dotychczasowe powodzenia były tylko epizodami w toczącej się wojnie, epizodami, które bynajmniej nie uniemożliwiały Rosjanom odwetu.

Gdy więc zawiodło współdziałanie rządów, — inna siła pozostawała do zdobycia, a siłą tą była opinia mas ludowych, z którą już wówczas na zachód od Polski liczone się wszędzie. Nawet król pruski w rozmowie z księciem Antonim Radziwiłłem oświadczył, że powstanie polskie do tego stopnia wzbudza sympatję ludów, że ta sympatja może zmusić rządy do pośrednictwa, ale trzeba, by powstanie toczyło się dalej.

W takim stanie rzeczy można było ową sympatję podsycać i rozpalic, w powstaniu polskim ukazać ludom drogie im ideały, słowem, uczynić powstanie rewolucyjnym, nie tylko w sensie politycznym, ale i społecznym. Aby tego dokonać, wystarczyło rządowi powstańczemu proklamować wolność, równość i braterstwo, obwieścić głośno zniesienie pańszczyzny, nadać włościanom ziemię, z temi samemi hasłami wkroczyć na Ruś i Litwę. W ten sposób rząd powstańczy mógł nie tylko pobudzić sympatję ludów, ale samemu powstaniu mógł przysporzyć ogromną siłę, stworzyć w Polsce tysiące nowych obywateli i na szerokich masach, jak na opoche z granitu, budować niepodległość.

Rozumieli to wybitniejsi ludzie i zaraz na początku powstania domagali się reform.

Wołało o nie Towarzystwo Patriotyczne, dopominał się Lelewel, pragnęli ich dalej patrzący posłowie.

Ale na czele powstania stał Sejm i od niego zależało reformy wprowadzić w czyn.

Na wniosek Lelewela jeszcze przed zaczęciem wojny Sejm przeznaczył część dóbr narodowych, przedstawiających wartość 10 milionów złp., na wynagrodzenie żołnierzy, poszkodowanych w wojnie, a po bitwie grochowskiej poseł Olrych Szaniecki złożył wniosek, żądający nadania włościanom własności gruntowej i zniesienia znienawidzonych przez ludność monopolów. Wniosek ten, odesłany do komisji, nie doczekał się dyskusji w izbie poselskiej, ale sprawa włościańska coraz natarczywiej wysuwała się naprzód.

Szlachta, zasiadająca w Sejmie, z małemi wyjątkami, przeciwna była reformom i tylko dalej patrzący posłowie toczyli o nie walkę.

Dnia 28 marca minister skarbu, Alojzy Biernacki, przedstawił Izbie połączonym projekt, przyznający drobnym rolnikom własność gruntową w dobrach narodowych. Projekt ten był za zniesieniem pańszczyzny i zamianą jej na czynsz, a zarazem zmierzał do podzielenia większych folwarków na drobne posiadłości.

— Rewolucję naszą, święty cel mającą — mówił minister Biernacki — uświetnijmy jeszcze prawem, które będzie źródłem szczęścia i godniejszego bytu najliczniejszej klasy narodu. Pokażmy światu, że Polak, sobie zostawiony, umie się skutecznie zajmować chwałą i rzeczywistym szczęściem narodu.

W dalszym ciągu dyskusji, która się nad przedstawionym projektem wyłoniła, najgoręcej przemawiali za reformami posłowie Deskur, Sołtyk i Szaniecki.

— Prawo nadania własności gruntowej włościanom — dowodził Deskur — wieczni w oczach oświeconej Europy święte nasze zamiary w uzyskaniu narodowej niepodległości i przekona, że, wolni od przesądów przodków naszych, postanowieniem niniejszem dopełniamy od lat tylu przeznaczone włościanom nabycie gruntów na własność...

A Roman Sołtyk, malując usposobienie włościan, mówił:

— Widziałem ich miłość ojczyzny, kiedy ich kilka tysięcy uzbrojonych w kosy, bez żywności, po nocach prowadziłem. Żaden z nich nie wrócił do domu. Podnoszę więc głos mój za tą klasą narodu i zapewniam was, reprezentanci, że cokolwiek dla niej zrobimy, rzeczywiście przyczyni się do dobra ojczyzny...

Posel Szaniecki zaś, przemawiając za nadaniem gruntu włościanom i wskazując konieczność zniesienia pańszczyzny, wołał:

— Uchwała ta postawi Polskę na stopniu odpowiednim cywilizacji europejskiej, na stopniu szczęścia i swobód prawdziwej wolności. Miljon rąk podniesiemy ku obronie tej ziemi, na której miljon wolnych utworzymy jej właścicieli. Miljonem niepodległych obywateli wzmocnimy reprezentację narodową, bo miljonowi niezawisłych obywateli nadajemy prawa polityczne. W tem leży dobro kraju, w tem leży honor narodu.

Jak widać z tych głosów, reformy społeczne miały w Sejmie gorących rzeczników, ale ogół sejmowy przekonać się nie dał.

Jak już wiadomo, podczas bitwy grochowskiej znaczna część posłów spakowała w popłochu swoje manatki i, przewidując zdobycie Warszawy, uciekła ze stolicy. Huk wystrzałów na błoniach grochowskich spłoszył ich, niby stado swarliwych wróbli. Ulecieli pod domowe strzechy i ślad wszelki po nich zaginął. Sejm musiał obradować w tak nielicznym gronie, iż żadna uchwała nie mogła się

stać prawomocną. Na wniosek Wincentego Niemojowskiego postanowiono zmniejszyć komplet zwyczajny do 33 członków. Lecz ostatnie zwycięstwa ośmieliły uciekinierów. Więc opuścili swoje folwarki i zaczęli z wolna ściągać do Warszawy. Ci ludzie o tchórzliwym sercu i zajączej duszy, opuszczający swoje placówki wtedy, kiedy niebezpieczeństwo zaczynało grozić ojczyźnie, nabrali teraz ducha i gadaniem starali się zwichnąć zapoczątkowane dzieło. Oni to, powodowani egoizmem klasowym i samolubstwem, na wniosek posła Walichnowskiego zepchnęli sprawę reform z porządku dziennego, by następnie do obrad nad nią już nie dopuścić.

W ten sposób Sejm odepchnął najliczniejszą klasę narodu, zniechęcił ją do walki i własną ręką potężny cios zadał powstaniu.

Dnia 4 marca Izby Sejmowe ogłosiły odezwę, w której reprezentanci narodu oświadczali w obliczu świata i ziomeków swoich, że jak w początkach rewolucji, tak i nadal postanowili nie odraczać Sejmu, nie rozdzielać się z rządem i wojskiem, a gdyby nieprzewidziany wypadek skłonił Sejm do opuszczenia stolicy, i wtedy nawet członkowie Sejmu nie przestaną czuwać nad losami ojczyzny, nigdy nie zapomną, że są pełnomocnikami ludu polskiego, że, stojąc na straży jego wolności, honoru i sławy, w najcięższych przeciwnościach bronić ich będą do ostatka!

Odezwa ta świadczyła, że trwożne przeczucia miały sejmującymi, a przewidywanie opuszczenia stolicy było wymownym tej trwogi wyrazem. Ale zwycięstwa pod Wawrem, Wielkim Dembem, Iganiami zmieniły postać rzeczy.

Pięknym słowom odezwy nie towarzyszyły czyny.

Sejm zastanawiał się nad wielu drobnymi kwestjami, tonął w odmęcie gadatliwości, ale nie mógł się zdobyć na najważniejszą dla ludu polskiego uchwałę.

Poseł Szaniecki, chcąc ratować sytuację, założył Towarzystwo Przyjaciół Ludu, które miało szerzyć wśród włościan oświatę i ułatwiać im nabywanie ziemi na własność, ale Towarzystwo to, pozbawione poparcia i środków, nie zdołało uratować pogrzebanej w Izbie posłów sprawy.

Gdy więc Sejm, ta najwyższa władza powstania, nie umiał powołać do obrony kraju nowych obywateli i postępowaniem swoim odrzucał środki ratunku, nic przeto nie pozostawało, jak walka temi siłami, które były pod ręką.

Ale Skrzynecki spoczywał na laurach.

Wódz naczelny przemienił się teraz w polityka, dyplomate, pisał na własną rękę memorjały i te posyłał za granicę, w przekonaniu, że głos jego niewątpliwie wysłuchany będzie. Wierzył on mocno w pomoc zbrojną Austrii i Francji, studiował pilnie gazety zagraniczne i o rozpoczęciu nowej batalji ani chciał słyszeć.

Dotychczasowy przebieg walki wykazał, że każdy krok zaczepny kończył się triumfem, — Skrzynecki mówił o systemie odpornym, bo system ten pozwalał mu trwać w bezczynności.

Nadaremnie Prądyński przedstawiał wodzowi świetnie obmyślany plan stoczenia wielkiej bitwy z główną armją rosyjską i wskazywał szanse wielkiego zwycięstwa.

Skrzynecki ani chciał słuchać i dopiero naleganie Rządu Narodowego skłoniło go do wyruszenia w pole. Nie śmiał jednak zaczepić Dybicza i wybrał plan inny, również opracowany przez Prądyńskiego, ale przedstawiający mniej widoków powodzenia.

Była to wyprawa na gwardje cesarskie, stojące zdala od pola bitwy, a przeznaczone przez Mikołaja do triumfalnego wejścia do Warszawy, oczywiście po jej zdobyciu.

Gwardje w sile 22.000 ludzi pod dowództwem w. ks. Michała, biwakując w okolicach Łomży, stały podówczas

pod Zambrowem na straży dwóch traktów, prowadzących na Litwę. Główna armja zajmowała leże pod Siedlcami.

Otóż Prądyński, korzystając z odosobnienia gwardyj, uplanował zaskoczyć je zniemacka i rozbić prędkiej, nim Dybicz z główną siłą mógłby przyjść z pomocą. Plan ten liczne przedstawiał trudności, ale że Skrzynecki o niczem innem słyszeć nie chciał, przeto wyprawa na gwardje została zdecydowana.

Jednocześnie zaś z tą wyprawą postanowiono wysłać na Litwę oddział jazdy pod generałem Chłapowskim, by podtrzymać szerzące się tam powstanie.

Z izb poselskich i komnat rządowych los powstania przenosił się znowu na pola bitew...

Ale Skrzynecki z najwyższą niechęcią wyruszał na tę wyprawę.

W stolicy zapanował niepokój.

VIII.

BITWA POD OSTROŁĘKĄ.

Dnia 12 maja wojska zostały uruchomione...

Generał Umiński z korpusem jedenastotysięcznym otrzymał rozkaz obserwowania głównej armii nieprzyjacielskiej. Miał on zasłaniać stolicę, a w razie marszu Dybica ku gwardjom utrudniać mu pochód.

Skrzynecki wiodł ze sobą 27.000 żołnierzy, a przodem trzema różnymi drogami szli generałowie Giełgud, Łubieński i Dembiński. Przednią straż prowadził gen. Jankowski. Oddział Jankowskiego spotkał w Długosiodle pułk finlandzki, należący do gwardyj. Pułk ten bronił się mężnie i Długosiodło opuścił po krwawym oporze, uchodząc w zupełnym porządku pod zastoną nocą.

Ten opór niekorzystnie wpłynął na naczelnego wodza i odrazu zbudził w nim chwiejność. Zaczął się niepokoić o wynik bitwy, którą szedł stoczyć z gwardjami. Tysiączne wątpliwości, niby chmura ptaków, przesłaniały mu odtąd drogę i wódz zaczął rozmyślać, jakby się tu od niepewnej bitwy wykręcić.

Tymczasem w. książę Michał, otrzymawszy niespodzianie wieść o marszu wojsk polskich, postanowił opuścić Zambrów i przejść natychmiast Bug, aby połączyć się



GENERAŁ SKRZYNECKI

z Dybiczem. Ale wzdłuż Bugu ciągnął generał Łubieński, wobec czego w. księciu nie pozostawało nic innego, jak pozostać w miejscu i przyjąć bitwę lub też oddalić się jeszcze bardziej od Dybicza i cofnąć się do Śniadowa. W. książę wybrał to ostatnie, ale dalsze cofanie się zostało sparaliżowane nadejściem wojsk polskich.

Dnia 18-go obie armje stanęły oko w oko...

22.000 ludzi i 70 armat liczyły gwardje, Skrzynecki przywiódł ze sobą 27-tysięczną armję i dział 80.

Cel został osiągnięty: gwardje, zaskoczone liczniejszą i ożywioną zwycięstwami armją, musiały stawić czoło, bo droga odwrotna, zapchana niezliczoną ilością taborów, uniemożliwiała ruch wsteczny.

Należało korzystać co prędzej z tej sytuacji i bitwę rozpocząć natychmiast. Całe wojsko polskie rwało się do boju. Żołnierzom pilno było zmierzyć się z gwardją, która cieszyła się wielką sławą i uchodziła za najwaleczniejsze wojsko w armji rosyjskiej. Wiedzano przecież, że w gwardji służą bogaci panicze, zniewieściali w wygodach i uciechach stolicy. Wiara drwiła z paradnych mundurów i szeptała sobie na ucho, że to najlepsze wojsko jest takim tylko na paradzie. Więc na widok unieruchomionych gwardyj całą armję ogarnął zapal. Żołnierz, w przekonaniu, iż do bitwy niezwłocznie dojść musi, troskliwie opatrywał broń, mierzyl okiem nieprzyjaciela i, czekając sygnału, stał w pogotowiu bojowym. Ale czas płynął, mijała godzina za godziną, a wódz naczelny trwał w bezczynności. Więc cała armja zaczynała niecierpliwić się i szemrać.

Tymczasem Skrzynecki już poprzedniego dnia wieczorem, gdy wiadomem było, że gwardje się nie wymkną, wiódł żywy spór z Prądzyńskim. Mówił on Prądzyńskiemu, że w bitwę wdawać się nie może, dopóki nie otrzyma wiadomości od gen. Umińskiego o Dybiczu, który mógł przejść Bug i maszerować ku Warszawie lub też śpieszyć na po-

moc w. księciu Michałowi. W odpowiedzi na to Prądyński zrobił uwagę, że jeżeli Dybicz śpieszy gwardjom na pomoc, to tem bardziej z wydaniem bitwy zwlekać nie można, bo lepiej przecie skończyć z jednym nieprzyjacielem, a później zmierzyć się z drugim, niż od razu walczyć na dwa fronty. Tem bardziej zaś nie należy tracić czasu, jeśli stolica jest zagrożona.

Nie potrzeba znać się na wojnie, aby słuszność tych uwag ocenić.

Ale Skrzynecki był uparty i ani myślał słuchać Prądyńskiego. Nie mając na jego wywody odpowiedzi, zaczął się nowych doszukiwać trudności. A więc mówił, że czeka na wiadomość, czy generał Łubieński mosty na Bugu poznał i Nur opanował, to znowu zaniepokoił się o most na Narwi pod Ostrołęką i, osłabiając swe siły, pchnął do Ostrołęki dywizję Giełguda, rozkazując mu zająć most, a następnie ścigać gen. Sackena, który, opuściwszy to miasto, szybko uchodził ze swoim korpusem.

Na drugi dzień, t. j. 18 maja, gdy oba wojska stały naprzeciw siebie, przybył adjutant gen. Umińskiego z wiadomością, że Dybicz, nieświadomy celów wyprawy, stoi pod Siedlcami. Jednocześnie i gen. Łubieński przysłał zaawizowanie, że mosty na Bugu poznane i Nur opanowane.

Prądyński, ucieszony szczęśliwym zbiegiem okoliczności, natychmiast zasiadł do pisania rozkazów na dzień następny, o świcie bowiem bitwę projektował rozpocząć. Przygotowawszy rozkazy, zawiózł je zaraz do kwatery naczelnego wodza, stojącego w Troczynie, oddalonym o dwie mile od armji.

Skrzynecki zwlekał z podpisaniem rozkazów.

— Niema nic pilnego, do jutra odłożyć można, — zdecydował wreszcie i pogrążył się w czytaniu gazety francuskiej, którą właśnie studiował.

Prądyński osłupiał.

— Wojsko jutro wypoczywać będzie, — sucho dorzucił Skrzynecki.

Prądyński zaczął nalegać, a gdy to nie pomagało, uciekł się do prośb i zaklinań na wszystkie świętości. Ale nadaremnie ze łzami w oczach błagał Skrzyneckiego, by korzystał ze szczęśliwego położenia i nie wyrzekał się pewnego triumfu, nadaremnie raz jeszcze powtarzał wszystkie swoje argumenty. Skrzynecki był nieporuszony jak skała i gdy Prądyński głos podniósł, wołając, że innych rozkazów na dzień następny nie wyda, Skrzynecki grubiańsko rozkazał mu zamilknąć. Prądyński wybuchnął, wypalił wodzowi kilka słów prawdy, rzekł się pełnienia dalszych obowiązków kwatermistrza armji, poczem trzasnął drzwiami i opuścił kwaterę. Tegoż dnia porzucił armję i wyjechał do Łomży.

A w. ks. Michał skorzystał tymczasem z beczynności Skrzyneckiego, uprzętnął drogę i dn. 19 maja w oczach wojsk polskich rozpoczął odwrót. Nikt mu nie przeszkadzał. Armja polska, instynktem wiedzona, posunęła się za gwardjami, ale choć żołnierze w najwyższym stopniu byli oburzeni, choć rwali się do boju, musieli patrzeć beczynnie, jak nieprzyjaciół uchodził i pozbawiał ich zwycięstwa.

Skrzynecki na wiadomość o odwrocie gwardji opuścił Troczyn i ruszył do Śniadowa, ale tam już wojsk polskich nie zastał. Żołnierze szydzili później:

— Wódz zgubił armję i szukać jej musiał...

Nareszcie Skrzynecki dopędził swą armję i teraz dopiero zarządził energiczną pogoń. Jakże zmieniło się położenie! Z powodu odkomenderowania Giełguda tylko 17.000 wojska miał ze sobą Skrzynecki i, choć w przeddzień z większą siłą bał się o los bitwy, teraz, gdy istotnie wynik jej stawał się bardzo niepewnym, — zapalał żądzą boju. Ale już było za późno. Gwardje uchodziły bezpie-

czne i tylko tylną straż dogonili Polacy. Pod Rudkami doszło do krwawej utarczki — i pogoń odbywała się dalej. Ale gwardje maszerowały tak szybko, że niebawem przysła wszelka nadzieja stoczenia z nimi bitwy. Skrzynecki zapędził się aż do Tykocina i, wymęczwszy wojska uciążliwym marszem, rozpoczął odwrót. Czas był najwyższy, bo Dybicz teraz posuwał się naprzód i zagrażał rozproszonej armji polskiej.

Podjęte w tym czasie działania wojenne Giełguda i Umińskiego również nie dały pomyślnych wyników i cała wyprawa poszła na marne.

Dnia 25 maja Skrzynecki stanął w Ostrołęce, tutaj spotkał się z Prądzyńskim, który nie mógł utaić swego żalu, ale zgodził się zostać przy armji i wybrać jej leże. Uspokojony tem wódz naczelny opuścił wojsko i, stanawszy kwaterą w Krukach, zaczął się do dłuższego szykować spoczynku. O Dybiczu nie myślał, wystawiał sobie bowiem, że rzeka Narew, płynąca pod Ostrołęką, zabezpiecza go od nieprzyjaciela. Po prawej stronie rzeki rozlokowane zostało wojsko polskie, a o most pod Ostrołęką wódz był spokojny, gdyż lewą stronę Narwi, skąd można się było wojsk rosyjskich spodziewać, zasłaniał gen. Łubieński.

Tymczasem Łubieński, mając przed sobą wszystkie siły Dybicza, cofał się do Ostrołęki, d. 26 maja przeszedł przez miasto i skierował się ku głównej armji polskiej, wtedy właśnie, gdy Skrzynecki urządzał się do dłuższego odpoczynku w Krukach.

W Ostrołęce dla wstrzymywania pochodu wojsk rosyjskich pozostał jedynie generał Bogusławski z czwartym pułkiem piechoty, pułkiem weteranów i jednym bataljonem 8-go pułku.

Dybicz, zbliżywszy się do Ostrołęki, rozkazał bombardować miasto, a potem pchnął do szturm piechotę. Ruszyła najpierw dywizja Nabokowa, generał Gorczakow

poprowadził dwa pułki karabinierów, a generał Martynow wiodł pułk grenadierów oraz pułki astrachański i suworowski. Dwie dywizje stanęły w odwodzie.

Bogusławski, widząc, że nie utrzyma się długo, odesłał za Narew swe działa — i tylko bagnetem zdecydował się bronić. Odparłszy mężnie pierwsze natarcie, odesłał za rzekę i weteranów wraz z bataljonem 8 pułku i jedynie z czwartakami postanawia potykać się dalej. Najtężsi to w armji żołnierze, więc śmiało patrzą śmierci w oczy i z nieustraszonem męstwem przyjmują ataki olbrzymiej masy rosyjskiej. Zalewają ich fale nieprzyjaciół, rażą ogniem, kłują bagnetami, jeden przeciw pięciu walczyć musi, ale męstwo robi swoje — i Rosjanie nie mogą zerwać garstki walecznych. Lecz oto od nieprzyjacielskich granatów zapalają się budowle. Z trzaskiem walą się dachy, snopy iskier ulatują w niebo, tumany dymu i ognia wypełniają ulice. Jednocześnie masy nieprzyjaciół z trzech stron okrażają miasto, dostają się do mostu i wiodą bitwę z uchodzącymi weteranami.

Wówczas Bogusławski nakazuje odwrót...

Przez kurzawę dymu i płomieni cofają się czwartacy, ale nie dają za wygraną, lecz zatrzymują się na załomach ulic, prażą atakujące kolumny celnymi strzałami, odpierają bagnetem i, budząc podziw nieprzyjaciela, zdążają ku mostowi. Lecz zdziwiony nieprzyjaciel korzysta ze swojej liczebnej przewagi, otacza zewsząd garstkę walecznych, ściska ją pierścieniem ognia i żelaza i pierścień ten zacieśnia coraz bardziej. Bagnetem i pięścią trzeba sobie torować drogę, — bagnety i pięści puszczają w ruch czwartacy i po drodze, usłanej trupami, dostają się na most. Garstka ich pozostała, ale była to garstka rozjuszonych lwów. Więc na moście nowa rozpoczyna się walka, jeszcze krwawsza i jeszcze zażartsza. Żołnierze chwytają się za bary, spychają się w rzekę, aż Narew wypełnia się skłębionymi ciałami,

a woda od krwi ludzkiej staje się różową. Nareszcie Bogusławski, acz sam ranny, przerzyna się ze szczątkami pułku przez most i łączy się z wojskiem, śpieszącemu mu na ratunek. To gen. Pac, widząc, co się dzieje, zgromadził trochę piechoty i przyszedł z odsieczą Bogusławskiemu.

Tymczasem wódz naczelny zażywał spoczynku w Krukach i, nie wierząc w nadejście Dybicza, niewiele sobie robił z dochodzących go odgłosów walki. Wreszcie zdecydował się zobaczyć, co to za bitwa się toczy, i w otoczeniu adjutantów wyjechał na wzgórze, skąd jak na dłoni widać było miasto. Ujrawszy liczne wojska, Ostrołękę w płomieniach, most zdobyty, a z obu stron rzeki nieprzyjaciół, obudził się nagle z odrętwienia.

Wojsko również jak wódz zażywało spoczynku, w całej armji nikt nie był przygotowany do bitwy.

Lecz oto na wszystkie strony rozbiegają się adjutanci naczelnego wodza i rozwożą rozkazy. Zagrały trąbki alarmowe, zawarczały bębny—i wojsko, zerwane na równe nogi, zaczęło się formować pośpiesznie.

A Skrzynecki, widząc walkę, toczącą się już na grobli ze stratą Polaków, powziął myśl natychmiastowego odebrania mostu.

— Jedź mi po kawalerję, — krzyknął adjutantowi Kruszewskiemu.

Kruszewski spina ostrogami konia i pędzi wypełnić rozkaz. Po drodze spotyka Prądyński i woła do niego, że Rosjanie most zdobyli i w wielkiej masie idą na drugi brzeg rzeki.

— To dobrze, — odpowiada wesoło Prądyński, — niech ich przejdzie jak najwięcej, wszystkich potopimy w Narwi.

Istotnie nie należało przebyciu rzeki przeszkadzać, Polacy sami w ten sposób mogli wybrać pole bitwy, a nawet, pozostając na miejscu, zyskiwali dobre pozycje i do-

godniejszy teren dla ataków kawalerji, która ze względu na bagnisty brzeg rzeki i wąską groblę nie miała pola do działania, jeśliby walka toczyła się nad rzeką. W dodatku zdobywanie mostu liczne przedstawiało niebezpieczeństwa, a to ze względu na trudny przystęp i górujące pozycje Rosjan z drugiej strony rzeki, skąd artylerja mogła razić ogniem działowym atakujące kolumny i ogniem tym straszne czynić spustoszenia.

Dostrzegł to wszystko Prądyński, ale wódz naczelny zdecydował inaczej.

Jakaś egzaltacja wojenna ogarnęła Skrzyneckiego i rozżarzyła w nim przebudzoną nagle energję. Most za wszelką cenę postanowił odebrać, a na widok nieprzyjaciół, przechodzących wielką masą rzekę, trząsł się z niecierpliwości i w gorączkowem zapamiętaniu wołał:

— Piechota, jazda, artylerja, wszystko naprzód, wszystko w ogień!..

Na wzgórzu, skąd wódz na bitwę patrzył, stała baterja Turskiego i celnymi strzałami raziła nieprzyjaciół. Pozycja była doskonała, ale Skrzynecki, niecierpliwiąc się coraz bardziej, rozkazał Turskiemu podjechać bliżej, a gdy ten uczynił uwagę, że miejsce, na którem stoi, wybrane jest doskonale, Skrzynecki, oburzony, zawołał:

— Pan masz słuchać, a nie uczyć!

Turski usłuchał, przybliżył się do nieprzyjaciela, a po chwili stracił połowę ludzi i koni.

Tymczasem Skrzynecki, nie mogąc doczekać się spełnienia rozkazów, a drżąc z niecierpliwości, sam popędził ku brygadzie Węgierskiego i choć brygada była za słaba, by atak rozpoczynać, sprawił ją w szyk bojowy i osobiście ruszył z nią naprzód. Dał znak. Huknęła salwa karabinowa, poczem brygada posunęła się krokiem szturmowym i, najeżywszy bagnety, dopadła nieprzyjaciół.

— Dierżytiś, riebiata! — wołają oficerowie rosyjscy...

Lecz impet atakujących przemaga — i Moskale nie dotrzymują placu. Most został zdobyty. Ale nie na długo, bo Dybicz nowe siły wprowadza do bitwy, a Polakom nikt nie śpieszy z pomocą. Wtedy dopiero spostrzega się Skrzynecki i posyła adjutantów po dywizję gen. Rybińskiego. Nadciąga nowa dywizja i w największym porządku zbliża się ku mostowi, a piękna brygada gen. Langermana idzie na przdzie.

Tymczasem po drugiej stronie rzeki generałowie Toll, Neuhardt, Suchozanet spokojnie ustawiają liczną artylerję, sami kierują ogniem i gradem kartaczy obsypują nadciągające posiłki. Szeregi rzedną, więc Langerman wstrzymuje brygadę i salwami karabinowemi odpowiada na morderczą kanonadę armat. Wtem podbiega rozplomieniony Skrzynecki i, nie dobywając szpady, czapką, zerwaną z głowy, wskazuje brygadzie most...

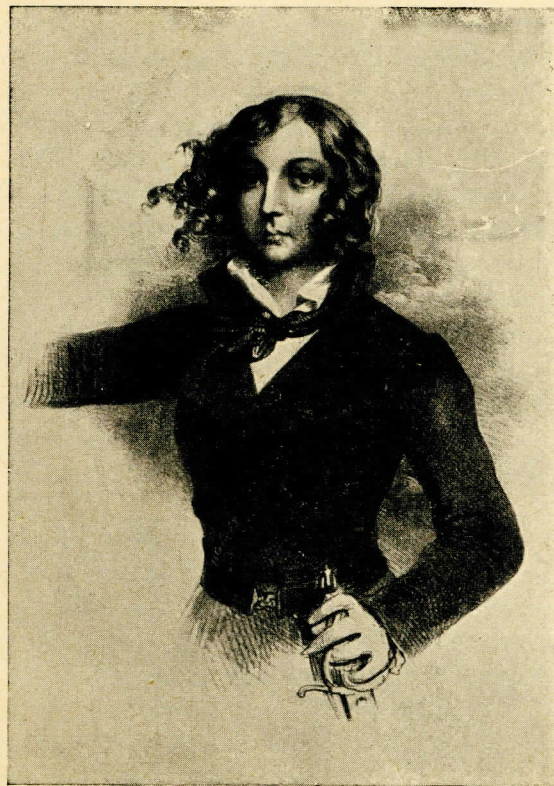
— Na bagnety! Naprzód! — woła i sam staje na czele.

Dywizja, posłuszna wezwaniu, pochyla bagnety i jak jeden mąż rusza do ataku. Za brygadą Langermana podąża brygada Muchowskiego. Nagle Rosjanie, broniący mostu, zwijają kolumny, cofają się za rzekę, przypadają na ziemię, kryją się w rowach — i odsłaniają artylerji swej czyste pole, na którym niby ruchoma ściana posuwa się szturmowym krokiem dywizja. Ryknęły wszystkie armaty nieprzyjacielskie i jak do celu sypnęły w tę ścianę ulewą ognia i ołowiu. Zachwiały się szeregi, setki trupów i rannych legły, nie doszedłszy mostu.

Ale Skrzynecki nie zważa na to, lecz postępuje dalej i woła nieustannie:

— Naprzód! Naprzód!..

Garstka podąża za nim, więc ogląda się za siebie, a dostrzegłszy idącego za nim gen. Langermana, pyta w uniesieniu:



EMILJA PLATER

— Generale! coś zrobił ze swoją brygadą?

Langerman szpadą ukazuje niebo:

— Tam uleciała!...

Istotnie niemal pół brygady legło na placu, reszta rozpierzchła się lub, szukając zasłony od straszego ognia, ukryła się w zaroślach. Garść najmężniejszych pozostała i tę w otchłań śmierci wiedzie Skrzynecki; a jakby mu niedość było tylu ofiar, rozkazuje wystąpić do boju konnicy. Wzmaga się bój zażarty, znowu krew strumieniami się leje i walka bezpardonowa toczy się dalej. Sześć szarż przypuszcza gen. Kicki z trzema pułkami ułanów, lecz ułani grzęzną w bagnach — i wszelkie ich wysiłki idą na marne. Wreszcie Kicki pada, śmiertelnie rażony kulą — i ułani wycofują się z ognia. Ale piechota walczy nieustannie. Wściekł się Skrzynecki. Bataljon za bataljonem, pułk za pułkiem rzuca w krwawą topiel i, sam pierś wystawiwszy na kule, wciąż woła do żołnierzy:

— Tutaj nam zwyciężyć lub zginąć potrzeba. Naprzód!...

— Naprzód! — powtarzają oficerowie.

I żołnierz idzie do szturmów bez zmruczenia oczu, a na grobli i przed groblą tworzą się zwały trupów. Dywizję Kamińskiego rozkazuje przywołać Skrzynecki i z rozpaczą rzuca się z nią na obrońców mostu. Artylerja rosyjska milknie, by nie razić swoich, i tylko okropne jęki rozdzielają niebo. Dwa wojska, niby dwie burze zmieszały się i zwarły ze sobą. Wreszcie szalona walka na bagnety odnosi skutek: pierzchają Moskale i zamieszanie wkrada się w ich szeregi. Jeszcze jedno wysilenie, jeszcze jeden atak nowymi siłami, a Polacy mogą pokusić się o zwycięstwo. Ale wysilenie to jest już niemożliwe, bo Skrzynecki wojsk więcej nie ma, a Dybicz wprowadza na plac bitwy swoje rezerwy — i walka z nową wzmaga się energią. Ginie generał Kamiński, pada ciężko rany i dostaje

się do niewoli mężny gen. Krasicki, rany odnoszą generałowie Małachowski, Pac, Rybiński, trzy czwarte oficerów zabitych lub ranionych zostaje na placu, jeden Skrzynecki, acz i jego mundur poszarpały kule, widoczny jest niby sztandar, skupiający szeregi, a zarazem wskazujący miejsce, gdzie śmierć znaleźć najłatwiej. Ale nadaremne są wszelkie wysiłki naczelnego wodza. Rosjanie wypierają piechotę polską i znowu stają się panami mostu. Czynią więc odwrót resztki wojsk polskich i, cofając się pod gradem kul, tworzą nową linię obronną.

Dzień się kończył, — i oba wojska znużone stanęły naprzeciw siebie, zaprzestawszy walki.

Milkły strzały, mrok gęstniał i bitwa miała się ku końcowi.

Nagle na moście zjawia się Dybicz wraz ze swoim sztabem, a orszak ten poprzedza licznie zgromadzona jazda. Na ten widok Skrzynecki przywołuje pułkownika Bema, rozkazuje mu zbliżyć się do mostu z artylerją i przejście uczynić niepodobnem. Bem puszcza się naprzód galopem, podjeżdża do nieprzyjaciela na strzał karabinowy, w mgnieniu oka ustawia dwanaście dział swoich i morderczy rozpoczyna ogień. Wszystkie baterje rosyjskie odpowiadają Bemowi — i przeciągły łoskot wystrzałów, niby grom za gromem, wstrząsa powietrzem. Ziemia drży od ulewy walącego się na nią żelaza, a że Moskałe obok pocisków armatnich rzucają race i płonące kule, więc morze krwawego ognia oświeśla horyzont i spływa na straszne pobojuwisko, zasłane tysiącami trupów.

Bem traci połowę ludzi i koni, ale swym zuchwałym krokiem wstrzymuje zapęd Dybicza...

Kanonada okropna trwa jeszcze czas jakiś i nagle strzały armatnie jakby na umówiony sygnał z obu stron jednocześnie cichną.

Przerażająca cisza śmierci zaległa plac boju...

Wówczas Skrzynecki zwołał radę wojenną. Zeszli się dowódcy dywizji i brygad, wszyscy okryci kurzem, zbryzgani krwią, upadający od trudów i znużenia. Rada odbywała się w polu, przy blasku kagańca, wśród jęków tysięcznych ofiar, przy odgłosie rżenia konających. Wszystkie oblicza były posępne, jako ta noc, co otaczała radzących. Jeden Skrzynecki płonął jeszcze ogniem, który ogarnął go na placu bitwy, ale był to już ostatni błysk zbudzonej energii i męstwa. Chciał zatrzymać się na miejscu i w pozycji odpornej czekać na przybycie odkomenderowanej w swoim czasie 11-tysięcznej dywizji Giełguda. Jakoż istotnie nic lepszego nie było do zrobienia, bo odwrót z wojskiem znużonem i zdeorganizowanem łatwo mógł się w ostateczną zamienić klęskę. Ale gdy zgromadzeni na radzie generałowie orzekli, iż dalsza walka jest niemożliwą, — w Skrzyneckim zgasła ostatnia iskra energii. W jednej chwili zdecydował się na odwrót. Należało jednak postanowić coś względem Giełguda, który tegoż dnia otrzymał był rozkaz złączenia się z główną armją, a którego odwołaniem narażano na zgubę. Wówczas generał Dembiński zaproponował, aby dywizję Giełguda rzucić na Litwę i powstaniu, które tam wybuchło, nadać poważniejszy charakter. A że dotarcie do Giełguda było przedsięwzięciem niebezpiecznem, więc Dembiński sam podjął się zawiezienia odpowiednich rozkazów.

Myśl Dembińskiego jednogłośnie przyjęto.

Skrzynecki przy świetle księżyca nakreślił kilka słów do Giełguda, poczem dowództwo nad armją powierzył generałowi Łubieńskiemu, a sam wsiadł do powozu i odjechał do Warszawy.

Na drugi dzień armja polska, zmniejszona krwawą bitwą o 9.000 żołnierza, rozpoczęła ruch wsteczny ku Warszawie.

Dybicz, osłabiony stratami, które prawie dorównywały stratom armji polskiej, stał jak wryty pod Ostrołęką i, pomny na straszne ataki Polaków w dniu ubiegłym, nie śmiał ścigać uchodzącej armji...

IX.

WYPRAWY NA RUŚ I LITWĘ.

Gdy tak na terenie Królestwa ze zmiennem szczęściem toczyła się walka, Ruś i Litwa czekały tylko sygnału, aby połączyć się z powstaniem...

Organizacja miejscowych oddziałów partyzanckich nie mogła się w krajach tych rozwinąć, bo władze rosyjskie bacznie zwracały uwagę na wszelkie poruszenia. W dodatku obywatele Litwy i Rusi wstrzymywani byli przez niepewność. Kilka miesięcy upłynęło od pamiętnej nocy listopadowej, a wojska polskie nie przychodziły z pomocą.

Czas uciekał, nie przynosząc poważniejszych wypadków.

Wreszcie na wniosek Prądyńskiego Rząd Narodowy zdecydował się wysłać na Ruś oddział wojsk polskich pod zdolnym i wytrawnym dowódcą, któryby w imieniu rządu polskiego zaważwał ludność do broni i na szerszą skalę zorganizował powstanie.

Wybór padł na Dwernickiego.

Ten dzielny generał po zwycięstwie pod Stoczkiem otrzymał rozkaz działania przeciw korpusowi rosyjskiemu pod dowództwem Kreutza. Korpus ten dnia 8-go lutego

zajął Lublin, stamtąd pociągnął do Puław, przeszedł Wisłę po łodzi, a następnie ruszył w województwo sandomierskie i zaczął je pustoszyć. Dwernicki napadł na Kreutza pod Nową Wsią, zabrał mu trzy działa i paręset niewolnika. Ale ze zwycięstwa korzystać nie mógł, bo podobnie jak po bitwie pod Stoczkiem znów został odwołany. Powodem tego odwołania był mylny raport, przysłany do Warszawy generałowi Klickiemu. Dwernicki spostrzegł się wprawdzie, ale było już po niewczasie, bo Kreutz, korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, uchodził, co mu sił starczyło...

Dwernicki rozpoczął pogoń. Przechodząc przez Puławę, siedzibę książąt Czartoryskich, wypłoszył stamtąd wojska rosyjskie, pod Kurowem poszarpał znaczny oddział generała Kawera, wziął do niewoli kilkudziesięciu żołnierzy, zdobył znów cztery armaty i, opromieniony blaskiem nowych zwycięstw, wkroczył triumfalnie do Lublina. Wypędziwszy stamtąd władze rosyjskie, pociągnął do Zamościa. Odwilż i niewyjaśnione poruszenia wojsk nieprzyjacielskich wstrzymały na pewien czas pochód zwycięskiego generała.

Korpus Dwernickiego, składający się z 6.000 ludzi, ożywiony był duchem jak najlepszym. W korpusie tym znajdowało się sporo członków Towarzystwa Patriotycznego i rewolucyjnej młodzieży, sam zaś dowódca, z przekonania demokracja i przyjaciel ludu, umiał swe wojsko natchnąć braterską harmonją i ufnością. Temperament Dwernickiego odpowiadał duchowi powstania, a wesole i pogodne usposobienie jednało mu serca. To też żołnierze lubili swego generała, szli za nim w ogień z zapalem, walczyli po bohatersku. Taki wódz i tacy żołnierze wiele mogli dokonać.

Dnia 11 kwietnia Dwernicki przeszedł Bug i tegoż dnia natrafił na gromadę włościan miejscowych, prowadzo-

nych w dybach i kajdanach. Byli to rekruci, przeznaczeni do wojska rosyjskiego. Dwernicki kazał swym żołnierzom rozkuć kajdany, poczem w te słowa przemówił do uwolnionych:

— Wolność, którą odbieracie, jest dziełem żołnierzy polskich, których przed sobą widzicie; oni ją wam przynoszą; powitajcie ich...

Nastąpiła scena zbliżenia się włościan Rusinów z żołnierzami polskimi — i Dwernicki ruszył w dalszą drogę. Szczęście mu sprzyjało, bo tegoż dnia jeszcze rozbił słynny w armji rosyjskiej kargopolski pułk dragonów, zabrał 150 niewolnika, 200 karabinków, liczne bagaże oraz trzysta fur, napełnionych żywnością.

Przybywszy do Porycka, Dwernicki proklamacją wezwał do walki obywateli wołyńskich. Zaczęli niebawem skupiać się wkoło niego, przyprowadzać mu uzbrojonych ludzi i zapewniać, że wyteżą wszystkie siły, by powstanie ożywić. Niektórzy z nich, jak Tyszkiewicz, Czacki, Stecki i Tarnowski, zobowiązali się wystawić własnym kosztem po jednym pułku, byle tylko czas na to pozwolił. Ale, niestety, czasu tego nie było. Na Wołyniu obozował generał Rüdiger, mający 12.000 wojska, a więc dwa razy tyle, ile go posiadał Dwernicki.

Rüdiger szedł ku Dwernickiemu — i starcie stawało się nieuniknionem...

Dnia 19 kwietnia pod Boremlem spotkały się oba wojska.

Bitwę rozpoczął ogień artylerji, ogień bardzo nierówny, bo Rosjanie trzy razy tyle dział posiadali. Ale Dwernicki wiedział, jak zdobywać armaty. Nie tracąc czasu, rzucił się z czterema szwadronami na baterję rosyjską, w mgnieniu oka rozbił dragonów, którzy mu zastąpili drogę, zagarnął 8 armat i przełamał drugą linję jazdy. Rüdiger, który uchodził za znakomitego generała kawalerji, dzielny

stawiał opór, ale choć siły miał znacznie liczniejsze, niczego dokonać nie mógł.

Jazda polska, składając dowody najwyższego męstwa i zręczności, odparła z kolei wszystkie szarże nieprzyjacielskie i osadziła Rüdigera na miejscu...

Pięć godzin trwała ta uporczywa, a wysoce zaszczytna dla oręża polskiego bitwa. Dopiero burza z ulewą i gradem kres położyła walce...

Czas jakiś z obu stron jeszcze grzmiały armaty i łączyły swe potężne głosy ze świstem wichru i hukiem piorunów. Zwolna ucichało wszystko. Przed samym zachodem przetarły się chmury i krwawe słońce wyjrzało na chwilę. Wtedy przed frontem wojsk polskich, stojących na obojowisku, ukazał się Dwernicki. Generał dziękował żołnierzom za dokładne wykonanie rozkazów.

— Niech żyje Dwernicki! — wołało wojsko...

— Niech żyje ojczyzna! — odpowiadał Dwernicki i chciał dłużej przemawiać, ale entuzjastyczne okrzyki głużyły jego słowa. Serdeczne uniesienie i ufność wzajemna przeniknęła zarówno szeregi, jak wodza. Trębacze zagrali pieśń narodową. Rozgłośna i dźwięczna huknęła w niebo, rozlała się po przestworzach. A o strzał działowy stał nieprzyjaciel i w milczeniu słuchał dźwięków pieśni i nieruchomo przyglądał się niezwykle na pobojuwisku uroczystości...

Niestety, był to ostatni piękny dzień Dwernickiego...

Bitwa pod Boremlem, jak zresztą cała dotychczasowa działalność tego generała, wykazała jego wielkie przymioty wojenne. Wszyscy wojskowi, zarówno polscy jak rosyjscy, przyznają mu niepospolite zdolności, przepyszną znajomość sztuki wojennej, zręczność, odwagę i męstwo. Jednakże wyprawa na Ruś bez dalszych posiłków nie miała wielkich szans powodzenia. Dwernicki, wkroczywszy na Wołyń, liczył na powstanie, ogarniające i Wołyń, i Podole, a po-

wstanie liczyło na Dwernickiego. Tymczasem Rüdiger, znacznie silniejszy, niż Dwernicki i powstańcy, wszelkie szanse zwycięstwa miał po swojej stronie...

Jakoż dowódca polski po bitwie pod Boremlem w trudnem znalazł się położeniu. Szeregi były przerzedzone, amunicja na wyczerpaniu, a przed frontem i na tyłach stał liczny nieprzyjaciel. Dwernicki postanowił przenieść walkę na Podole i oprzeć się o granicę Galicji, licząc, że ta prowincja dostarczy mu potrzebnych zasiłków. Więc gdy noc ciemna zapadła, w największej cichości zwinął obóz i ruszył w stronę Beresteczka. Na drugi dzień przeprawił się przez Styr, ale zaledwie Polacy znaleźli się po drugiej stronie rzeki, już ujrzeli przednie straże Rosjan. Odtąd Rüdiger jak cień szedł za wojskiem polskim. Dwernicki, idąc ciągle tuż nad granicą, oparł się o wieś Lulińce i w niej zaobozował. Miał wszystkiego 4.000 żołnierzy, pozbawionych środków potrzebnych do walki, a Rüdiger otaczał go 12-tysięczną armją i liczną artylerją. Siły pod każdym względem były nierówne i walka żadnego nie rokowała powodzenia. Wówczas Dwernicki, osaczony ze wszech stron, zdecydował się na krok rozpaczliwy i, przeszedłszy granicę, wkroczył z całym korpusem na terytorjum Galicji.

1-go maja złożył broń wobec władz austriackich i tym haniebnym aktem zakończył swój świetny zawód wojenny.

Tak więc wyprawa Dwernickiego zakończyła się klęską, i to klęską podwójną...

Powstanie, pozbawione oparcia, musiało upaść i teren walki znowu zacieśnił się do Królestwa. Poza tem krok Dwernickiego był jeszcze niepowetowaną krzywdą moralną. Po raz pierwszy od wybuchu powstania honor wojsk polskich został splamiony przez poniżające złożenie broni. Czyn ten kompromitował powstanie w oczach Europy, a dowódcom polskim dawał przykład okropny. Wprawdzie

położenie Dwernickiego było bardzo trudne, ale, jak twierdzi Prądzyński, przy męstwie swoich żołnierzy śmiało mógł próbować przebić się przez nieprzyjaciół. Choćby miał w tej rozprawie utracić połowę wojsk i wszystkie armaty, strata taka nie mogłaby się równać z owym okropnym wrażeniem i z ową krzywdą moralną, jaką stał się pierwszy w dziejach powstania przykład haniebnego złożenia broni.

Skrzynecki, wiedząc z raportów Dwernickiego o jego trudnym położeniu, postanowił przyjść mu z pomocą. W tym celu wysłał sześciotysięczny korpus pod generałem Chrzanowskim, który dotarł aż do Zamościa, lecz dalej się nie posunął, bo ratunek był już niemożliwy: Dwernicki przed nadejściem pomocy broń złożył...

Jednakże mimo te niepowodzenia powstanie na Podolu wybuchło. W początkach maja we wsi Krasnosiółce nad Bohem obywatele, co przystąpili do spisku, a między nimi hr. Rzewuski, bracia Jełowiccy i Sobańscy, zebrali swoje oddziały i utworzyli siłę, dochodzącą do 1.000 jazdy i 200 piechoty. Dowódcą naczelnym wybrany został Kołysko, stary wojak kościuszkowski, na szefa sztabu powołano majora Orlikowskiego. Oddział ten ruszył do Granowa, majątności książąt Czartoryskich, dokąd ciągnęły oddziały powstańcze, prowadzone przez Potockiego, Zapolskiego i innych. Połączone siły urosły do 3.000 ludzi. 14 maja pod wsią Gródkiem powstańcy zostali zaatakowani przez generała Rotha. Doszło do krwawej i uporczywej bitwy. Powstańcy bronili się mężnie, odparci kilkakrotnie, po kilkakroć z rozpaczą ponawiali ataki, wkońcu jednak, zachowując zupełny porządek, cofnęli się do Daszowa. W bitwie, która się wznowiła pod tem miasteczkiem, Polacy stracili swoją artylerję, kasę, kilkuset rannych i jeńców. Roth wszedł do miasteczka, bronionego przez stu kilkudziesięciu ludzi. „Z rozpaczliwem męstwem, — pisze historyk ro-

syjski Puzyrewski,—ta nieliczna garstka rzucała się wprost na działa rosyjskie i, nie zważając na niebezpieczeństwo, zawiązywała uporczywą walkę. Zaatakowani z czoła, z tyłu i z boków, Polacy walczyli z nadzwyczajnem męstwem, a z pomiędzy tych bohaterów szczególniejszą odwagą wyróżnili się bracia Sobańscy, Jełowiccy, 70-letni Borzęcki i wielu innych“. Oczywiście, ta garstka walecznych nie mogła powstrzymać kilku pułków Rotha.

Więc, usławszy ziemię trupami, cofnęła się, znacznie uszczuplona, i stanęła w Lińcach, dokąd się schronił Kołysko. Wkrótce potem powstańcy napadli pod Obodnem na oddział generała Szuckiego, złożony z dwu szwadronów, i zabrali mu artylerję, wzięli do niewoli kilkudziesięciu żołnierzy, a resztę położyli trupem. W kilka dni później zaobozowali pod Majdankiem. Otoczeni tutaj przez przemagające siły, ponieśli ostateczną porażkę. Na placu zostali najodważniejsi, a między nimi major Orlikowski, który, nie mogąc przeżyć klęski, wystrzałem z pistoletu pozbawił się życia.

Kołysko z ocalałymi resztkami połączył się wkrótce z powstańcami, którzy broń podnieśli w powiecie latyczowskim, ale demoralizacja, ogarniająca szeregi po doznanych klęskach, nie pozwoliła już na wznowienie działań. Połączone oddziały ruszyły do Satanowa i za przykładem Dwernickiego przekroczyły granicę i broń złożyły wobec wojsk austriackich.

I na Wołyniu nie powiodło się powstańcom.

Jedynie dymisjonowany kapitan wojsk polskich, Karol Różycki, obdarzony wielkimi zdolnościami wojennymi, odniósł znaczniejsze powodzenia. Zgromadziwszy w okolicach Żytomierza stu kilkudziesięciu ludzi, wyćwiczył ich, należycie, zaopatrzył we wszelkie potrzeby i siłą tą postanowił wesprzeć Kołyskę. W tym celu skierował się na Podole, ale otrzymawszy wiadomość, że Kołysko broń zło-

żył, — zmienił zamiar i postanowił przedrzeć się do Królestwa. Wzmocniony po drodze przez oddział powstańców, przyprowadzony przez Worcella, rozpoczął marsz. Czyniąc zwodnicze obroty i nieustannie wprowadzając w błąd dowódców rosyjskich, Różycki, jak wilk, przemykał się przez pola i ostępy leśne. Czujny i ostrożny, przystawał czasem i szarpał nieprzyjaciela po drodze. Zwiódłszy kilka świetnych utarczek, z tych najgłośniejsze pod Krasnopolem i Uchaniem, dotarł szczęśliwie do Zamościa, gdzie połączył się z wojskiem polskim.

Dokonał w ten sposób świetnego czynu pod względem wojennym, ale jako partyzant dzielny i odważny mógł większe oddać usługi, pozostając na Wołyniu i jednocząc pod swemi sztandarami rozproszonych, a szukających oparcia powstańców.

Z chwilą opuszczenia przezeń Wołynia — Ruś dla powstania polskiego przepadła...

Nie lepiej powiodła się wyprawa na Litwę...

Wybuch listopadowy wywołał w całej Litwie ogromne wrażenie. Wieści z Warszawy przyjmowano z nadzwyczajnem wzruszeniem i czekano tylko ukazania się wojsk polskich, aby porwać się do broni. Głowy płonęły, umysły były wzburzone. Młodzież wileńska natychmiast chciała rozpocząć powstanie, ale starsi obywatele zwicznęli te usiłowania, przekonawszy niecierpliwych, iż należy czekać na rozkazy z Warszawy. Czekano jednak nadaremnie, bo Chłopicki ani myślał o Litwie. Czas drogi upływał w bezczynności. Tylko rząd rosyjski czuwał. Mianowawszy nowego generał-gubernatora Chrapowickiego, polecił mu stosować środki najostrejsze, byle tylko do powstania na Litwie nie dopuścić. Chrapowicki, człowiek srogi, a nawet okrutny, znalazł dzielnego pomocnika w Nowosilcowie, który przed rewolucją uciekł z Królestwa i przybył do Wilna. Rozpoczęło się uśmierzanie kraju, a rozpoczęło się od tego,

iż zaaresztowano wybitniejszych a znanych z patriotyzmu obywateli i wywieziono w głąb Rosji. Ogłoszono w całej Litwie stan wojenny i karę śmierci wyznaczono za najmniejszy opór władzy. Nowosilcow zajął się młodzieżą i przepelnił nią liczne więzienia. Przy pomocy szpiega i prowokatora Kudrewicza odkrył wkrótce spisek. Sześć głów młodzieńczych, marzących o powstaniu, spadło. Ciężko dyszała Litwa pod srogą ręką Chrapowickiego.

Mimo to wzburzenie nie ustawało. W Wilnie, tuż pod bokiem władz rosyjskich, utworzony został główny komitet, mający kierować powstaniem. Komitet ten, czekający wkroczenia wojsk polskich, zwlekał nieustannie z wyznaczeniem terminu, wogóle zaś działał powolnie i niedołąźnie. Ale po wsiach gromadzono broń, amunicję i szykowano się do walki.

Pierwsza poruszyła się Żmudź, a przykład dali włościanie powiatu telszewskiego.

Uprzedzając termin poboru rekruta do wojska rosyjskiego, powstałi oni jeszcze w lutym, utworzywszy oddział zbrojny pod dowództwem włościanina Giedryma i niejakiego Borysewicza. Napadnięci przez Moskali, cofali się w porządku cztery mile i weszli do Prus. Lecz przykład był dany.

W miesiąc potem, d. 17 marca, zebrali się obywatele żmudzcy we wsi Cytowianach u obywatela Preciszewskiego i tam, nie czekając zezwolenia komitetu wileńskiego, uchwalili powstać. Uroczyście spisano tę uchwałę i przystąpiono do dzieła. Powstańcy zaatakowali najpierw Rosienie, a że miasta tego broniła nieznaczna załoga, więc wzięli je łatwo, po Rosieniach zdobyli Telsze, a następnie Szawle...

Od tej pory ruch przybierał coraz szersze rozmiary. Chrapowicki zniszczeniem i śmiercią starał się uspokoić Litwę. Szlachcica, schwytanego z bronią w ręku, bez

sądu rozstrzeliwano, włościan, co połączyli się z ruchem, zabijano różgami. Pułkownik Werzelin, przeznaczony do stłumienia powstania w powiecie oszmiańskim, zbliżył się do Oszmiany, i, ogniem armatnim wzniciwszy pożar, rzucił swe wojska na nieszczęsne miasto. Żołnierze, którym dozwolono rabunku, zrabowali kościoły, splondrowali domy, wyrznęli mnóstwo kobiet, starców, dzieci. Nieszczęsna Oszmiana spłynęła krwią, pozostały po niej popioły i zgłiszczu, pełne ciał pomordowanych mieszkańców.

Ale ten straszny przykład nie odstraszył nikogo...

Za Żmudzią powstała reszta kraju. Bory i puszcze litewskie zapełniły się wnet licznymi oddziałami powstańców, ruch tłumiony wybuchł nagle i szerzył się jak pożar...

W Mińszczyźnie pułkownik Radziszewski zgromadził zgórą 3.000 ludzi i trzymał się w niedostępnej pozycji wśród bagien i lasów. W okolicach Wilna komendę nad połączonymi oddziałami powierzono Karolowi Załuskiemu, na Żmudzi zastąpił partyzant Jacewicz. Powstańcy walczyli ze zmiennym szczęściem, gdy jednak Chrapowicki otrzymał posiłki, ruch zbrojny zaczął się zmniejszać.

Nagle po całej Litwie gruchnęła wieść, że wojska polskie ciągną powstańcom na pomoc. Nowy duch wstąpił w serca, wszystko żywiej zaczęło się ruszać i podnosić głowę.

Wieść była prawdziwa. Na Litwę szedł Chłapowski, szedł z wyborowym oddziałem, złożonym z 800 ludzi, wśród których było stu instruktorów, przeznaczonych dla zorganizowania i wyćwiczenia oddziałów powstańczych.

Skorzystawszy z odwrotu gwardyj, co otwierało mu drogę, Chłapowski posunął się naprzód i d. 22 maja stanął na ziemi litewskiej. Był to sprężysty i energiczny generał. Wyćwiczony w szkole Napoleona, znał się doskonale na wojnie, zdanie miał wyrobione, sąd wytrawny, ambicję wielką. W postawie i zachowaniu się jego było coś im-

ponującego, coś, co nakazywało szacunek i odstraszało zarazem. Zimnem wiało od tego pysznego generała. Chłapowski chciał odegrać wielką rolę, niestety, przy wszystkich swoich zaletach nie miał dość hartu, by oprzeć się fatalnym wypadkom i nie ulec nieszczęściu.

Pierwsze kroki tego generała uwieńczyło powodzenie. Doszedłszy do Bielska, napadł niespodzianie na stojący tam garnizon wojsk rosyjskich, zabrał do niewoli 500 żołnierzy i zdobył 1.000 sztuk różnej broni. Później zwrócił się ku puszczy białowieskiej, rozbił zagradzającego mu drogę generała Lindena, a następnie, połączwszy się z partyzantami: Tyszkiewiczem, Krasowskim i Ronkem, pomaszerował na Lidę i, wypędziwszy stamtąd wojska rosyjskie, posunął się ku Trokom.

Sława Chłapowskiego szeroko rozbrzmiała po Litwie. Ze wszystkich stron śpieszyły ku niemu oddziały partyzanckie, a wszędzie witano go z entuzjazmem. Łączeniu się powstańców litewskich z wojskiem polskim często towarzyszyły sceny, które jeszcze po wielu latach uczestnicy tych wydarzeń z największym wspominali wzruszeniem. Szczególniej pamiętnem było spotkanie się wojska regularnego z oddziałem partyzanckim w Gabryelowie. W oddziale tym pełniła służbę w szeregach głośna już na Litwie Emilja Platerówna. Żołnierze polscy powitali ją z ogromnem uniesieniem. Nawet zimny Chłapowski nie mógł się oprzeć wzruszeniu, które ogarnęło żołnierzy. Nie chciał jednakże mieć w szeregach swoich kobiety. Radził więc, aby wróciła do domu. Ale Platerówna odparła, że postanowiła walczyć dopóty, dopóki Polska nie odzyska niepodległości *). Chłapowski mianował ją dowódcą pierwszej kompanii pierwszego pułku litewskiego.

*) Emilja Platerówna należała do czynnych organizatorek powstania w powiecie wilkomierskim. Zaciągnawszy się do szeregów,

Siły Chłapowskiego, wzmocnione oddziałami partyzantów, wzrosły niebawem do 5.000 ludzi.

Tymczasem i Giełgud, stosownie do rozkazu, otrzymanego po fatalnej bitwie ostrołęckiej, ruszył ze swoją dywizją ku granicom Litwy. Pochód otwierał generał Dembiński, prowadzący ze sobą 3.000 ludzi. W Rajgrodzie wojska polskie stoczyły zwycięską bitwę z generałem Sackenem, który w tej rozprawie stracił 2.000 żołnierzy w zabitych i rannych, a mógł być całkowicie rozбитy, gdyby nie niedołęstwo Giełguda.

Wojska polskie wszędzie witano z entuzjazmem, a w oddawaniu usług i okazywaniu im życzliwości szczególnie odznaczyli się włościanie. „Każdy kmiotek, — powiada jeden z pamiętnikarzy, — chętnie dzielił się ostatnim kęsem chleba, bez żadnej nagrody; gdzie tylko przechodził oddział polski, wszędzie znajdował na końcu wioski rzędem stojące niewiasty i dzieci z napojem i posiłkiem dla strudzonych. Jeszcze armaty grzmiały po bitwach... a już na pobojoisku włościanki z okolicy opatrywały rannych i krzepiły ich mleczym“...

Giełguda przyjmowała Litwa, jak wybawcę i oswobodziciela.

Upajał się on wywieraniem wrażenia i rządził, jak król. Przybywszy do Kiejdan, ustanowił rząd centralny

brała czynny udział w nieudanej wyprawie na Dynaburg, potem walczyła pod komendą Załuskiego, później jeszcze w oddziale, którym dowodził śmiały partyzant Parczewski. Gdy Chłapowski przechodził później granicę pruską, Platerówna w gorących słowach miała mu wypowiedzieć swoją pogardę. Nie chcąc składać broni, opuściła oddział Chłapowskiego i wśród największych niebezpieczeństw przedzierała się do pozostałego na Litwie wojska polskiego. W drodze zachorowała i nie miała już powrócić do zdrowia. Ukrywała się na Litwie w jednym z dworów szlacheckich pod nazwiskiem Korowińskiej. Umarła w grudniu 1831 roku.

dla Litwy i Żmudzi, a prezesem tego rządu zamianował senatora i generała Tyszkiewicza...

Siły powstańcze przy odrobinie dobrej woli i energii łatwo można było podnieść do 25.000 ludzi, a z armją taką wiele można było dokonać.

Ale generał, Giełgud był drugim wydaniem Skrzyneckiego, jednakże bez determinacji naczelnego wodza na polu bitwy. Opieszały, leniwy, niezdecydowany, trawił drogi czas na ucztach, biesiadach, ciesząc się własną władzą i owacjami, jakie mu urządzano. Niebawem zjawił się w Kiejdanach generał Chłapowski, a jako niższy rangą stanął pod rozkazami Giełguda. Chłapowski przywiózł ze sobą projekt zdobycia Wilna, co było rzeczą możliwą, gdyż stolicę Litwy zajmowało zaledwie 6.000 Moskali. Giełgud, rozumiejąc, że trzeba coś przedsięwziąć, projekt zaakceptował, ale miast wydać natychmiast wojsku rozkazy, zwlekał pod różnemi pozorami i trwał w beczynności. Wszystko szło jak najgorzej. Pułkownik Szymanowski, wysłany na Żmudź dla poparcia tam powstania, doznał porażki pod Szawlami, które usiłował zdobyć, a wieść o tej porażce rozniosła się szybko i wszędzie wywarła wrażenie fatalne.

Tymczasem Rosjanie, korzystając z beczynności Giełguda, skoncentrowali w okolicach Wilna 24.000 wojska i 72 działa. Wtedy dopiero Giełgud zdecydował się projekt Chłapowskiego wykonać. Połączywszy wojska regularne z oddziałami powstańczymi, można było zebrać 20.000 wojska i z armją tą próbować szczęścia. Stało się inaczej. Nieudolny Giełgud rozproszył swe siły i z 6.000 regularnych żołnierzy oraz 1.200 powstańców partyzanta Zaliwskiego zamierzył zdobyć Wilno, bronione przez czterykroć liczniejsze wojska na dobrych pozycjach, umocnionych w dodatku silną artylerją.

To szaleństwo dowódcy krwawą zakończyło się klęską. Dnia 19 czerwca na wzgórzach Ponarskich, okalających stolicę Litwy, doszło do bitwy.

Wojsko polskie, straciwszy 2.000 ludzi, cofnęło się zdemoralizowane i oburzone najwyższym niedołęstwem wodza.

Odwrót odbywał się nieporządnie i zakończył się nową klęską pod Szawlami, które po raz drugi nadaremnie usiłowano opanować.

Dnia 9 lipca po naradzie wojennej w Kurszanach, naradzie długiej i burzliwej, Giełgud zdecydował się rozdzielić armję na trzy kolumny, któreby wspierały się wzajem, lecz na własną działały rękę. Dowództwo objęli generałowie Chłapowski, Roland i Dembiński.

Stosownie do przyjętego planu Chłapowski, do którego przyłączył się Giełgud, miał maszerować ku Kownu, Roland zwrócić się ku Połędzie, a Dembiński wkroczyć do Kurlandji. Plan ten nie został wykonany. Oddział Chłapowskiego, zamiast posuwać się w oznaczonym kierunku, stanął nad granicą pruską z wyraźną intencją przekroczenia granicy i złożenia broni wobec władz pruskich.

Ta myśl haniebną do tego stopnia opanowała Giełguda i Chłapowskiego, że o niczem więcej nie myśleli. I Roland, naciskany przez znaczne siły nieprzyjacielskie, również zmienił marszrutę, ale po to, by połączyć się z Chłapowskim i wspólnymi siłami stawiać czoło Rosjanom. Trzynastego lipca kolumny Rolanda dosięgły granicy i z przerażeniem ujrzaly oddział Chłapowskiego, wkraczający na terytorjum Prus.

Widok ten podziałał na wojsko piorunująco. Dreszcz oburzenia przeszedł szeregi.

— Zdrada! zdrada! — zaczęli krzyczeć żołnierze.

Giełgud stał już po stronie pruskiej i otoczony licznym sztabem rozmawiał z oficerami pruskimi. Młody oficer,

Kazimierz Skulski, będący w szeregach Rolanda, zapłonął na ten widok straszny i łatwy do wytłumaczenia gniewem. Nic nie mówiąc, spał ostrogami konia i w pełnym galopie podjechał do Giełguda.

— Bracia, tak giną zdrajcy ojczyzny! — zawołał nagle i wymierzył z pistoletu. Huknął strzał — i Giełgud runął martwy na ziemię.

Wojsko stało oszołomione, cichość zaległa szeregi. Skulski wśród powszechnego osłupienia oddalił się z wolna i w oczach całej armji uszedł przez nikogo niezatrzymany.

Dopiero po chwili żołnierze podnieśli straszną wrzawę. Okrzyk: „zdrada!“ znów przeszył powietrze i największe zamieszanie zapanowało w armji. Żołnierze rzucali broń, to przechodzili z powrotem granicę, to znowu rozpierzchali się na wszystkie strony. Demoralizacja ogarnęła wszystkich. Roland, żołnierz waleczny, ale bez charakteru i wyższych zdolności, odstąpił od granicy i dalej walczyć postanowił, ale w postanowieniu nie wytrwał. W dwa dni później, otoczony z trzech stron przez generałów Kreutza, Sackena i Schirmana, zwołał radę wojenną i, stosownie do uchwały, która na tej radzie zapadła, poszedł za przykładem Chłapowskiego i dnia 15 lipca przekroczył fatalną granicę...

W ten sposób 8.000 doskonałych żołnierzy, a w tej liczbie 400 oficerów, zostało straconych dla sprawy powstania.

Oreż polski znów dotknęła hańba.

Na Litwie pozostał Dembiński.

Oddział jego liczył 3.500 żołnierzy i 4 działa. Oddział ten, pozbawiony żywności, amunicji, pieniędzy, a nadto zarażony demoralizacją, szerzoną przez Giełguda, smutny przedstawiał widok. Lecz Dembiński ani myślał wstępować w ślady Rolanda i Chłapowskiego. Wobec tego dwie drogi miał przed sobą: walczyć dalej na Litwie, lub wracać do Królestwa.

Pozostając na Litwie, nie mógł myśleć o prowadzeniu wojny regularnej, bo na to był za słaby. Ale podtrzymać partyzantkę i podsycać ogień powstańczy nie było zadaniem trudnem. Przy swojej energii, zdolnościach i odwadze miał nawet Dembiński piękne do popisu pole. O wiele więcej niebezpieczeństw przedstawiał powrót do Królestwa. Wojska rosyjskie, po wyparciu Chłapowskiego i Rolanda, wszystkie swe siły mogły zwrócić przeciw Dembińskiemu. Chcąc dostać się do Królestwa, trzeba było przebić się przez te siły, należało w obliczu nieprzyjaciela przechodzić rzeki, przedzierać się przez puszcze, bory i bagna, zdobywać żywność i amunicję, słowem, dokonać rzeczy niezwykle trudnej, prawie niemożliwej.

Nie uląkł się tego wszystkiego Dembiński i słynny swój marsz niebawem rozpoczął.

Decyzja Dembińskiego, wielce dla niego zaszczytna, miała, niestety, bardzo niekorzystne następstwa. Był on ostatnią tarczą powstania na Litwie, które odtąd, pozostawione samo sobie, a wyczerpane walką i klęskami, nie mogło stawić czoła nieprzyjacielowi. Wojska rosyjskie, dokonawszy uśmierzenia Litwy, wtargnęły do Królestwa i powiększyły walczącą tam armję.

W ten sposób wyprawy na Ruś i Litwę, zakończone złożeniem broni, nic nie przyniosły powstaniu, prócz klęski, i to klęski haniebniej...

X.

SKRZYNECKI I DEMBIŃSKI.

I na głównym teatrze wojny wszystko szło jak najgorzej...

Skrzynecki, powróciwszy do Warszawy po fatalnej bitwie ostrołęckiej, na nic zdecydować się nie chciał. Lecz on nieustannie na pomoc Europy, to projektował układy z Dybiczem, to znowu wiele nadziei przywiązywał do działania Giełguda, spodziewając się, że główna armja rosyjska, zagrożona na tyłach przez powstanie litewskie, sama Królestwo opuści. Było to możliwe, ale pod warunkiem, że Giełgud ziści pokładane w nim nadzieje. Stało się inaczej — i Skrzynecki, myślący o tem, jakby zwyciężyć bez bitwy, na nic zdecydować się nie mógł. Powstanie skutkiem niedołęstwa zwierzchniej komendy chyliło się do upadku.

Widział to Rząd Narodowy, ale sam niedołężny, sam przyczyniający się do upadku sprawy, nie śmiał wystąpić przeciw Skrzyneckiemu. Ośmieliło to naczelnego wodza. Nie tylko nie ukorzył się po doznanej klęsce, ale, rozuchwalony bezkarnością, podniósł głowę i sam zamierzył powalić rząd i całą władzę skupić w swoich rękach. Rozpoczął knuć intrygę. Według jego planów Sejm winien

był przygotować wybuchową minę, która miała wysadzić w powietrze istniejącą władzę. Skrzynecki znalazł dla swojego projektu sojuszników w gronie poselskim, a hr. Jan Ledóchowski, człek krzykliwy, namiętny, zaślepiiony, dał się użyć za narzędzie.

Już dnia 31 maja na wniosek tego posła Izba jednomyślnie uchwaliła wyrazić podziękowanie naczelnemu wodzowi i wojsku za to, że się dobrze zasłużyli ojczyźnie. Wprawdzie posłowie nie znali jeszcze wszystkich szczegółów fatalnej wyprawy przeciw gwardjom, ale klęskowy wynik bitwy ostrołęckiej nie był już tajemnicą.

Jednakże wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu Skrzynecki na wniosek jednego krzykacza otrzymywał podziękowanie przedstawicielstwa narodu za swój karygodny upór, za swoją opieszałość i swoje błędy, za niesłychane lekceważenie obowiązków wodza, za bitwę haniebnie przegraną!

A potem wszczęły się w Sejmie obrady nad zmianą istniejącego rządu.

Na dwa obozy podzielili się posłowie, publiczność i prasa. Tych, co domagali się reformy, zwano reformistami, ich przeciwnicy nosili miano antyreformistów. Namiętne spory rozlegały się po całej stolicy. Ostatecznie nieznaczną większością głosów w Sejmie rząd pięciogłowy utrzymał się przy władzy, a Skrzynecki pozostał na czele wojska.

Cała ta intryga obniżyła tylko powagę Rządu Narodowego, a zarazem przekonała wodza, że z nikim nie potrzebuje się liczyć.

Bezkarność święciła swój triumf i rozprzęgała wszystkie istniejące władze...

Sejm wkrótce po tej uchwale, jakby za najlepszych czasów, zajął się mianowaniem nowych senatorów, a Skrzynecki, zamiast planów wojennych, zaczął układać listy ofi-

cerów i wyższych wojskowych, których przedstawiał do awansu. Mianował więc nowych generałów brygady i dywizji oraz nowych pułkowników. Awanse te po odniesionej klęsce i w czasie zupełnej bezczynności wyglądały na drwiny. Ale Rząd Narodowy nie śmiał przeciwstawić się Skrzyneckiemu i posłusznie zatwierdzał wszystkie nominacje.

Tymczasem przyszła do Warszawy wieść o śmierci Dybicza, który 13 czerwca nagle życie zakończył.

Był to wypadek ważny i doniosły, gdyż armja rosyjska, pozbawiona władzy naczelnej, powstrzymana była w przedsięwziętych działaniach i przed przybyciem nowego wodza, jak to przewidywano, skazana została na bezczynność.

Postanowił skorzystać z tego Prądzyński i, projektując ruch zaczepny przeciw głównej armji, natychmiast przedstawił plan odpowiedni naczelnemu wodzowi. Ale Skrzynecki plan odrzucił, gdyż walnej bitwy z główną siłą rosyjską za wszelką cenę postanowił unikać. Napisał natomiast do generała Chrzanowskiego, który z korpusem, posłanym na odsiecz Dwernickiemu, obozował pod Zamościem, by ruszył na Wołyń i tam wzniecił powstanie. Chrzanowski zgodził się polecenie wykonać, ale pod warunkiem, że korpus jego otrzyma posiłki, a generał Rüdiger, działający podówczas w Lubelskiem, zostanie zniesiony. Skrzynecki postanowił spełnić to żądanie i przeciw Rüdigerowi wysłał świeżo nominowanego generała dywizji Jankowskiego. Wybór był fatalny. Jankowski okazał się najniedołężniejszym z wodzów. Mimo szczęścia, które od początku mu sprzyjało, tak pokierował ruchami, że Rüdiger, będący w krytycznym położeniu, wymknął się szczęśliwie i klęski niechybnej uniknął.

Błędy, popełnione przez Jankowskiego, były tak widoczne, iż opinja publiczna głośno oskarżała go o zdradę.

Zarzut ten robiono również generałowi Bukowskiemu, który brał udział w działaniach przeciw Rüdigerowi, a wykazał tyle nieudolności i tchórzostwa, że tylko jawną zdradą niepowodzenia jego umiano sobie tłumaczyć.

Tymczasem wódz naczelny wyprawiał uczyły, biesiady, czytywał gazety francuskie i czekał wiadomości o pomyślnych wypadkach. Rząd rozsyłał noty dyplomatyczne, a Sejm trawił czas na jałowych rozprawach.

Opinia zaczęła szemrać. Naraz w Warszawie gruchnęła wieść, że pomiędzy wielu znanymi osobistościami związał się spisek, mający na celu pomaganie wojskom rosyjskim. Na czele tego spisku — jak niosła wieść — miał stanąć były komendant Zamościa, generał Hurtig. Twierdzono dalej, że generał Sałacki daje znać Rosjanom o poruszeniach wojsk polskich, że Jankowski i Bukowski przez spiskowych zostali przekupieni i że tem się tłumaczy ich nieudana wyprawa. Oskarżano dalej cukiernika Lesslę, szambelana Fanshave, Rosjanę Bazanową, która w Warszawie prowadziła dom otwarty i dużo osób u siebie przyjmowała...

Wieści o tym spisku, wieści bardzo niejasne, przysły z Galicji i tysiącem plotek rozbiegły się po mieście.

Lud warszawski domagał się kary i zemsty. Dnia 29 czerwca doszło nawet do groźnych rozruchów. Tłum wybił szyby w cukierni Lesslę, a na wiadomość, że przed domem Hurtiga przy ulicy Świętojerskiej ustawiono strażę, z wielkim hałasem ruszył na tę ulicę. Gwardja narodowa próbowała nie dopuścić do zbiegowiska, ale gniewny lud przemocą udaremnił wysiłki gwardji i otoczył dom generała. Rozległy się groźne okrzyki:

— Śmierć zdrajcyl..

Hurtig ukazał się w oknie i chciał się usprawiedliwić...

— Obywatele! — zawołał, — jam niewinny!..

W odpowiedzi na to grad kamieni posypał się w okno mieszkania i nowe nienawistne okrzyki przeszły powietrze:

— Na latarnię ze zdrajcami! — wołano i coraz większe wzburzenie ogarniało lud zgromadzony. Straże wyprowadziły Hurtiga, by przeprowadzić go na zamek. Wtedy tłum rozerwał szeregi, rzucił się na generała, zerwał mu szlify, poszarpał na nim mundur, obsypał go tysiącem najstraszniejszych przekleństw. Ledwie z życiem udało się strażę wprowadzić Hurtiga do zamku. Ale na placu Zamkowym tłum wzrósł i w dalszym ciągu burzył się, złorzeczył, hałasował. Przejeżdżał w tym czasie przez plac ks. Czartoryski. Wnet fale ludu szczelnie otoczyły powóz i z tysięcy piersi dobył się okrzyk olbrzymi, potężny:

— Sprawiedliwość!

Ksiązę z odkrytą głową przemawiał do ludu. Donośnym głosem oświadczył, że sąd zbierze się natychmiast, że w ciągu 24 godzin rozpatrzy sprawę i wyda wyrok. Czartoryski zapewniał, że winni zdrady poniosą zasłużoną karę.

Ale przyrzeczenie to nie zostało spełnione. Płynęły dni, tygodnie, sąd nie wydawał wyroku i winni nie zostali ukarani. Opinia coraz bardziej była zatrwożona, a wieści, przychodzące z placu boju, budziły coraz większy niepokój i coraz większy gniew wywoływały w stolicy.

Istotnie położenie było bardzo groźne.

Dowództwo nad armją rosyjską otrzymał feldmarszałek Paskiewicz. Nowy wódz stanął w końcu czerwca w Pułtusk i postanowił przejść Wisłę, by zagrozić Warszawie, nieosłoniętej od południa rzeką. Feldmarszałek działał bardzo ostrożnie, a nawet trwożliwie, ruchy jego były niepewne, często zgoła niestosowne. Lecz Skrzynecki ani myślał przeszkadzać zamiarom Paskiewicza. Nie korzystał z jego błędów, nie czynił absolutnie nic, by stolicę zabezpieczyć od najścia. Więc armja rosyjska skutecznie swój

ruch w najzupełniejszym porządku. W początkach lipca rozłożyła się w okolicach Płocka, a 17 i 18 tegoż miesiąca przeprawiła się przez rzucone mosty i przeszła Wisłę w okolicach Raciążka. Przeprawa odbywała się w ogromnym niepokoju, gdyż Paskiewicz był pewien, że przejście Wisły poprzedzi krwawa i uporczywa walka. Nikt jednakże Wisły nie bronił i wojska rosyjskie, skupione w jednej masie, dalszy rozpoczęły pochód...

Wtedy dopiero niczem niewytłumaczona, a równająca się zbrodni beczynność Skrzyneckiego wywołała interwencję Sejmu. Zdawałoby się, że po tylu dowodach niedołęstwa naczelnego wodza, po tylu strasznych błędach i klęskach poniesionych, Sejm przejrzy wreszcie, odbierze dowództwo Skrzyneckiemu i wraz z uwięzionymi generałami Jankowskim i Bukowskim pod sąd wojenny go odda. Nic z tego. Sejm utworzył radę i radzie tej polecił wybadać zamiary naczelnego wodza. Skrzynecki na posiedzeniu rady nie tał swych nadziei, pokładanych to we Francji, to znowu w Austrii, i nadziejami temi, pozbawionemi wszelkiej podstawy, tłumaczył swą beczynność. Twierdził zresztą, że przejście armji rosyjskiej przez Wisłę nie pociągnie za sobą złych skutków, gdyż Warszawa stanie się grobem dla nieprzyjaciela. W ten sposób wyraźnie dawał do zrozumienia, że bynajmniej nie ma zamiaru oszczędzać stolicy, że przeciwnie postanowił narazić ją na wszystkie skutki szturm i jego nieprzewidziane następstwa.

A rada nic nie przedsięwzięła. Prosiła jedynie Skrzyneckiego, by szedł naprzeciw wroga, i zadowolila się odpowiedzią wodza, który obiecywał zająć Łowicz, ważny punkt strategiczny, i nad Bzurą stoczyć walną bitwę.

Ale nie myślał dotrzymać obietnicy, co zresztą było już niemożliwe, gdyż Paskiewicz z głównymi siłami zajmował i Łowicz i okolice. Jednakże Skrzynecki opuścił Warszawę, w miasteczku Bolimowie założył główną kwa-

terę i znowu pograżył się w beczynności. A Paskiewicz wciąż posuwał się naprzód i zbliżał się do stolicy.

Publiczność warszawska, wysoce tem wszystkim zaniepokojona, coraz głośniej zaczynała wyrażać swe niezadowolenie. Domagano się bitwy i coraz głośniej mówiono o zdradzie. Nareszcie i Sejm, najcierpliwsza i najgnusniejsza z władz, jaka kiedykolwiek pod słońcem istniała, ów Sejm, który od czasów Chłopickiego nie zdobył się ani na jeden krok pożyteczny, ów Sejm, który z takim lekkim sercem odrzucił reformę włościańską i z takim samem sercem patrzył na równającą się zdradzie beczynność wodza, ów Sejm gadatliwy, niezdarny, niezdolny do czynu, powziął nareszcie pierwszą stanowczą decyzję. Lecz, pożał się Boże, co to była za decyzja! I teraz nie zdobył się na pociągnięcie Skrzyneckiego do odpowiedzialności, lecz utworzył nową delegację i polecił pojechać jej do kwatery naczelnego wodza i postąpić z nim stosownie do uznania.

Delegacja ta, złożona z dwóch członków rządu, księcia Czartoryskiego i Wincentego Niemojowskiego, z senatorów Ostrowskiego i Wężyka oraz pięciu członków Izby poselskiej, wyruszyła do Bolimowa i rozpoczęła tam sejmikowanie. Delegaci, nie mający pojęcia o działaniach wojennych, zaczęli zasięgać rady wojskowych wszelkich stopni, wysłuchiwać oskarżeń i obrony. Skrzynecki zachowywał się dumnie, odpowiadał hardo i z całej delegacji nic sobie najwidoczniej nie robił...

Niebawem całe wojsko zaczęło się naradzać, sejmikować, potworzyły się partje, koterje, a od sprzecznych zdań, swarów i hałasów zaszumiało w Bolimowie, jak w ulu. Rozkład sejmowy przedostał się do wojska, zmroził zapat żołnierzy, zdemoralizował szeregi. Rozluźniła się dyscyplina, jak dym zaczęło się rozwiewać zaufanie armji, a nadzieja zwycięstwa, przyćmiona skandalem, zbladła i przygasła.

Lecz delegacja nie mogła się zdecydować sama na odebranie Skrzyneckiemu dowództwa.

Do stanowienia o tem zawezwano aż 68 wojskowych różnych stopni i dopiero głosowanie tak licznej gromady wyrwało z rąk Skrzyneckiego buławę.

W taki sposób zeszedł z widowni powstania człowiek, który los kampanji kilkakrotnie miał w swoich rękach i nie uczynił, aby tym losem pokierować. Odwrót po zwycięstwie, odniesionem na polach igańskich, wypuszczenie gwardyj, pokierowanie krwawą bitwą ostrołęcką, wybór nieudolnych ludzi, przeznaczonych na ważne wyprawy, ludzi takich, jak Giełgud i Jankowski, beczynność w Warszawie, beczynność w Bolimowie, beczynność o każdym czasie i w każdym miejscu, beczynność bez względu na wszelkie okoliczności, powołujące do czynu, oto ogniwa w łańcuchu wielkich błędów, otaczających pamięć Skrzyneckiego. Niepowetowaną krzywdę, jaką powstaniu zaraz w pierwszych jego tygodniach wyrządził Chłopicki, uzupełnił ten nowy wódz-dyplomata, wódz-kunktator, wierzący bardziej w siłę pisanych przez siebie świstków do mężów stanu w Europie, niż w siłę miecza, kierowanego męstwem słuszności i rozpacz.

* *
*

Po odebraniu Skrzyneckiemu władzy naczelnej trzeba było obejrzeć się za następcą.

Następca ten zjawił się sam, a zjawił się, jak zwiastun wybawienia.

Był nim generał Henryk Dembiński.

Stosownie do uchwał rady wojennej w Kurszanach, ruszył on najpierw ku granicom Kurlandji. Po drodze

zawadził o Miszkucie, rozbił stojącą tam kompanję piechoty, zabrał do niewoli stu żołnierzy, a zarazem zdobył 6.000 ładunków i 500 dukatów. Później z trzech stron zaatakował Poniewież, wypłoszył stamtąd rosyjską załogę, a część jej wziął do niewoli. Nadto zabrał nieprzyjacielowi obfite zapasy, a że mieszkańcy Poniewieża przyszli z pomocą, więc wojsko zostało zaopatrzone w niezbędne potrzeby.

W Poniewieżu dopiero zdecydował się Dembiński na powrót do Królestwa.

Od tej pory zwrócił na siebie uwagę nieprzyjaciela i nieustannie był osaczany. Trop w trop za nim szedł ze znacznymi siłami generał Savoini i ścigał wojska polskie. Generał ten, mylony zręcznymi obrotami, nie mógł się zorientować, w jakim kierunku zamierza iść Dembiński, więc zamiast uprzedzić go w punktach, przez które wypadała droga, deptał mu po piętach. Korzystał z tego dowódca polski, palił za sobą mosty, osłaniał się rzeką, borem, bagnami, wiódł z przednimi strażami utarczki i posuwał się dalej. Przeszedł w ten sposób Wilnę, a później Niemen. Wreszcie spostrzegli swe błędy generałowie rosyjscy i na granicy Królestwa umyślili ze wszech stron osaczyć Dembińskiego. Położenie jego stało się krytyczne, ale tym razem szczęście przyszło mu z pomocą. Generałowie rosyjscy, otrzymawszy mylną wiadomość o postępowaniu znacznych sił polskich, ciągnących naprzeciw Dembińskiego, zaprzestali na pewien czas pościgu. W ten sposób oddział wymknął się z zasadzki, lecz wkrótce nowe niebezpieczeństwa zagroziły Dembińskiemu drodze. Na jego tyłach szedł Savoini, a od frontu usiłował przeciąć odwrót generał Rosen. I z tej matni dzięki trafnie wybranemu kierunkowi zdołał wybrnąć Dembiński i ocalić swój korpus.

Gdy zbliżał się do Warszawy, wieść o jego świątynnym odrocie błyskawicznie rozniosła się po stolicy i mnóstwo ludu wysypało się na spotkanie szczęśliwego generała.

Widok był niezwykle. Dembiński prowadził ze sobą żołnierzy, wybiedzonych, wychudłych, czarnych od skwaru słonecznego, ubranych najdziwniej we wszelkiego rodzaju ubiory: mundury polskie i rosyjskie, siermięgi, czamary, kurtki strzeleckie, kapoty mieszczzańskie; pstrokaciznę tę podnosiła jeszcze rozmaitość broni. Obok karabinów kalibrowych widać było janczarki, fuzje, karabele, kindżały. Taką samą mieszaninę przedstawiały konie ras wszelkich oraz ciągnące za wojskiem tabory.

Zastępy publiczności, poprzedzone przez członków Rządu i Sejmu, wyległy na błonia praskie.

Oddział Dembińskiego przywitano pieśnią: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i rozgłośniami okrzykami na cześć wodza i jego dzielnych wojowników.

Od tej pory wszystkie oczy zwrócone były na tego generała...

Niestety, jakiś fatalizm zawisł nad powstaniem: Dembiński, bez wątpienia dobry generał, nie był przecież mężem, jakiego wymagała chwila. Ani charakterem, ani umysłem nie wzniósł się ponad poziom przeciętności. Mianowany w nagrodę za okazane usługi gubernatorem Warszawy, okazał się człowiekiem drażliwym, porywczym, nieorjentującym się w sytuacji i stosunkach. Despotyzmem i nietaktem swoim naraził sobie żywioły rewolucyjne i obudził najwyższą niechęć wśród opozycji sejmowej. Uznanie, jakim go otaczano, prysło bardzo szybko. Okazało się, że ten dzielny generał jest umysłem ciasnym, głową bardzo przeciętną.

Wyniesiony przez delegację sejmową na następcę naczelnego wodza, Dembiński, zamiast nowym czynem wojennym wzbudzić zaufanie, postąpił sobie w najwyższym stopniu nierozważnie. Oto, obejmując dowództwo, postanowił dokonać przeglądu wojsk i przegląd ten w towarzystwie Skrzyneckiego odbywał. Żołnierz, który pamiętał

dawnego wodza w bitwach pod Dobrym, Grochowem, który na karb Skrzyneckiego kładł zwycięstwa pod Wielkim Dembem, Wawrem, Iganiami, a na polach Ostrołęki widział naczelnego wodza, śmiało idącego w odmęt śmierci, nie zdawał sobie sprawy ze strasznych jego przewinień i błędów.

Więc wojska przywitały straconego wodza okrzykami sympatii i życzliwości.

Skrzynecki zaś wygłosił mowę i, mówiąc o nowym wodzu, okrzykiem na jego cześć zakończył.

— Niech żyje Skrzynecki! — odpowiedzieli żołnierze.

— Niech żyje Dembiński! — powtórzył Skrzynecki, ale wojsko ciągle na cześć Skrzyneckiego powtarzało wiwaty.

Wtedy Dembiński głos zabrał i w mowie swej nazywał Skrzyneckiego „mężem bez trwogi i skazy“, bał obiecywał nawet brać z niego przykład i iść jego śladem...

Była to rycerskość nie na miejscu, a obietnica naśladowania Skrzyneckiego wręcz straszna. Toż Skrzynecki swą bezczynnością naraził się całemu społeczeństwu, a przez młodzież patriotyczną głośno był oskarżany o zdradę. W takich warunkach obietnica naśladowania go mogła wzbudzić największą obawę. Ale Dembiński dla dogodzenia próżności swego poprzednika nie liczył się ze słowami, nie zdając sobie sprawy, że słowa te wywołają wybuch oburzenia w stolicy.

Na domiar nieszczęścia, pierwsze kroki Dembińskiego pozwalały przypuszczać, że istotnie pójdzie drogą swego poprzednika. Zamiast iść naprzód i szukać bitwy, Dembiński nakazał ruch wsteczny ku Warszawie. Nie uważał on za rzecz możliwą stoczenia walnej bitwy pod stolicą i z innymi planami się nosił, ale ludność Warszawy i wojsko, członkowie Rządu i Sejmu, kraj cały domagał się bitwy...

Dembiński ruchem swoim do reszty zdemoralizował armję, oburzył oficerów i, przeciwstawiwszy swą wolę powszechnemu głosowi, naraził sobie wszystkich.

Wrzenie ogarnęło Warszawę, złowrogi okrzyk: „zdrada!“ znów obił się o jej mury...

Burza wisiała w powietrzu...

XI.

NOC 15 SIERPNIA I KRUKOWIECKI.

Wieść o dalszem cofaniu się wojsk polskich była iskrą, która zapaliła wzburzone umysły...

Towarzystwo Patryotyczne, zabite przez Lubeckiego, a powołane do życia po upadku dyktatury, lecz długi czas wlokące swój żywot cicho i ospale, ocknęło się naraz i podniosło głowę.

Posiedzenia Towarzystwa znowu zaczęły zgromadzać liczne zastępy publiczności, a temperatura tych posiedzeń codziennie stawała się gorętszą. Niepomyślne wypadki, wstrząsające opinią, omawiane były szeroko, a żywo, zapalczywie, namiętnie. Rej w Towarzystwie wiedli teraz ludzie, którzy w pierwotnym klubie żadnej nie odgrywali roli. Zasłynął w ostatnich czasach swojemi mowami ksiądz Puławski, człowiek namiętny, ognisty, lecz ogromnie niepokojny i nie cieszący się dobrą opinią, popularnym stał się Jan Czyński, zwolennik środków gwałtownych, rewolucyjnych, a dalej Krępowiecki, Płużański i kilku innych. Wszyscy oni energicznie krytykowali istniejący stan rzeczy i w ludzie stołecznym podniecali niezadowolenie, zapalali uczucia oburzenia i gniewu.

W takim stanie rzeczy Rząd Narodowy wzniecał ku sobie niechęć coraz większą.

Książę Czartoryski, w którego rękach spoczywał ster polityki zagranicznej, dokładał wszelkich usiłowań, aby poruszyć nieczule na niedolę polską gabinety. Liczył najwięcej na Francję, ale gdy wszystkie nadzieje, jakie w rządzie francuskim pokładał, zawiodły, zwrócił się ku Austrii. Najpierw ofiarowywał koronę polską jednemu z arcyksiążąt austriackich a gdy powstanie zaczęło chylić się do upadku, powziął myśl rozpaczliwą. Oto opracował notę, w której całe Królestwo oddawał Austrii, przyjmując bez zastrzeżeń wszelkie warunki gabinetu wiedeńskiego, zapewniając nawet, że naród polski przyjmie taki ustrój, jaki się rządowi austriackiemu nadać podoba. Członkowie Rządu Narodowego podpisali to pismo. Jedynie Lelewel odmówił swojego podpisu na tym strasznym akcie. Oburzył się na to Czartoryski — i pomiędzy nim a Lelewelem doszło do gwałtownej sceny.

Mimo protestu uczonego pismo wysłane zostało do Wiednia, ale, oczywiście, żadnego nie odniosło skutku.

Odtąd gorycz panowała na posiedzeniach rządu, nieufność wzajemna przepełniała serca, poczucie niemocy przytłaczało piersi. Rząd Narodowy tracił resztkę powagi i ginął własną niemocą: dni jego były porachowane.

Właśnie w tym samym czasie ukazał się na widowni publicznej generał Krukowiecki, mianowany po bitwie grochowskiej gubernatorem Warszawy. Wskutek nieporozumień ze Skrzyneckim i z rządem, Krukowiecki urząd swój złożył i od tej pory stał się zagorzałym przeciwnikiem zarówno naczelnego wodza, jak i członków rządu. Był to starzec bystry i niepozabawiony zdolności, ale próżny, namiętny, przewrotny. Widział on, że w istniejącem położeniu wszystkie władze są zachwiane i przewidywał katastrofę. Ambitny, chciwy w najwyższym stopniu władzy, a przytem najlepszego mniemania o sobie, zamarzył o pochwyceniu w swe ręce steru powstania. Na stanowisku gubernatora

wykazał dużo energii i postępowaniem śmiałem a przedsięwzięciem umiał zyskać zaufanie mas ludowych stolicy. Złożywszy urząd, przyłączył się do niezadowolonej rzeszy, potakiwał wszelkiej krytyce, zarzucał Skrzyneckiemu zdradę, rządowi — nieudolność, przysięgał, że niech tylko władzę pochwyci, a natychmiast załatwi się ze zdrajcami. Przeciwno układom, o których coraz głośniejsze w Warszawie mówiono, piorunował zawzięcie, bezczynność na polu bitwy przedstawiał, jako zbrodnię. Stary intrygant zaręczał na prawo i na lewo, że po dojściu do władzy wszystko z gruntu odmieni. Urzędników i generałów niezdolnych obiecywał niezwłocznie usunąć, tych zaś, co w polu lub na urzędach wykazali złą wolę, przykładnie ukarać. Nadto miał się otoczyć ludźmi młodymi, śmiałymi, a zdolnymi odpowiedzieć wielkim potrzebom chwili. Gdy mu zwracano uwagę, że na takie rządy Sejm nie pozwoli, odgrażał się, że kraju zgubić nie da i Sejm potrafi rozpedzić. A że nieprzyjaciół zbliżał się do Warszawy, więc mówił dużo o jej obronie, zapewniając, że raczej wysadzi ją w powietrze, niż odda Paskiewiczowi...

Krukowiecki umiał dla swoich celów wyzyskać Lelewela, usidlał wybitniejszych członków klubu, Czyńskiego i Krępowieckiego, potrafił natchnąć wiarą w swą wielkość Nabelaka, a nawet Mochnackiemu zdołał zawrócić głowę.

W oczach tych ludzi Krukowiecki stał się mężem opatrnościowym, jedynym człowiekiem, zdolnym uratować sprawę. Młodzież rewolucyjna, biorąc jego zakłęcia i przysięgi za dobrą monetę, obiecała mu swoje poparcie. Na tle działalności Krukowieckiego i konszachtów, które rozpoczął, po mieście zaczęły krążyć coraz częściej niepokojące plotki i pogłoski.

Mówiono o gwałtownem wstrząśnieniu i manifestacji rewolucyjnej, która miała obalić rząd dotychczasowy i na czele powstania postawić Krukowieckiego. To znowu za-

powiadano na dzień 18 sierpnia rozruchy, mające w dziejach rewolucji listopadowej nową zapoczątkować erę.

Lecz wybuch nastąpił prędzej i niezależnie od woli zwolenników Krukowieckiego...

Struna cierpliwości publicznej była przeciągnięta, wzburzenie dochodziło do szczytu. Nowa Polska, będąca organem Towarzystwa Patriotycznego, w najostrzejszych wyrazach krytykowała działalność generałów, szarpała rząd, gradem potępień miotała w członków Sejmu, zarzucając im, że, nie przeprowadziwszy reformy włościańskiej, pozbawili powstanie najważniejszej siły: siły mas ludowych. Z trybuny Towarzystwa również padały namiętne oskarżenia pod adresem władz istniejących, i złowrogi okrzyk: „zdrada!“ coraz częściej rozlegał się w salach posiedzeń i coraz częściej słyszany był na ulicy. Huczała Warszawa, szemrał lud i coraz większym zapalał się gniewem.

W takim usposobieniu zastał stolicę dzień 15 sierpnia...

Dnia tego wieczorem tłum świąteczny zebrał się na placu Krasińskich i rozprawiał żywo o grożącym stolicy niebezpieczeństwie. Dużo osób, idących do teatru, przyłączyło się do tłumy i ciekawie nadstawiało ucha. Mnóstwo wieści i plotek podawano sobie, a z ust do ust krążyła pogłoska, że Towarzystwo Patriotyczne zamierza przedsięwziąć jakieś kroki stanowcze. Rozdawano niewiadomo przez kogo sporządzone listy zdrajców, pokazywano sobie afisze, na których widniała szubienica, a pod nią nazwiska wielu najwybitniejszych osobistości. Ks. Czartoryski, Skrzynecki, Barzykowski i inni na liście tej figurowali...

Wszystko to spowodowało, że tłumy pociągnęły na posiedzenie Towarzystwa i, gwarne, wzburzone, czekały rozpoczęcia obrad.

Po zagajeniu zebrania przez Czyńskiego, głos zabrał Płużański i, omawiając położenie obecne, w najostrzejszych słowach godził w Skrzyneckiego. Wzywał on zebranych,

aby udali się na posiedzenie rządu i zażądali postawienia Skrzyneckiego przed sądem...

— Wojsko, — wołał Płużański, — chce się bić i pewne jest zwycięstwa, ale wodzowie do walki żołnierza prowadzić nie chcą. Zdrada! zdrada!..

— Zdrada! — powtórzyły tłumy i okrzyk ten wyleciał z sali obrad, dostał się na ulicę i niby pierwszy grzmot, zwiastujący burzę, gruchnął po całej Warszawie.

Po Płużańskim przemawiał ksiądz Puławski i namiętną, ognistą mową rozkołysał i rozpałił wzburzone namiętności. Okrzyki „zdrada!“ i „na rząd! na rząd!“ grzmiąły coraz groźniej i coraz gwałtowniej. Wówczas Czyński zaproponował, aby wybrano deputację, która miała zażądać od rządu wyjaśnień, a przede wszystkim dowiedzieć się, dlaczego Skrzynecki, acz pozbawiony dowództwa, pozostaje przy wojsku i dlaczego armja, zamiast walczyć z nieprzyjacielem, do Warszawy powraca. Wniosek został przyjęty, wybrano deputację, a na jej czele stanęli ks. Puławski, Czyński i Płużański...

Deputacja opuściła salę obrad i skierowała się ku pałacowi namiestnikowskiemu, gdzie rząd odbywał posiedzenia. Za deputacją pociągnęły tłumy, zgromadzone na placu Krasińskich, i olbrzymia masa ludu groźna i gniewna otoczyła miejsce obrad rządu.

Tymczasem delegaci wtargnęli do pałacu i, stanawszy przed członkami rządu, wyjaśnili cel swego przybycia. Książe Czartoryski zapewnił deputację, iż nie dopuści do żadnego kroku, któryby splamić mógł honor narodu, że położenie jest trudne, ale bynajmniej nie rozpaczliwe, że jeżeliby nie udało się wojskom polskim zwyciężyć, to nieprzyjaciół, wszedłszy do Warszawy, nie prócz popiołu i zgliszcz nie zastanie. Barzykowski starał się przekonać deputację, że postępowanie Towarzystwa jest niewłaściwe i wystąpieniem swoim zaostriżył sytuację. Deputacja je-

dnak, nie postawiwszy żadnych żądań i nic nie zdziaławszy, poprzestała na tych ogólnikowych zapewnieniach i, opuściwszy pałac rządowy, zaniósła odpowiedź ludowi.

Ale lud uspokoić się nie dał. Odpowiedź rządu dołała oliwy do ognia i tłumy coraz głośniej hałasowały. Ktoś krzyknął: — Na zamek!

W zamku osadzeni byli podejrzani o należenie do spisku generałowie. Wnet liczne głosy pochwyciły owo hasło i z tysiącznych piersi wydobył się potężny okrzyk:

— Na zamek! Śmierć zdrajcom!..

Tłumy, złorzecząc i hałasując, popłynęły na plac Zamkowy i, huczące a groźne, jak wichrem szarpana fala, rozlały się po placu.

— Śmierć zdrajcom! Śmierć zdrajcom! — wołano nieustannie. I otoczono zamek.

Niebawem warta, stojąca na straży, pierzchła, drzwi zatarasowane pękły i tłum jak pocisk kary i zemsty wtargnął do wnętrza. Najpierw padł ofiarą sprawca swoich i naczelnego wodza błędów generał Jankowski, a później reszta uwięzionych. Dali więc gardła generałowie Bukowski i Sałacki, szambelan Fanshave, Rosjanka Bazanowa, urzędnik banku Bentkowski, wreszcie generał Hurtig, były komendant Zamościa, słynący, jako prześladowca więźniów, oddawanych mu pod opiekę. Trupy wywleczono z zamku i powieszono niebawem na latarniach.

Po tej egzekucji rozległy się okrzyki:

— Wieszac szpiegów!

W pobliżu rogatki wolskich znajdowało się więzienie, w którym osadzono słynnych szpiegów z czasów w. ks. Konstantego. Wzburzony tłum ruszył ku rogatkom i niebawem obficie krew popłynęła. Szyją przypłacili swoje rzemiosło szpiegowie: Szlej, Makrot, Grünberg, Szymanowski i wielu innych, nie doczekała świtu szajka defraudantów i oszustów, oczekujących wyroku sądowego...

W chwili, kiedy tłumy rozprawiały się ze szpiegami, prezes rządu ks. Czartoryski, przebrany w mundur oficerski, śpieszył konno do obozu, bo w Warszawie nie czuł się bezpiecznym. Przy rogatkach chciano go zatrzymać. Ale książę spał konia ostrogami i skrył się w ciemnościach. Kilka kul świsnęło mu koło uszu, lecz żadna nie dosięgła i Czartoryski szczęśliwie przedostał się do obozu.

Nazajutrz wstał dzień mglisty, pochmurny. Warszawa okropny przedstawiała widok. Przed więzieniem leżały na bruku pomordowane ofiary, na latarniach, w kilku punktach miasta, widniały straszliwie wyglądające ciała wisielców, a publiczność, w małych grupach zebrana, ze zgrozą omawiała okropne wypadki ubiegłej nocy.

Rząd Narodowy obradował od samego rana. Smutne to były obrady. Rząd nie wiedział, co robić, jak się zachować, czuł tylko swoją bezsilność i rozumiał, że władzy nie zdoła już utrzymać w swych rękach. Jeden Lelewel, którego niesłusznie posądzano, że kierował ludem podczas rozruchów, twierdził, że należy wyzyskać wypadki, starać się podnieść ducha w stolicy i cały gniew ludu skierować przeciw wrogowi, zbliżającemu się już do Warszawy. Ale Czartoryski był nieobecny, Niemojowski oświadczył, że nie nadaje się do działań rewolucyjnych, a Barzykowski utrzymywał, że rząd natychmiast powinien podać się do dymisji. Zgodzono się na ten wniosek, ponieważ jednak trzeba było przedtem stworzyć jakąś, choćby tymczasową władzę w mieście, postanowiono tedy prosić Krukowieckiego, aby objął urząd gubernatora.

Istotnie miał on popularność w mieście i w tej chwili wydawał się najodpowiedniejszym na to stanowisko.

Krukowiecki skorzystał ze sprzyjających mu okoliczności i odrazu wypłynął na widownię, jako osoba najwi doczniejsza. W dwa dni później Rząd Narodowy przestał egzystować, a Sejm, straciwszy w oczach ogółu wszelką

powagę, również na Krukowieckiego zwrócił swe oczy i w jego popularności szukał i oparcia dla siebie, i ratunku dla upadającej sprawy powstania.

Dnia 17 sierpnia Krukowiecki został ogłoszony prezesem rządu. Sejm dał mu władzę wielką, prawie dyktatorską...

W ten sposób krwawa noc 15 sierpnia ziściła marzenia przebiegłego starca. Dorwał się do władzy przedtem jeszcze, nim zdążyli władzę tę przygotować jego zwolennicy.

Wybór był okropny: w rękach Krukowieckiego miało skonać dzieło listopadowe...

I skonać musiało. Krukowiecki należał do ludzi, dla których wyniesienie się osobiste jest jedyną ambicją. Aby otrzymać władzę, robił on wszystko, a we wszystkim nie sprawę, lecz siebie miał na widoku. Deklamował o swem przywiązaniu do ojczyzny, piorunował przeciw układom, zaklinał się na siwe włosy i przysięgał, że ukarze zdrajców, co swem niedołęstwem cały naród postawili nad przepaścią zginienia. Ale w duszy swej knuł zdradziecko plan inny. Podobnie jak i Skrzynecki, nie wierzył i on w skuteczność dalszej walki, lecz myślał o zagajeniu układów. Siły powstania były jeszcze poważne, a jedno większe powodzenie mogło zmienić postać rzeczy i rząd rosyjski uczynić skłonniejszym do ustępstw. Na te ustępstwa liczył nowy prezes rządu. Był pewien, że układy i jemu zabezpieczą przyszłość, wyniosą go może na stanowisko wielkorządcy w Królestwie, oczywiście, w Królestwie pod władzą Mikołaja. Ale z zamiarami takimi nie mógł się zdradzać przed czasem. Noc 15 sierpnia była krwawą przestrogą, a przecież tej nocy Krukowiecki zawdzięczał swą władzę. Więc w pierwszych dniach swoich rządów nie przestał grać roli, której zawdzięczał swoje wyniesienie.

Wprawdzie obietnic nie dotrzymał, na stanowisko wiceprezesa rządu powołał Bonawenturę Niemojowskiego, co

przypominało rząd dawny, bo Niemojowski należał do stronnictwa, które w rządzie pięciogłowym, reprezentowane przez jego brata Wincentego i Teofila Morawskiego, straciło zaufanie i popularność, a wszelkiej łączności z dawnym rządem stanowczo należało unikać. Ale obok tego przejawiał Krukowiecki sporo energii i czynności. Skrzyneckiemu rozkazał armję opuścić, Dembińskiego pozbawił naczelnego dowództwa i oddał je gen. Małachowskiemu. Wybór był nieszczęśliwy, bo Małachowski, człowiek stary i niedołężny, bez wyższych zdolności, nie miał odpowiednich kwalifikacyj, by armją dowodzić, ale że nikt z innych generałów, nie wyłączając Prądzyńskiego, nie czuł się na siłach objąć w obecnem położeniu dowództwo naczelne, więc wyboru nie było. Co do młodych i śmiałych ludzi, którymi miał się Krukowiecki otoczyć, to uczynił on to, ale z wielką ostrożnością, gdyż rozumiał dobrze, iż zamiary jego nie dogadzają widokom rewolucjonistów. Bał się ich przebiegły starzec i w miarę tego, jak zamiary swoje ujawniał, oddalał od siebie niedawnych sprzymierzeńców, a później nawet kazał ich szpiegować. Jednakże mimo to wszystko czynność, jaką Krukowiecki w pierwszych dniach po objęciu władzy rozwijał, dobre uczyniła wrażenie. Umysły się uspokoiły, stronnictwa przycichły, powracał ład i porządek, ufność na nowo wstępowała w serca.

Taki stan rzeczy wyraźnie wskazywał Krukowieckiemu drogę, którą należało kroczyć...

Mógł on podobnie, jak w swoim czasie Chłopicki, natchnąć stolicę i wojsko niezłomną chęcią walki, mógł zażądać największych ofiar, a wszystko świadczyło, że głos jego będzie usłyszany.

Ale prezes rządu nie wierzył w skuteczność walki i z innemi zamiarami obejmował władzę. Wszakże rozumiał, że położenie jest trudne i że zamiary te łatwo urzeczywistnić się nie dadzą. Mniej lub więcej znaczne powo-

dzenie, osiągnięte na polu bitwy, ułatwiało ogromnie układy i wymaganiom ze strony polskiej nadawało powagi.

Więc Krukowiecki zaraz w kilka dni po objęciu władzy zwołał radę wojenną i w myśl uchwały, która na tej radzie zapadła, zdecydował się na ruch zaczepny przeciw generałowi Rosenowi. Ten ostatni stał ze swoim korpusem na prawym brzegu Wisły pomiędzy Siedlcami a Brześciem Litewskim, a znaczna odległość od głównych sił rosyjskich stanowisko tego korpusu czyniła wysoce niebezpiecznem.

Wyprawa przeciw Rosenowi miała wszelkie szanse powodzenia, ale Warszawa była zagrożona przez Paskiewicza, a w takich okolicznościach osłabianie załogi stołecznej było krokiem wysoce ryzykownym. Nie bacząc na to, zdecydowano jeszcze wyprawić całą dywizję w województwo płockie, by z tego województwa, niewyniszczonego dotąd przez wojnę, czerpać zapasy żywności, a zarazem znieść drobne oddziały rosyjskie, śpieszące przeprawić się na drugi brzeg Wisły w celu połączenia się z Paskiewiczem.

W Płockie wysłano gen. Łubieńskiego, a przeciwko Rosenowi — generała Ramorino.

Ten ostatni miał pod sobą 20.000 najlepszego wojska. Był to cudzoziemiec, z pochodzenia Włoch, dobry żołnierz, ale nie znający kraju i na los jego najzupełniej obojętny. Do Polski przybył, wiedziony żądzą przygód i sławy, na nieszczęście powstania, jedynie karjera popchnęła go w szeregi wojsk polskich.

Ramorino zdradził pokładane w nim zaufanie i zaraz na początku wyprawy wykazał tyle nieudolności, że księżę Czartoryski, który w tej wyprawie brał udział w charakterze świadka, napisał do Krukowieckiego list ostrzegawczy. Na skutek tego listu Krukowiecki polecił Prądzyńskiemu połączyć się z Ramoriną i wesprzeć go swoją radą. A Prądzyński, zamiast zażądać naczelnego dowództwa nad całym

korpusem, przyjął narzuconą mu rolę doradcy i natychmiast wyjechał do obozu. Byстрым swoim umysłem ocenił on zaraz sytuację i, korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, które, mimo popełnione dotychczas błędy, pozwalały jeszcze na pobicie Rosena, ułożył plan odpowiedni. W myśl tego planu podzielono korpus na dwie kolumny, które jednocześnie miały się zejść pod Międzyrzeczem i otoczyć obozujące tam wojska Rosena. Nad jedną z tych kolumn objął dowództwo Ramorino, nad drugą — Prądzyński. Prądzyński postąpił stosownie do umowy, ale Ramorino, podobnie jak Skrzynecki, mający w swoim czasie stanąć pod Iganiami, ani myślał o wykonaniu planu. Skutkiem tego wyprawa nie osiągnęła celu i Rosen uszedł cało. Prądzyński po żywej sprzeczce z generałem Ramorino opuścił armję i powrócił do Warszawy. Zrozpaczony wynikiem wyprawy, zniechęcony, zgorzkniały stracił całą energję, podupadł na duchu i zwątpił o wszystkim.

Tymczasem Paskiewicz pierwszy nawiązał rokowania.

Krukowiecki ze strony polskiej Prądzyńskiego przeznaczył na negocjatora. Nieszczęsny Prądzyński podjął się tej misji i dnia 4 września traktował z generałem rosyjskim Dannenbergiem, który nie szczędził obietnic i wszelkich gwarancyj, byle tylko rząd polski uznał cesarza Mikołaja.

Krukowiecki nic przeciw temu warunkowi nie miał i usilnie obstawał za dalszem prowadzeniem układów, ale większość ministrów stanowczo myśl tę odrzuciła.

Wobec tego najenergiczniej należało przygotować się do obrony.

Dnia 5 września armja rosyjska otoczyła stolicę, a główne siły stanęły naprzeciw Woli. 86 000 ludzi i 438 armat przywiódł ze sobą Paskiewicz. Ale wojsko rosyjskie w posępnem milczeniu spoglądało na wznoszące się przed nim szanie, a w mieście osaczonem widziało ponurą otchłań

wielkiego grobu. Wyobrażano sobie, że stolica jest podminowana, na każdy dom patrzano, jak na fortecę. Na polach Grochowa, Igań i Ostrołęki Polacy wykazali tyle męstwa i odwagi, że w obozie rosyjskim nie spodziewano się łatwego zdobycia stolicy.

Istotnie Warszawa pod rządem silnym, i energicznym mogła stać się grobem dla nieprzyjaciela. 50.000 piechoty przed odkomenderowaniem Ramoriny miała stolica do obrony, 10.000 jazdy było na usługi oblężenia, a ziemie na prawym brzegu Wisły mogły dostarczać potrzebnej żywności. Nadto był w mieście lud, głodny walki i zemsty. Wszystko, co żywiej czuło, cierpiało, pragnęło, gotowe było stanąć na okopach i walczyć do ostatniego tchnienia. Ale Krukowiecki osłabił garnizon Warszawy, nie natomiast dla jej wzmocnienia nie czynił. Wojsku rozkazów nie wydawał, ludu nie uzbrajał, barykad nie budował, pragnących walczyć nie prowadził na szanice.

A Małachowski, starzec niedołężny, nie wiedział jak kierować obroną.

— „Na łożu śmierci utrzymywać będę — mówił w parę lat potem generał Bem — że Warszawa była nie do wzięcia“.

Ale by szturm zwycięsko wytrzymać — a kilka nieudanych szturmów było stanowczą klęską dla armji rosyjskiej — aby odeprzeć zamach na tę pięćdziesiątą ziemi, która teraz stawała się całą Polską, trzeba było, zdaniem Bema, komendy...

Niestety, nie miał kto już i obroną kierować...

Byli poszczególni dowódcy, lecz ogólny kierunek wszelkich działań wziął w swe ręce Krukowiecki — nie było przeto naczelnego wodza...

Bo Krukowiecki o obronie nie myślał...

XII.

OBŁĘŻENIE WARSZAWY.

Dowództwo nad linją fortyfikacyjną, idącą od Wisły przez Marymont, Powązki i Wolę, objął generał Dembiński: fortyfikacjami, ciągnącemi się od Woli przez Rakowiec, Królikarnię i Czerniaków, dowodził generał Umiński.

Na tej szesnastowiorstowej przestrzeni rozlokowano 30,000 wojska i 92 działa artylerji konnej, które podczas szturmów miały śpieszyć z pomocą na punkty najbardziej zagrożone.

Linja obronna Warszawy, tworząca półkole, dotykająca swemi kończynami Wisły, opasana była dwoma rzędami baterij. W środku tego półkola, na gruncie Woli, wznosiła się fortyfikacja Nr. 56. Fortyfikacja ta, wysunięta naprzód, jak strażnica, a otoczona głębokim rowem i okopami wysokości 12 stóp, miała w swym obrębie kościół i cmentarz, okolony wysokim murem. W murze porobiono strzelnice, a całą fortyfikację ze względu na jej ważną pozycję wzmocniono starannie, niż inne.

Dostęp do tej placówki osłaniał wysoki szaniec Nr. 57 i reduta Nr. 54.

Woli bronił generał Sowiński.

Był to stary weteran, nieczynny dotąd w szeregach, bo kalectwo nie pozwalało mu na to: w r. 1812, w bitwie pod Możajskiem kula armatnia urwała mu nogę. Sowiński pracował w ministerjum wojny, gdy jednak nieprzyjaciół osaczył Warszawę, stary wojak sam udał się do Małachowskiego i prosił o dowództwo w punkcie najniebezpieczniejszym.

Małachowski powierzył mu Wolę.

Obrona tej pozycji wymagała co najmniej czterotysięcznej załogi, ponieważ jednak wojsk było mało, a nikt w obozie polskim nie przypuszczał, by szturm rozpoczął się od Woli, przeto Sowińskiemu dano wszystkiego trzy bataljony, liczące razem 1.300 żołnierzy. Jednym z tych bataljonów dowodził Piotr Wysocki, niedawno podporucznik grenadierów gwardji, obecnie podpułkownik w X pułku piechoty.

Sowiński, acz doskonale zdawał sobie sprawę, że za słabe posiada siły, aby szturm odeprzeć, zapewnił wodza, że, póki żyw, fortyfikacji nie odda.

Na słowie starca można było polegać.

W pamiętnym a krwawym dniu 6 września wojska rosyjskie już o godz. 4 zrana posunęły się naprzód. Generał Umiński, zwiedziony fałszywymi obrotami, był pewien, że przeciwko niemu główne uderzenie szykuje nieprzyjaciół. Stał więc na zajętych stanowiskach nieporuszony i choć wkrótce wyjaśniło się, że punktem najbardziej zagrożonym jest Wola, — Umiński ucierał się z niewielkimi siłami Rosjan i na Wolę z pomocą nie śpieszył...

Małachowski nie zorientował się w sytuacji, nikt więc nad całością obrony nie czuwał.

Tymczasem 100 dział rosyjskich zbliżyło się do fortyfikacji, osłaniających Wolę, i w ciągu dwu godzin sypało na nie ulewnym deszczem ognia i żelaza. A gdy fortyfi-

kacje zostały uszkodzone, korpusy generałów Kreutza i Pahlena ruszyły do szturmów...

Rosjanie opanowali najpierw szaniec Nr. 55, który dla braku wojsk pozostawiony był bez załogi. Z szanieca tego gen. Geismar poprowadził kolumny ku reducie Nr. 54. Jednocześnie zaś ku temu samemu punktowi od frontu posuwał się ze znacznymi siłami generał Sulima.

Tylko pół bataljonu broni zagrożonej placówki, ale broni jej dzielnie.

Reduta grzmi, błyska, sypie kartaczami i jak dymiąca skała opiera się szturmującym falom. Zbliżają się Rosjanie i z dwu stron otaczają redutę. Ale kto zdoła wdrzeć się na wały, ten ginie od kuli, lub, rażony bagnetem, pada z rozkrzyżowanymi rękoma na ciała swych towarzyszy. Stosy trupów tworzą się wkoło szanieca. Ale po trupach postępują Rosjanie — i niby mrowie zalegają zbryzgane krwią okopy. Sroży się nierówna walka, lecz garstka walecznych ulega wkoń u przemocy i piechota rosyjska z okrzykiem: „hurra!“ wpada do wnętrza.

Witają ją skrwawione bagnety i bój morderczy wszczy-
na się na nowo.

Nagle kłęby białego dymu wznoszą się nad zdobytą placówką, błyskawica ognia otacza okopy, ogłuszający huk rozdziera powietrze. Reduta drży, chwieje się, kołysze, rozpada, — poczem ze strasznym gruchotem, w tumanach dymu i blaskach pożarnych, jak słup ognisty ulatuje w niebo...

To lont zapalony nieznany z imienia bohater rzucił do magazynu amunicyjnego *).

Prochy eksplodowały — i zarówno zdobywcy, jak obrońcy, żywi i umarli, działa, broń, wszystko, co znajdo-

*) Czyn ten długi czas niesłusznie przypisywano porucznikowi artylerji Ordonowi, uwiecznionemu w znanym wierszu Mickiewicza: Reduta Ordona.

wało się w reducie, zginęło pod gruzami lub, wyrzucone w powietrze, jako gruz powróciło na ziemię.

Z kolei zaatakowali Rosjanie szaniec Nr. 57.

Stu trzydziestu żołnierzy broniło tego szańca z rozpaczą i wściekłością. Ale tysiączne masy jak nieprzenikniona chmura przywarły do szańca i formalnie zalały obrońców. Wszczęła się straszna rzeź, bo do ostatniego tchu walczyli oblężeni i prawie co do nogi legli na posterunku...

Wówczas artylerja rosyjska zbliżyła się do głównej fortyfikacji.

Rozpoczęła się okropna kanonada i trwała całą godzinę. Grzmoty za grzmotami nieprzerwanym ciągiem huczały w przestworzach. Noc uczyniła się od dymów, powietrze rozgorzało od ognia, ziemia rozedrgała od lecących po niej z sykiem i świstem granatów. Naraz działa rosyjskie przycichły. Dymy opadły, a wtedy żołnierze, stojący na szanцах, ujrzeli idące do szturm kolumny. Zrobiła się cisza. Ku obrońcom Woli szła śmierć i szybkim zbliżała się krokiem...

Z trzech stron zagrożano fortyfikacji.

Generał Lüders z pułkami morskimi posuwał się ku prawej stronie okopów, generał Martynow z połową korpusu Pahlena szedł ku środkowi, a na lewą stronę fortyfikacji wiodł trzy pułki generał Berg...

Świsnęły kartacze Woli, ale za mało armat posiada Sowiński, aby powstrzymać szturmujących. Więc Rosjanie posuwają się naprzód, dosięgają wałów, rzucają w rowy faszyny, wory i kosze, wypchane słomą, przystawiają drabiny, podsadzają się na bagnetach i, choć wielu z nich ginie, drą się nieustannie na wały. Szturm po szturmie odpierają Polacy — i wysiłki generałów Lüdersa i Martynowa idą na marne. Ale część X pułku piechoty, broniąca lewej strony fortyfikacji, ujrzawszy dwanaście bataljonów,



GENERAŁ SOWIŃSKI

prowadzonych przez generała Berga, opuściła szanice i cofnęła się poza drugą linię obronną. Ten ruch, podyktowany tchórzostwem czy też zdradą komenderującego oficera, rozstrzygnął o losie walki. Berg wtargnął do środka fortyfikacji i zajął tyły broniącym się wojskom. Trzeba było się cofać. Skorzystały z tego kolumny Martynowa i przekroczyły wały, tak uporczywie dotąd bronione. Niebawem dwadzieścia kilka bataljonów otoczyło ze wszech stron trzy bataljony polskie...

Sowiński gromadzi wkoło siebie żołnierzy i broni się do upadłego. W walce tej ranę odnosi Piotr Wysocki i dostaje się do niewoli. A Sowiński, widząc, że nie dotrzyma przemagającej sile, cofa się za garstką walecznych ku murom kościołka, lecz zobaczywszy w załomie oszańcowań samotną armatę, zatrzymuje się przy niej, każe ją nabić i dać ognia do zbliżających się wrogów. Na rozkaz generała raz i drugi ryknęło działo polskie. Tymczasem Moskale wdarli się pomiędzy mury, rozwalili barykadę, którą obrońcy wzniesli naprędce przed drzwiami kościoła, wtargnęli do wnętrza i straszną rzeź rozpoczęli w samym kościółku i w jego obmurowaniach. Dostrzegają wreszcie dymiącą armatę i białego starca z tlejącym lontem w ręku. Chmara grenadjerów rzuca się na ten widok ku generałowi, a oficer rosyjski wzywa do poddania się garstkę walecznych.

— Ognia! — komenderuje w odpowiedzi na to Sowiński.

Raz jeszcze palnęło działo polskie, ostatni raz...

Grenadjerzy poprzez tuman sinego dymu rzucają się z wściekłością ku gromadce szaleńców.

— Kolbą i bagnetem, wiara! — woła nieustraszony Sowiński, sam podnosi karabin z ziemi, opiera się o armatę i odparowuje ciosy napastników. Lecz przemoc bierze górę. Padają śmiercią mężnych obrońcy. Sowiński

sam jeden broni się do ostatka. Kilka razy pchnięty bagnietami, pochyła się ku armacie, ale nie mogąc zgiąć drewnianej nogi, przypada stojącym trupem ku lawecie i trwa tak w obliczu swoich morderców, jak posąg chwały i grozy. Jego postać, zbryzgana krwią, wytrąca oręż z rąk wroga. Sami Moskale zeznawali później, że było coś strasznego i wielkiego zarazem w zwłokach bohaterskiego starca.

Stary weteran dotrzymał słowa: do ostatniego tchu bronił powierzonej mu placówki i śmiercią bohaterską obronę tę przypieczętował.

Zdobycie Woli przynębiający wpływ wywarło na umysł. Wyżsi wojskowi zwątpili o skuteczności dalszej obrony — i z chwilą tą los Warszawy został rozstrzygnięty. Wprawdzie Małachowski próbował odebrać utracone stanowisko, ale bezskutecznie. Czwarty pułk piechoty, przeznaczony do wydarcia Woli Rosjanom, z furją ruszył do szturm i, kilkakroć odparty, po kilkakroć ponawiał ataki, pozostawiony jednak sam sobie, nie mógł przełamać dziesięciokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. Posiłki przybyły za późno — i Wola pozostała w rękach Paskiewicza.

Krukowiecki zupełnie podupadł na duchu. Położenie istotnie było krytyczne, groźne — i tylko wielki hart mógł jeszcze uratować stolicę. Należało, nie tracąc jednej chwili, odwołać się do ludności miasta, przedstawić jej istotne położenie, dostarczyć broni i całą Warszawę sfanatyzować myślą o dalszej walce. Trzeba było uderzyć w uczucia, które szukały dla siebie ujścia w czynie i wezwania do tego czynu czekały nadaremnie. Lecz Krukowiecki nie znalazł w sobie isierki energii i zapału. Zamiast myśleć o ostatecznych środkach ratunku, zwołał ministrów i oświadczył im, że po stracie Woli dalsza obrona jest niemożliwa, wobec czego układy należy wznowić. Ministrowie również nie wzniesli się na wysokość położenia, lecz zawierzyli

Krukowieckiemu na słowo i upoważnili go do zapytania Paskiewicza, na jakich warunkach może traktować z narodem polskim...

W gruncie rzeczy los Warszawy już został przesądzony.

Misję porozumienia się z Moskalami powierzono Prądyńskiemu. I ten dzielny generał, którego miejsce było na wałach, podjął się owej misji i nazajutrz o godz. 5 zrana udał się do obozu rosyjskiego. Paskiewicz przyjął go gniewnie i szorstko. Zamiast jakiegokolwiek odpowiedzi chciał wiedzieć, czy cesarz Mikołaj jest królem polskim w oczach Krukowieckiego. Rozmowa skończyła się tem, iż nieszczęsny Prądyński napisał deklarację, w której oświadczał, że prezes rządu polskiego wraz z całym narodem zamierza dokonać aktu posłuszeństwa. Otrzymawszy taką deklarację, Paskiewicz zażądał widzenia się z Krukowieckim.

Tegoż dnia o godz. 9 zrana odbyło się spotkanie w karczmie pod Wolą.

Podczas rozmowy doszło do żywej sprzeczki, bo zarówno Paskiewicz jak Krukowiecki nie hamowali swojego gniewu. Krukowiecki twierdził, że nie ma upoważnienia od Sejmu, by układy prowadzić, więc skończono na tem, iż wódz rosyjski zobowiązał się wstrzymać działania wojenne do godz. 1 w południe, Krukowiecki zaś miał przed tą godziną wyjednać potrzebne upoważnienie i rozpocząć układy.

Rada ministrów, z wyjątkiem Bonawentury Niemojowskiego i Morawskiego, którzy się podali do dymisji, zaakceptowała czynności Krukowieckiego. O g. 10 rano zebrał się Sejm i rozpoczął gadatliwe obrady. Dyskutowano, jak za najlepszych czasów, i dopiero grom trzystu dział rosyjskich, które odezwały się o godz. 1½, wymógł na Sejmie decyzję. Krukowiecki otrzymał upoważnienie —

i natychmiast znowu za pośrednictwem Prądzyńskiego zgaił układy. Ostateczne warunki, jakie uzyska od Paskiewicza, miał przedstawić do zatwierdzenia Sejmowi...

Tymczasem działa rosyjskie grzmiały nieprzerwanie. Na całej linii wzniesionych fortyfikacyj toczył się bój zawzięty. Żołnierze i oficerowie rang niższych wszędzie wypełniali swoją powinność, walczyli z męstwem, umierali z determinacją. Ale nie było naczelnego wodza, nie było zwierzchniczej komendy. Rozkazy Małachowskiego krzyżował rozkazami swemi Krukowiecki, a dość powiedzieć, że jeszcze przed otrzymaniem odpowiedzi Paskiewicza polecił korpusowi Umińskiego cofnąć się na Pragę.

Anarchja wkraśla się w szeregi, żołnierz, walczący bez nadziei, stawał się męczennikiem, z rozpaczą szedł w ogień i z rozpaczą szanice opuszczał. W takich warunkach Rosjanie w przeciągu kilku godzin zdobyli drugą linię fortyfikacyjną i bezpośrednio zaczęli zagrażać stolicy. Już przedmieścia ogarnął pożar...

Wtedy Krukowiecki, niepomny na swoje zakłęcia i przysięgi, napisał list do Mikołaja i, kołatając do jego „ojcowskiego serca“, oddawał bez żadnych zastrzeżeń cały naród na łaskę cesarza.

List ten, jako dowód swoich intencji i usposobienia, odesłał Paskiewiczowi. Podjął się zawiezienia tego listu Prądzyński, który jako wojskowy doskonale zdawał sobie sprawę, że Warszawę obronić już nie można. Bądź-co-bądź rola Prądzyńskiego była bardzo smutna. Jego pośrednictwo w haniebnym układach wytłumaczyć można tylko brakiem charakteru i odwagi cywilnej. On, który tak przydałby się na szanicach podczas szturmów, jeździł z obozu do obozu, wozził zdradzieckie listy Krukowieckiego, dobre imię swoje na szwank wystawiał, a usługi, oddane powstaniu, samem pośrednictwem przekreślał i niweczył.

Zaszła jednak rzecz niespodziana.

Oto generał Małachowski, widząc cofające się wojska przed ukończeniem walki, wpadł do izby poselskiej i, zastawszy tam marszałka Ostrowskiego, który w przerwie pomiędzy jednym a drugim posiedzeniem naradzał się z kilkoma posłami, zawołał:

— Panowie, ratujcie ojczyznę, bo Krukowiecki ją zdradzał

Ostrowski pośpieszył do Krukowieckiego i zażądał pokazania sobie warunków, przesłanych Paskiewiczowi. Krukowiecki przyjął Ostrowskiego z najwyższym gniewem.

— Słuchaj tej kanonady, — wołał prezes rządu, — patrz na przedmieście gorejące, tak Paskiewicz na moje propozycje odpowiada.

Ale ostatecznie Ostrowski dowiedział się prawdy. Wówczas oburzony marszałek zażądał od Krukowieckiego, by zgłosił swoją dymisję i, nie czekając na odpowiedź, pobiegł do pałacu rządowego, zgromadził w jednej z sal tylu członków Sejmu, ilu ich było w pobliżu i podzielił się z nimi otrzymaną od Krukowieckiego wiadomością. Mowa Ostrowskiego podziałała piorunująco. Wzruszeni członkowie Sejmu udzielili dymisji Krukowieckiemu i na stanowisko prezesa Rządu Narodowego wynieśli Bonawenturę Niemojowskiego.

Gdy Prądzyński wraz z generałem rosyjskim Bergiem powrócił do Warszawy, by skończyć ostatecznie układy, nie zastał już dawnego rządu ani Krukowieckiego u steru władzy. Niemojowski nie chciał traktować z pełnomocnikiem Paskiewicza. Doszło do gorszących scen wobec generała Berga. Przywołano Krukowieckiego, by dokończył dzieła, które rozpoczął, i ów akt poddania podpisał. Krukowiecki przybył rozgniewany, krzyczał, groził, pieniał się jak wściekły, wreszcie oświadczył, że ponieważ prezesem rządu już nie jest, przeto nic podpisywać nie będzie. Skończyło

się na tem, że kapitulację podpisał generał Małachowski. Kapitulacja ta oddawała Warszawę Paskiewiczowi, z tem jedynie zastrzeżeniem, że wojsko polskie, wszelkie władze i wszyscy mieszkańcy, co chcieliby opuścić stolicę, otrzymają 48 godzin czasu.

Tymczasem Krukowiecki dosiadł konia i chciał dostać się na Pragę, gdzie gromadziły się wojska polskie, ale traze, strzegące mostu, nie przepuściły zdrajcy.

Więc wrócił do Warszawy i zamknął się we własnem mieszkaniu...

A nieszczęsny Prądzyński, który osobą swą ręczył, że Krukowiecki ma pełne prawo do zawarcia układów, wraz z generałem Bergiem powrócił do obozu rosyjskiego i dobrowolnie oddał się w ręce Paskiewicza.

Dotrzymał słowa nieprzyjacielowi, niema co mówić, ale złamał przysięgę, złożoną ojczyźnie...

Nastała noc, ponura noc z dnia 7 na 8 września...

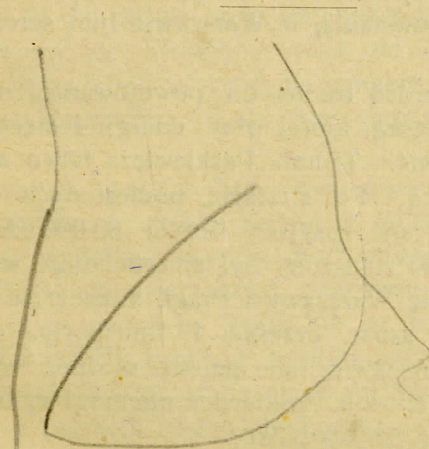
Łuny płonących przedmieść oświeślały stolicę, czarne dymy zwisały nad miastem. W blasku pożarnym, jak cienie krzątali się mieszkańcy. Kto czuł żywiej i głębiej, a zwycięzcom oddać się nie chciał, w czyich piersiach tlała iskra nieokreślonej nadziei, ten pakował trochę drobiazgów i z węzłkiem podróжным na plecach uchodził na Pragę, by połączyć się z wojskiem. Rozdzierające sceny rozgrywały się wszędzie, na każdym kroku słyhać było jęki, szlochania, przekleństwa. Rozpacz chodziła po ulicach, z każdego domu wiało zniszczeniem i żałobą. Miasto, nawiedzone klęską, wilo się w bólu, łkało rozdzierającym głosem, wybuchało złorzeczeniem. Okrzyk: „Zdrada!“ leciał z ulicy w ulicę i krew mroził w żyłach. Lecz czas naglił. Więc ludzie żegnali się, jak przed skonem, wyrwali się z objęć rodzin — i ze łzą w oku opuszczali Warszawę.

Wszystko w największym nieporządku tłoczyło się na Pragę...

Jazda, piechota, artylerja, członkowie Rządu i Sejmu, ministrowie, urzędnicy, mnóstwo rannych, a ledwo wlokących się o własnej sile żołnierzy, starcy, dzieci, kobiety, wszystko to, niesione żalem lub wściekłością, beładnie posuwało się przez most na Wiśle i w beładnych masach skupiało się na Pradze...

Na drugi dzień, o godz. 7 rano zwycięska armja Paskiewicza wkroczyła w mury Warszawy...

Powstanie otrzymało cios w samo serce...



ZAKOŃCZENIE.

Poddanie Warszawy było stratą ogromną, w Warszawie bowiem skoncentrowane były magazyny, fabryki i warsztaty, opatrujące wojsko we wszelkie potrzeby, w Warszawie unosił się duch powstania, w Warszawie biło serce rewolucji.

Ta strata, bardzo trudna do powetowania, nie była mimo wszystko klęską, której przy energii i męstwie nie dałoby się naprawić. Triumf Paskiewicza łatwo mógł się zakończyć porażką. Po stratach, poniesionych podczas szturmów stolicy, armia rosyjska liczyła 80.000 żołnierzy. Z tej liczby 12.000 zmuszony był unieruchomić wódz rosyjski na strzeżenie Warszawy i Pragi, kilkanaście tysięcy musiało osłaniać szosę brzeską i transporty, ciągnące z Brześcia ku Warszawie, inne punkty również wymagały zastłony, a w ten sposób Paskiewicz nie mógł wyprowadzić w pole więcej, niż 50.000 ludzi...

Wprawdzie główna armia polska zmniejszyła się podczas szturmów Warszawy o 10.000 głów, ale po połączeniu się z dywizją generała Łubieńskiego urosła do 30.000. Korpus generała Ramoriny liczył 20.000 najlepszego wojska, korpus Samuela Różyckiego 8.000, załogi Modlina i Zamościa — 10.000. Było tedy jeszcze 70.000 ludzi, dźwiga-

jących broń, a z siłą taką wiele można było dokonać. Obok tego powstanie miało kraj cały na swoje usługi. Litwa i Ruś, ogołocone z wojsk rosyjskich, również mogły przyjść z pomocą i stać się terenem walki. Paskiewicz, zamknięty w Warszawie i zmuszony stać nieustannie na straży swej zdobyczy, był mimo wszystko w położeniu trudnym i kłopotliwym.

Jedno poważniejsze zwycięstwo Polaków mogło zmienić stan rzeczy i wynagrodzić upadek Warszawy. Ale wyżsi wojskowi opuścili bezwładnie ramiona i duch rycerski zamarł w szeregach. Po obozie polskim tłukła się błąda rozpacz i zazierała w oczy przerażonym żołnierzom. Gwiazda powodzenia zgasła — i zwątpienie stało się powszechnem. Gdy główna armja skoncentrowała się na Pradze, wszyscy, co bystrzej na rzeczy patrzyli, domagali się pochodu ku korpusowi gen. Ramoriny, bo wtedy połączone siły urastały do 50.000, a więc do liczby, równającej się sile, jaką mógł na jednym punkcie zgromadzić feldmarszałek Paskiewicz. Lecz Małachowski cofnął się do Modlina.

Historyk rosyjski Puzyrewski powiada, że Małachowski, stanąwszy z armją swoją w Modlinie, znalazł się w bardzo wygodnej pozycji, gdyż mógł działać na obu brzegach Wisły, przerzucając stosownie do potrzeby oddziały wojsk swoich na jedną lub na drugą stronę rzeki. A przeciw 30.000 Polakom według obliczeń Puzyrewskiego mógł wystawić Paskiewicz około 40.000 żołnierzy. Pozycja wojsk polskich równoważyła siły.

Tak przedstawiała się sytuacja wojenna w najkrytyczniejszej chwili powstania, po upadku Warszawy, po przegranych bitwach, po wielkich błędach Chłopickiego, po nieszczęściach, które spowodował Skrzynecki, po ośmiu miesiącach niszczącej wojny z całą potęgą północnego kolosa!

Była jeszcze możność dalszej walki, było jeszcze nawet w tym okropnym momencie prawdopodobieństwo zwycięstwa, były wszystkie materialne siły do dalszego prowadzenia wojny: nie było tylko siły moralnej, nie było wiary w przyszłość.

Powstanie przed otrzymaniem strasznego ciosu przegrane już było w wewnętrznym przeświadczeniu narodu — i żadna siła materialna nie mogła zrównoważyć tej klęski moralnej, tego upadku wiary i upadku ducha.

Małachowski z Modlina wysłał rozkaz Ramorino i żądał od niego, aby natychmiast rozpoczął ze swoim korpusem marsz ku głównym siłom polskim.

Ale Ramorino szedł już w przeciwnym kierunku.

Tymczasem coraz większa demoralizacja i coraz większa nieufność wkradała się w szeregi głównej armji, szarpanej rozterkami, a przeczuwającej koniec najsmutniejszy.

W obozie polskim znajdowali się członkowie Rządu i Sejmu, ministrowie, urzędnicy, wielu działaczy z Towarzystwa Patriotycznego, wreszcie mnóstwo osób cywilnych, które opuściły stolicę, by nie dostać się w ręce Paskiewicza. Rozbitkowie ci wrzawą nieustanną powiększali tylko istniejące w szeregach rozprężenie. W dodatku wódz rosyjski za pośrednictwem gen. Berga prowadził w dalszym ciągu układy i nadzieją szczytnej kapitulacji paraliżował powstające w kwaterze polskiej zamiary. Generał Berg wykazał wiele przebiegłości dyplomatycznej i sprytu, umiał on łudzić i zwodzić, aby wkońcu przerwać wszelkie pertraktacje i zażądać poddania się bez zastrzeżeń. Bonawentura Niemojowski nie był człowiekiem, zdolnym zapanować nad sytuacją. Władze cywilne zamierały, wojsko szemrało coraz głośniejsze. Nieudolny Małachowski podał się do dymisji, ale nowy wódz naczelny, generał Rybiński, ani chciał, ani umiał zdecydować się na jakiś krok stanowczy. Niezadowolone, panujące w armji, rosło z dniem każdym,

szeregi zaczęła przerzedzać dezercja. Gdy wodzem naczelnym ogłoszony został generał Umiński, część wojska podniosła taką wrzawę, iż Umiński musiał władzę swą złożyć i znów ustąpić miejsca Rybińskiemu.

Armja polska z Modlina pociągnęła do Zakroczymia, a stamtąd do Płocka. Bliskość granicy pruskiej zaszczepiła zdradliwą myśl w umysłach władz naczelnych i myśl ta jak zaraza jąła toczyć szeregi.

Tymczasem gen. Ramorino ani myślał usłuchać odebranego rozkazu i, zamiast śpieszyć ze swym pięknym korpusem ku głównej sile wojsk polskich, postanowił udać się do Zamościa. Oficerowi, który przywiózł rozkaz naczelnego wodza, tłumaczył, że rozkaz ten jest niemożliwy do wykonania, co było oczywiście i rzucającą się w oczy nieprawdą.

Nadaremnie posyłało mu nowe rozkazy. Ramorino nic sobie z nich nie robił. Przeczuwał on upadek władz wszelkich, wiedział, że nikt go nie pociągnie do odpowiedzialności, więc ani myślał stosować się do rozkazów. Na własną rękę układał się z generałami rosyjskimi i posuwał się ku Zamościowi, lecz granicę austriacką miał na widoku.

Ramorino zdradzał. W dniu 17 września przekroczył granicę i piękny swój korpus wydał Austriakom.

Ta haniebna zdrada pociągnęła za sobą nowy a okropny skutek. W ślad za Ramoriną poszedł gen. Różycki i w dziesięć dni później, stoczywszy nieszczęśliwą bitwę pod Michałowem, również przeszedł granicę.

Rosjanie żądali teraz poddania Modlina, wykonania przez całe wojsko przysięgi na wierność Mikołajowi i natychmiastowego przejścia wszystkich wojsk polskich pod rozkazy feldmarszałka. Rząd, Sejm, redaktorowie gazet i wybitniejsi działacze w dniu 25 września wyjechali z Płocka i na własną rękę przedzierali się ku granicy pruskiej.

W ślad za nimi wyruszyła armja i już 30 września obozowała w Lipnie, a 2 października stanęła obozem w Rachowie. Tegoż dnia generałowie na radzie wojennej, złożonej w Świdziebnie, zdecydowali schronić się do Prus.

Posuwało się więc wojsko ku granicy pruskiej, opuszczało kraj, opuszczało sprawę i honor narodu i wstępowało na pole hańby.

Wojska rosyjskie kroczyły tuż za armją polską i coraz silniej ją naciskały.

Do ostatniej chwili generałowie nieprzyjacielscy kusili Polaków obietnicami, byle tylko zechcieli się poddać, ale myśl przekroczenia granicy była powzięta i rokowania z władzami pruskimi już rozpoczęte.

Dnia 5 października armja polska, wiedzona przez generała pruskiego Schmidta, przeszła granicę...

Na czele armji jechał generał Rybiński w otoczeniu swego sztabu, za sztabem posuwała się kawalerja, następnie ciągnęły armaty, a za artylerją maszerowała piechota. Krakusy, idący w arjergardzie pod wodzą generała Dembińskiego, do ostatniej chwili ostrzeliwali się następującym na tylnie straże kozakom.

— Do widzenia! — wołali do kozaków żołnierze polscy, stanąwszy nad granicą, i ostatnimi strzałami do nieprzyjaciół zegnali ziemię ojczystą. Byli przekonani, że niebawem z bronią w ręku wtargną z powrotem do kraju i nowy bój rozpoczną.

Niejasna myśl o legionach przyświecała w tej chwili wychodźcom i z myślą tą wojsko polskie ruszyło w dalszy pochód. Szeregi zaległa posępna cisza. W głuchem milczeniu posuwano się naprzód. O ćwierć mili za linią graniczną oczekiwał powstańców generał pruski von Zöppelin z pułkiem huzarów, silnym oddziałem piechoty i baterją armat, zwróconych paszczami ku zbliżającej się armji.

Trębacze polscy po raz ostatni zagrali pieśń narodową, ale muzyka pruska milczeniem odpowiedziała na to powitanie...

Rozpoczęło się składanie broni.

W największym porządku posuwali się żołnierze ku wskazanemu miejscu.

— Stój! składaj broń! — rozlegała się komenda.

I żołnierz, posłuszny wezwaniu, rzucał karabin lub lancę, a potem zasłaniał twarz rękoma, by ukryć łzy, spływające po twarzy. Teraz dopiero przed oczyma wychodźców stanęło widmo hańby i przerażeniem nappełniło serca. Wspomniano wysiłki bohaterskie i krwawe boje, stoczone na polach Grochowa, Igań, Ostrołęki, wspomniano tysiączne ofiary i kraj, zalany wojskiem nieprzyjacielskim. Wszystkie błędy, jak żywe, ocknęły się naraz w pamięci i przeczucie klęsk nowych, przeczucie, jako śmierć smutne, owionęło dusze...

Ale pogrzeb sprzętów wojennych i oręża, podniesionego w obronie honoru i wolności Polski, odbywał się dalej. Rosły stosy lanc, karabinów, przechodziły w ręce Prusaków armaty, furgony, aż armja polska przestała egzystować...

Głuchy bunt wezbrał w piersi rozbitków, ale było już za późno...

*

*

*

Sprawa powstania była właściwie już całkowicie przesądzona po upadku Warszawy. Wieść o poddaniu stolicy wszędzie wstrząsające uczyniła wrażenie. We wszystkich zakątkach kraju, dokąd tylko złowróżbne echo klęski dotarło, zasępiły się czoła i zimne przerażenie przeszywało serca. Polska zstępowała do grobu. Czuli to wszyscy,

ale niemoc, zaszczerpiona przez naczelne władze powstańcze, kraj cały trzymała w odrętwieniu. Czekano jakichś nadzwyczajnych wypadków, czekano zmiłowania i cudu. Ale co działy małoduszność, egoizm, niedołęstwo i zdrada, tego nic już naprawić nie mogło.

Było jeszcze wojsko dzielne i do wszelkich poświęceń gotowe, była jeszcze możność dalszego prowadzenia wojny. Ale nie było już wiary w zwycięstwo, nie było widomej woli, ani nadziei, ucieleśnionej w człowieku. Zawiodły wszystkie rządy i wszyscy wodzowie. Śród ludzi, których powstanie wyniosło z nicości lub zapomnienia, wszyscy w owej chwili do zapomnienia lub nicości wracali. Sztandar powstańczy, chwiejący się nieustannie, zgorzał doszczętnie w płomieniach, pustoszących Warszawę, rewolucja pozostała bez swego znaku i steru, zawisła niejako w powietrzu, straciła moc życia i czynu.

Dzieło listopadowe, dźwignięte zbrojnym ramieniem podchorążych na widownię świata, zniknęło z tej widowni nie na mocy poniesionej klęski, lecz skutkiem własnego bezwładu.

Powstania nie zgubiła przemoc. Po zwycięstwach, odniesionych na polach Wawra, Dembego, Igań, armja polska zrównała się liczebnie z armją rosyjską, a sprawnością bojową i męstwem znacznie ją przewyższała. Krwawa topiel ostrołęcka pochłonęła najdzielniejszy element bojowy, ale nowozacieczny żołnierz od początku powstania składał dowody wielkich przymiotów wojennych i na okopach Warszawy zaświadczył o swojej dzielności. A przecież nawet po opanowaniu stolicy wódz rosyjski nie mógł z przemagającą siłą wystąpić przeciw Polakom, pod warunkiem, że się wojska polskie połączą, czemu Rosjanie przeszkodzić nie mogli...

Powstania nie zgubił brak środków materialnych. Raport Paskiewicza po zdobyciu Warszawy świadczy o wiel-

kiem bogactwie wszelkiego rodzaju sprzętów wojennych, odzieży i amunicji, które tam były zgromadzone. Skarb opłacał dotąd wielkie koszty wojny, a pożyczki zagranicą częściowo były już zrealizowane.

Powstania nie zgubił brak męstwa i poświęcenia, ani brak ofiarności publicznej.

Przyczyn upadku przedewszystkiem w organizacji wewnętrznej, w psychice powstania szukać należy.

Chcąc jakiegokolwiek rozpoczęte dzieło zakończyć triumfem, trzeba ten triumf w samym sobie przeżyć, trzeba się z tym triumfem sprząć w jedną nierozdzielalną całość, trzeba w zwycięstwo wierzyć, jak wierzy się w niczem nieconfioną konieczność.

Tragedją powstania listopadowego nie był nawet brak tej wiary.

Palila się ta wiara w sercach podchorążych, gdy na hasło Wysockiego w poważnem i groźnem milczeniu nabijali karabiny, ta sama wiara prowadziła na Belweder śmiałków Nabelaka, ta sama wiara ognistemi słowy wybuchala z piersi Mochnackiego, kiedy z trybuny rewolucyjnej grzmiał przeciw ówczesnym dzierżycielom władzy. Ale ta wiara nie przeniknęła do wszystkich warstw narodu, nie ogarnęła sfer kierowniczych i naczelnej władzy wojskowej.

Tragedją powstania jest przedewszystkiem ta okoliczność, że młodzież, co je stworzyła, nie tylko nie umiała rozwinąć własnego dzieła, ale natychmiast znikła z widowni i wraz z sobą uniosła bezpowrotnie wielką wiarę, wielki zapał i wielkie poświęcenie dla sprawy. Wraz z twórcami pamiętnej nocy znikła szybka i śmiała decyzja, powstanie osadzone zostało na miejscu, spętane przedtem jeszcze, nim zdołało się rozwinąć...

Dzieło listopadowe zgubił przedewszystkiem brak charakterów. Nie było ich w Radzie Administracyjnej i później-

szych rządach, nie było ich w Towarzystwie Patrijotycznym, nie było wśród władz wojskowych. W walce, która w pierwszych dniach powstania rozegrała się pomiędzy twórcami rewolucji a jej przeciwnikami, zrodziły się wszystkie błędy, które czas dalszy ciągle wyolbrzymiał. Walka ta, prowadzona przez ludzi z charakterem, musiała się zakończyć zwycięstwem jednej strony i stanowczą a bezwzględną porażką drugiej. Tymczasem nie skończyła się niczem. Bo cóż się okazało? Oto mężowie, widzący w powstaniu zgubę Polski, usiłujący nawet powstanie to stłumić bagnietami rosyjskimi, mężowie ci, po poskromieniu klubu grudniowego, mimo przeświadczenia, że prowadzą kraj do zguby, sami zaczęli robić powstanie. Stała się rzecz nieprawdopodobna: na czele dzieła listopadowego stanęli jego najzagorzalsi przeciwnicy. Wprawdzie w ten sposób zatriumfowała myśl rewolucyjna, ale był to triumf pozorny, chwilowy, przemijający, jak mgła, a złudny, jak miraż. Ludzie, co brali w swe ręce ster powstania, ulegali wypadkom, i to jest niezaprzeczoną prawdą, ale historia mówi nam dzisiaj, że uległością swoją nie ratowali sprawy, lecz ratowali jedynie swoją znikomą władzę, swą popularność i egzystencję. Walka o charakter powstania nie rozegrała się w samym społeczeństwie i to jest jedną z głównych, jeżeli nie główną przyczyną klęski.

Powstanie listopadowe nie miało charakteru.

Noc 29 listopada była aktem owej wielkiej wiary, co czyni cuda, była jednocześnie krokiem odwagi, zapału i entuzjazmu, i tylko działania, natchnione tą samą wiarą, odwagą i zapałem, mogły zbawić sprawę. Musi być jakaś ciągłość i konsekwencja w rozwijaniu wypadków. Ta ciągłość znikła, gdy zniknęli z widowni twórcy pamiętnej nocy. Powstanie przemieniło się w kompromis, w zlepek czynników sprzecznych, a wzajemnie się wyłączających. Ciężka odpowiedzialność za to spada na sprawców wybu-

chu; cięższa jeszcze na tych, co wbrew swojemu przeświadczeniu stanęli na czele dzieła, w które nie wierzyli, którym byli przeciwni...

Połowiczność i chwiejność zarówno w wyborze środków, jak w sposobie działania, oto co przez cały czas cechowało powstanie. Tylko na takim tle mogli egzystować i sprawować władzę członkowie pierwszych rządów, dyktator, rząd pięciogłowy, wodzowie tacy, jak Skrzynecki i Dembiński, wreszcie członkowie obu izb poselskich. Na całej przestrzeni powstania, jeśli rzucimy okiem na ludzi, którym wypadki dały większe wpływy, nie dostrzeżemy ani jednego charakteru. Sejm, z którego łona wychodziły nominacje na członków rządu i wodzów, jest najlepszym zwierciadłem zabijającej powstanie chwiejności i niedołęstwa. Dziełu rewolucyjnemu tylko głowy rewolucyjne przewodniczyć mogą. Takich głów nie było wśród ówczesnych kierowników powstania. Nie zwyciężała myśl jasna, śmiała i rewolucyjna — triumf odnosiły jedynie półśrodki. Gadanina w Sejmie, pisanie not dyplomatycznych, kunktatorstwem i mędrkowaniem na terenie wojny chciano zbawić Polskę. Egoizm izb poselskich odepchnął od udziału w walce masy ludowe. Nie zadano sobie pracy, by z łona ludu wydobyć utajoną siłę i rzucić tę siłę na szalę wypadków. A przecież lud sam garnął się do szeregów, nie szczędził krwi i życia, a na Litwie pierwszy porwał się do broni. Lud miał zdrowy instynkt, miał już świadomość celu, lecz rozproszony na olbrzymich przestrzeniach, nie mógł stworzyć organu, któryby pożądaną mas szerokich spajał i łączył, tworzył z nich siłę groźną i potężną. Jedynie Warszawa mogła wytworzyć poważny ośrodek rewolucyjny. Ale nie należy zapominać, że to, co stanowiło rdzeń, duszę i serce masy stołecznej, myślało przede wszystkim o zaciągnięciu się w szeregi i na polu bitwy szukało rozwiązania sprawy. To zaś, co po-

zostało w mieście, najmniej było zdolne do narzucenia powstaniu swej woli.

Zlekceważenie reformy włościańskiej było niewątpliwie ciężkim błędem, ale nie było bynajmniej wyłączną przyczyną upadku powstania. Wojna 1831-go roku była wojną dwóch organizacyj, była wojną państwa z państwem, a w historii znakomitej większości wojen europejskich nie decydowały o zwycięstwie reformy socjalne. Podjął taką reformę w powstaniu poprzednim jego Naczelnik, Kościuszko, a jednak uzbrojone ramię ludu polskiego nie zdołało wówczas ocalić sprawy narodowej. Bo lud wtedy tylko stanowi potęgę, kiedy jest siłą uświadomioną, zdolną do działań samodzielnych. Ani w roku 1794-ym, ani w r. 1831 lud polski nie miał jeszcze poczucia swej mocy. Nie to przecież było przyczyną upadku dzieła listopadowego.

Historycy, tłumaczący klęskę jedynie nieuświadomieniem ludu, zapominają najczęściej o ówczesnem rozkładzie i wzajemnem stosunku sił społecznych w Polsce, zapominają również, iż całkiem niezależnie od stanu tego uświadomienia wodzowie polscy niejednokrotnie mieli w swych rękach szanse wielkich zwycięstw i z widocznej przewagi swojej nie chcieli lub nie umieli korzystać, zapominają, że Rząd Narodowy pozostawiał bez kary najcięższe błędy i lekkomyślność zbrodniczą, że Sejm składał podziękowanie Skrzyneckiemu wtedy, kiedy pod sąd wojenny powinien był go oddać. Zbyt wiele władze kierownicze powstania popełniły błędów, zbyt wiele dźwigały na sobie przewinień, aby je rozgrzeszyć i tylko jeden ich błąd, stosunek do włościan, uczynić główną i jedyną przyczyną katastrofy.

System walki odpornej, tak niezgodny z duchem powstania, więcej złego wyrządził sprawie, niż wojska nieprzyjacielskie. Nie było wodza z charakterem, choć były w armji polskiej niepospolite zdolności i talenty...

Upadło powstanie, bo pozbawione woli, energii i wszelkiego wyrazu nie wytworzyło atmosfery, w której działaliby mogli ludzie odważni i zdecydowani. Głosy śmiałe przebrzmiewały bez echa, wielkie zamiary tonęły w otchłani połowiczności, pożądane reformy rozbijały się o skałę egoizmu obu izb poselskich...

Powstanie listopadowe skończyło samobójstwem...

K O N I E C.

26378

T R E Ś Ć.

Wstęp	5
I. Królestwo Kongresowe.	9
II. Noc 29 listopada	36
III. Pierwsze dni powstania	50
IV. Dyktatura. Sejm. Rząd Narodowy	64
V. Bitwa pod Grochowem	80
VI. Wawer. Wielkie Dembe. Iganie	97
VII. Działalność Rządu i Sejmu	111
VIII. Bitwa pod Ostrołęką	120
IX. Wyprawy na Ruś i Litwę	133
X. Skrzynecki i Dembiński	149
XI. Noc 15 sierpnia i Krukowiecki	161
XII. Oblężenie Warszawy	173
Zakończenie	184

P O R T R E T Y:

Lelewel	przed str. 1	gen. Dwernicki	przed str. 81
Mickiewicz	" 25	gen. Chłopicki	" 89
W. ks. Konstanty	" 33	gen. Prądzyński	" 105
Wysocki	" 41	gen. Skrzynecki	" 121
Mochnicki	" 57	Emilja Platerówna	" 145
Ks. Czartoryski	" 73	gen. Sowiński	" 177